

Łódź

tygodnik społeczno-kulturalny

Odgłosy

NUMER 20 (1572)

ROK XXXI

14 MAJA 1988 ROKU

CENA 50 ZŁ



Dagome iudex

Zbigniew Nienacki

str. 16

Historia polskiego prawosławia to również historia Polski

Rozmowa z księdzem biskupem SZYMONEM (ROMAŃCZUKIEM), ordynariuszem prawosławnej diecezji łódzko-poznańskiej



Foto: Grzegorz Galasiński

— Tysiąc lat temu dokonał się chrzest Rusi. Mogłoby się zatem wydawać, że jest to wewnętrzna sprawa Rosji. A tymczasem dowiedziałam się, że jest to również sprawa Kościoła prawosławnego w Polsce.

— Owszem. A zdziwienie bierze się stąd, że wiedza o Kościele prawosławnym w Polsce, w ogóle o prawosławiu jest bardzo powierzchowna i niedostateczna.

— Dla przeciętnego Polaka prawosławie kojarzy się przede wszystkim z Rosją.

— A tymczasem wiedza o prawosławiu jest częścią wiedzy o historii Polski. Na południu Polski, włącznie z Krakowem, żyli Wiślanie. Wśród nich działali Cyryl i Metody oraz ich uczniowie. Wspomnę tylko, że Jan Paweł II podniósł Cyryla i Metodego do rangi apostołów Europy. Otóż wedle starych przekazów Wiślanie przyjęli chrześcijaństwo z kościoła wschodniego.

— Zatem tysiąclecie chrztu Polski należałoby przesunąć — jak to zresztą proponował Joachim Lelewel — na lata sześćdziesiąte XI wieku. Pewne jest natomiast, że już w XII wieku powstało biskupstwo prawosławne na południowym wschodzie Polski, a w XIII wieku w Przemyślu.

— Proszę jednak pamiętać, że w tamtych czasach nie było jeszcze podziału na dwa kościoły. Przynajmniej tak, jak my to dziś rozumiemy. Toczyły się ostre spory, na wschodzie obowiązywał obrządek grecki, na zachodzie — łaciński. Dopiero rok 1054 uwił na datę ostatecznego podziału kościoła na wschodni i zachodni, gdy biskupi rzymski i konstantynopolski rzucili wzajem na siebie klątwę.

— Polska w tym czasie była już pod wpływem kościoła zachodniego.

— Ale przecież na tym nie kończy się historia prawosławia w Polsce. Łącząc się z Litwą Polska przyswaja pod swoje wpływy ogromną rzeszę prawosławnych. Litwa podbiła ziemie ruskie, ale sama znalazła się pod wpływem prawosławia i kultury narodów Rusi. Powstała Rzeczpospolita Obojga Narodów do której należał — do XVII wieku — Kijów. A to była metropolia prawosławia. Na dworze litewskim w Wilnie dokumenty spisywano w języku ruskim. Wpływ prawosławia dotarł również do dworu książęcego Wielkiego Księcia Litewskiego.

Jak z tego widać, prawosławie jest częścią historii Polski. Jakże więc może dla nas być obojętna tysiąclecia rocznica chrztu Rusi? To chyba naturalne, że to jest również i nasze święto. Czy to pania przekonuje?

— Nie chodzi o przekonanie mnie. Chodzi o to, aby jasno przetrzymać to nas, Czytelnicy, którzy — jak śmiem sądzić — prawosławie kojarzą sobie przede wszystkim — a być może i wyłącznie — z Rosją dziesięć wieków, która dokonała rozbiórów Polski.

— Rozumiem te skojarzenia, ale one nie powinny zaćmiewać niebywale złożonego obrazu prawosławia. Otóż śmiem się powiedzieć, że prawosławie, które przyszło wraz z władzą rosyjską w XVIII wieku do Polski nie było tym prawosławiem, które niegdyś panowało na Rusi.

6

Wszystkim wydawało się — idealny kandydat na prezesa: wyprowadzi spółdzielnię na prostą, a potem już samo jakoś pójdzie. Poszło, ale w inną stronę.

Ważne to je, co je moje

PAWEŁ TOMASZEWSKI

(1)

Do Gertrudowa można tylko zabłądzić. Ot tak, żaden obcy nie przyjedzie, bo nie ma czym i po co. We wsi ani kolei, ani pokaesu, wszędzie daleko. No, chyba że do spółdzielni. Wtedy to już naprawdę musi. Bo jakże inaczej, skoro telefonu także nie ma? Jedynie tą wyboistą drogą wśród pól i lasów, nikomu nie po drodze, kretą, na której każde nie opatrzone auto budzi zaraz zdziwienie i ciekawość.

Spółdzielnia jest za wsią. Tak pod względem położenia, jak gospodarności. Zresztą też mi spółdzielnia! Wielkie słowo, a w rzeczywistości — kawał ogrodzonego placu, dwa większe baraki, tabliczka z nazwą nad drzwiami do biura. Zupelnie przeciwieństwo lansowanego przez lata obrazu rolniczych spółdzielni produkcyjnych, w których dzięki wspólnemu wysiłkowi spółdzielców nasze rol-

nictwo rośnie w siłę, a ludziom żyje się dostatniej.

I tak też widziano to kiedyś w Gertrudowie. Ziemia licha, plony marne, wieś pustoszeje, starzeje się... Jedyna rada — założyć spółdzielnię. Od razu się polepszy. Będzie jak w mieście: pensje, urlopy, zwolnienia, emerytury... Żyć, nie umierać.

W Gornicach, siedzibie władz gminy, też to się podobalo.

— Była potrzeba — mówi naczelnik, Henryk Tazbir — bo sporo ziemi leżało odłogiem i tylko taka spółdzielnia mogła ją zagospodarować. Ale naciągów żadnych nie wywieraliśmy. To była autentycznie oddolna inicjatywa.

Chętnych znalazło się dziesięciu. W siedemdziesiątym ósmym złączyli swoje bekjary —

ile kto miał, dobrali drugie tyle z Państwowego Funduszu Ziemi, szałgnęli kredyty w banku i wspólnym wysiłkiem po osiem godzin dziennie, a latem to i więcej, wkroczyli na spółdzielczy szlak do dobrobytu. Prowadził stromo pod górę, pod deszcz i wiatr, w mgłę, w której niewiele widać do przodu, a łatwo zejść na manowce. Co gorsza, raz po raz zmieniali się przewodnicy. W ciągu pięciu lat od założenia aż trzech ich było — prezesów.

— Za dużo — twierdzi Barbara Kot, jedna z założycielek spółdzielni i tak ich charakteryzuje po kolei:

— Pierwszy był od nas — dwa lata. Drugiego zwolniliśmy, bo nie robił. Trzeci zrobił trochę dobrego, ale odszedł.

I wtedy na horyzoncie pojawił się Tadeusz Klekociński — chłopski syn zza miedzy, po studiach rolniczych, członek partii, dotychczasowy pracownik Urzędu Gminy. Wydawało się — idealny kandydat: wyprowadził spółdzielnię na prostą, a potem już samo jakoś pójdzie.

— Pięknie mówił na początku, tośmy mu zaufali.

Szybko okazało się — na wzrost. Musiało jednak upłynąć jeszcze sporo czasu, zanim prawda ta została głośno wypowiedziana w Gertrudowie i najbliższej okolicy. I to wcale nie przez wszystkich. Są bowiem

5

W Skierniewicach jest perła kolejowej architektury.

Dworzec, któremu zabrano duszę

MAREK JUŚKIEWICZ

Jak daleko sięgnę pamięcią, każda podróż pociałem była dla mnie głębokim przeżyciem. Fascynacja koleją pozostała w mojej duszy, chociaż tak wiele zmieniło się od tamtych lat, kiedy na żelaznych szlakach niepodzielnie królowały parowozy. Nie ma już dostojnych, błyszczących smarami lokomotyw, które ciągnęły wagony w pierwszą podróż — jaką pamiętam — z Łodzi na Pol. Razadko już spotyka się pachnące dymem olbrzymie, wzbudzające podziw swojej siłą.

Znikają ze stalowych szlaków parowe maszyny. Wraz z nimi odchodzą w zapomnienie strażnicy żelaznej drogi — uroczyste, małe stacyjki pełne zastępych w ich murach obrazów mijającego czasu. Wśród maleńkich perełek rozrzuconych wzdłuż torów, spotyka się kolejo- wych arystokratów — wielkie dworce, milczące świadków historii.

Wszystkie te arcydzieła sztuki budowlanej umierają bez opieki, niszczone przez czas i wandalizm, albo wyrzyna się im duszę przez bezmyślną modernizację. Burzy się zabytkowe budownictwo, a na ich miejsce stawia kontenerowe klocki. Kiedy po latach odwiedzamy taką stację (niegdyś pełną uroku) możemy tylko urońić łzę nad brudnymi ścianami i zdemolowanymi sprzętami.

W 1834 roku wiceprezes Banku Polskiego — Henryk Łubieński przedstawił

projekt budowy drogi żelaznej łączącej Warszawę z południową granicą Królestwa Polskiego.

Wspólnicą tego szalonego pomysłu był przemysłowiec i kupiec, organizator komunikacji pocztowej i główny dostawca soli dla Królestwa — Piotr Steinkeller. Konieczność budowy kolei żelaznej uzasadniano przede wszystkim potrzebami przewozowymi Warszawy (głównie węgiel i sól) szacowanymi na 130 — 160 tysięcy ton towarów rocznie. Dotychczas towary te transportowano Wisłą. Droga żelazna miała obniżyć koszty przewozu (głównie przez obniżenie frachtów i uniezależnienie handlu Królestwa od pruskiej polityki celnej), zwiększyć dostawy (transport całoroczny), a także otworzyć drogi handlowe z Rosją na zachód Europy. Jak kiedyś szlaki kupieckie przyczyniały się do rozwoju miast, tak kolej miała być kura znośną złota jaksy.

Ukaz carski z roku 1838 przyznał koncesję zezwalającą na utworzenie akcyjnego Towarzystwa Warszawsko-Wiedeńskiej Drogi Żelaznej. Ukaz gwarantował: „panu Piotrowi Steinkellerowi i jego w tym interesie współnikom” czyli Henrykowi hrabiemu Łubieńskiemu i jego bratu Tomaszowi — stanowiska kierownicze w Towarzystwie. Z kilku wariantów

4

Ogłosy

Adres redakcji:
90-113 Łódź, ul. Henryka
Sienkiewicza 3/5.

Telefony: redaktor naczelny
36-52-44

sekretarz redakcji,

fotoreporter 36-80-99,

publicyści: 36-77-70,
32-89-70.

Redaktor naczelny: Lucjusz
Włodkowski.

Zastępca redaktora
naczelnego: Edmund
Lewandowski.

Sekretarz redakcji:
Grażyna Olechnowicz.

Kierownik działu
literackiego: Henryk
Pustkowsky.

Redaktor techniczny:
Janusz Kozłowski.

Zespół: Ryszard Binkowski,
Dariusz Dorożyński,

Andrzej Gębarowski,
Eugeniusz Iwanicki, Teresa

Jerzykowska, Marek
Koprowski, Jerzy

Kwieciński, Bogda Madej,
Andrzej Makowiecki,

Paweł Tomaszewski,
Marian Zdrojewski.

Grafik: Janusz
Szymański-Glanc.

Fotoreporter: Grzegorz
Gałasiński.

Korekta: Mariola Knaga,
Jolanta Sawiuk.

Stale współpracują:
Tadeusz Błażejowski,

Marek Brzeziński (Londyn),
Bohdan Gadomski,

Grzegorz Gazda, Andrzej
Karolczak, Witold

Kasperkiewicz, Andrzej
Kempa, Wasył

Kocznów (Iwanowo),
Włodzimierz Krzemiński,

Zenon J. Michalski,
Ryszard Nakonieczny,

Adam Ochocki, Jerzy
Panasewicz, Karol J.

Strwiński, Maciej Świerkocki

Wydawca: Łódzkie Wydawnictwo
Prasowe „Prasa-
Książka-Ruch” 91-103 Łódź,
ul. Sienkiewicza 3/5

DRUK: Prasowe Zakłady
Graficzne RSW „Prasa-
Książka-Ruch” Łódź, ul. Armii
Czerwonej 28.

Redakcja nie zwraca nie
zamówionych reklam i zastrze-
ga sobie prawo do skrótów. Za
treść ogłoszeń redakcja nie od-
powiada.

Warunki prenumeraty: 1. Dla
Instytucji i zakładów pracy —
zlokalizowane w miastach wojewódz-
kich i pozostałych miastach
w których znajdują się siedziby
Oddziałów RSW „Prasa-
Książka-Ruch”, zamawiają
prenumeratę w tych oddziałach —
instytucji i zakładach pracy
zlokalizowane w miejscowościach
gdzie nie ma Oddziałów RSW
„Prasa-Książka-Ruch” o-
płacają prenumeratę w urzędach
pocztowych i u doręczycieli. 2.
Dla indywidualnych prenumera-
torów — osoby fizyczne zamieszka-
ne na wsi i w miejscowościach
gdzie nie ma oddziałów RSW
„Prasa-Książka-Ruch” o-
płacają prenumeratę w urzędach
pocztowych i u doręczycieli osoby
fizyczne zamieszkałe w miastach —
siedzibach Oddziałów RSW „Prasa-
Książka-Ruch” opłacają prenume-
ratę wyłącznie w urzędach pocztowych
nadawczo-oddawczych
właściwych dla miejsca zamieszka-
nia prenumeratora. Wpłaty do-
konuje się używając blankietu
„wpłaty” na rachunek bankowy
miejscowego Oddziału RSW
„Prasa-Książka-Ruch” 3.
Prenumeratę ze zleceniem wy-
syłki za granicę przyjmuje RSW
„Prasa-Książka-Ruch”
Centrala Kolportażu Prasy i
Wydawnictw ul. Towarowa 23,
00-958 Warszawa konto NBP XV
Oddział w Warszawie nr 1153-
201045-139-11. Prenumeratę ze
zleceniem wysyłki za granicę
począł zwykły jest droższa od
prenumeraty krajowej o 50 proc.
dla zleceń indywidualnych i o 100 proc.
dla zleceń instytucji i zakładów pracy.
Terminy przyjmowania prenume-
raty na kraj i za granicę —
od dnia 10 listopada na I
kwartał i półrocze roku nastę-
pnego oraz cały rok następnego —
do dnia 1 każdego miesiąca —
poprzedzającego okres prenume-
raty roku bieżącego

Zam. 1483. S-10.

Przegląd prasy

Klub bogatych krajów przemysłowych stanowi Organizacja Współpracy Gospodarczej i Rozwoju (OECD). Należą do niej 24 kraje, które skupiają tylko 16 proc. ludności świata, lecz wytwarzają aż dwie trzecie światowego produktu narodowego brutto (PNB). W 1986 roku poszczególne państwa miały następujący dochód na jednego mieszkańca (w dolarach USA): Szwajcaria — 20 830, Stany Zjednoczone — 17 360, Norwegia — 16 730, Islandia — 16 170, Japonia — 16 160, Dania — 15 990, Szwecja — 15 700, Republika Federalna Niemiec — 14 610, Finlandia — 14 320, Kanada — 14 200, Luksemburg — 13 243, Francja — 13 070, Austria — 12 480, Holandia — 12 004, Belgia — 11 540, Australia — 10 540, Włochy — 10 490, Wielka Brytania — 9 650, Nowa Zelandia — 7 900, Irlandia — 6 910, Hiszpania — 5 920, Grecja — 3 990, Portugalia — 2 830, Turcja — 1 150.

Wśród tych państw Polska znalazłaby się na przedostatnim miejscu: za Portugalią i przed Turcją. W 1985 roku mieliśmy 2 120 dolarów na jednego obywatela.

Najmniejszy udział zatrudnionych w rolnictwie posiadają: Wielka Brytania — 2,6 proc., Stany Zjednoczone — 3,1 proc., Luksemburg — 4,2 proc., Szwecja — 4,8 proc., Holandia — 4,9 proc., Kanada — 5,2 proc., Republika Federalna Niemiec — 5,5 proc., a największy: Turcja — 57,1 proc., Grecja — 28,9 proc., Portugalia — 23,2 proc., Hiszpania — 17,6 proc. (W naszym kraju — dla porównania — pracuje w rolnictwie 26,4 proc. ogółu zatrudnionych).

Powyższe dane pochodzą z najnowszego tygodnika „FORUM” (nr 17). W tym samym czasopiśmie przedrukowano z radzieckiego miesięcznika „Wiek XX i Mir” bardzo ciekawą dyskusję na temat pierzastroiki. Uczestniczyli w niej historycy, socjologowie, filozofowie, publicyści, filolog i pisarz.

WSZECHWŁADZA BIUROKRACJI

Anatolij Arseniew (filozof) wątpi w to, czy można będzie zrealizować przebudowę w dającej się przewidzieć przyszłości. Istniejący system jest bowiem zdolny do regeneracji i adaptacji. Charakterystyczne go następująco:

„Wydaje się, że niedojrzałość naszych stosunków społecznych wyraża się przede wszystkim w kastowym systemie biurokracji. Powstała sytuacja, której tak bardzo obawiał się Lenin. Mówił on, że pozycja partii rządzącej jest bardzo niebezpieczna i jeśli nie będzie się surowo przestrzegać zasad, zgodnie z którą członkostwo w partii i piastowanie partyjnych funkcji nie może dawać żadnych przywilejów materialnych czy jakichkolwiek innych, partia nieuchronnie przekształci się w kastę, w biurokratyczny aparat, całkowicie oderwany od narodu. Ostrzeżenia tego nie potraktowano jednak poważnie. I dziś najpotężniejszym, dysponującym praktycznie nieograniczoną władzą hamulec przebudowy jest i będzie aparat biurokratyczny. Biurokracja, która dzięki środkom państwowym dysponuje całym systemem przywilejów kastowych, nie tylko materialnych (mieszkania, samochody, specjalne sklepy i usługi), ale także prawną bezkarnością.

Jest przy tym charakterystyczne, że biurokracja korzysta ze swoich kastowych przywilejów w sposób tajny, a publiczne mówienie o nich traktowano do niedawna jako oszczerstwo wobec władzy radzieckiej. W ogóle zresztą chronią swoją władzę, biurokracja stworzyła powszechny system kłamstwa i dwulicowości. Dlatego też najpilniejszym zadaniem na drodze przebudowy powinno być przełamanie tego systemu kłamstwa i fałszu — wypaczającego wszystkie pojęcia, w tym również moralne. Bez tego dyskusje o przebudowie tracą jakikolwiek sens.”

Zdaniem filozofa Jurija Kubicyna, nie tyle chodzi o przebudowę, co o nowy etap rewolucji, która zaczęła się w październiku 1917 roku. Trzeba na

nowo zdefiniować podstawowe pojęcia.

Jurij Burtin (publicysta) zwrócił uwagę, że przebudowę mają realizować te same grupy, które dotychczas stanowiły podstawę starego systemu: aparat partyjny i gospodarczy, instytucje naukowe, organy prasowe, sądy, prokuratura itp. Grupy te muszą działać wbrew sobie i własnej naturze.

TEORIA A PRAKTYKA

Jurij Afanasjew (historyk) uważa, że należy od nowa przeanalizować historię i teorię marksizm i nie może funkcjonować w takiej postaci jak dawniej. Niektóre zasady klasycznego marksizmu są dziś przestarzałe.

„I Marks, i Lenin wychodzili np. z założenia, iż kapitalizm spełnił już swoją rolę tworząc te siły społeczne, stosunki i polityczną nadbudowę, które trzeba było przejąć i zacząć wykorzystywać dla rozwoju socjalistycznego. Tymczasem historia potoczyła się zupełnie inaczej i to, co obserwował Marks, a nawet Lenin, było tylko jednym z wczesnych etapów kapitalizmu. Nikt, żaden geniusz nie mógł jednak przewidzieć pierwszej i drugiej rewolucji naukowo-technicznej. Wszystko to zmienia jednak zasadniczo nasze wyobrażenia o kapitalizmie i jego możliwościach, co powoduje również — i jest to naturalne — że wiele idei Marks i Lenina należy z tego punktu widzenia uznać za przestarzałe.

Obecnie konieczna jest nowa nauka o socjalizmie, która, jak dotychczas, jest jeszcze słabo rozwinięta. Pewne jej elementy można znaleźć u zachodnich marksistów, zwłaszcza u Gramsciego i Tagliatti. W tej nowej nauce wiele kwestii trzeba przemysleć od nowa. Dotyczy to np. problemu roli czynnika politycznego i państwowego, a także niebezpieczeństwa etatyzacji społeczeństwa.

Okazało się, że epoka przejściowa, w której żyjemy, jest epoką kapitalistyczno-socjalistyczną, czego klasyczny marksizm nie przewidywał. Myśleli oni, że kiedyś jeden etap się kończy, wówczas zaczyna się drugi — być może w Rosji — i obejmuje cały świat. Okazało się jednak, że epoka przejściowa, to, co nazywamy socjalizmem, jest epoką socjalistyczną, ale w konkurencji z kapitalizmem. Współistnienie obu tych formacji oblicza się przy tym nie na lata, ale na wieki. Z tego jednak wynika, że socjalizm nie jest czymś, co buduje się na gruzach kapitalizmu. Poziomien on wykorzystywać nie tyle dziedzictwo, spuściznę kapitalizmu, ale również wiele współczesnych kategorii i rozwiązań społeczeństwa kapitalistycznego z uwzględnieniem własnego odmiennego podziału własności i charakteru władzy.”

Leonid Batkin (historyk) postuluje tworzenie różnych struktur równoległych do państwowych. Ma na uwadze niezależne gazety i czasopisma oraz inne formy działalności intelektualnej. Chodzi o to, żeby władza powróciła z rąk aparatu do społeczeństwa. Na razie przebudowa nie stworzyła żadnych własnych form. Realizuje ją aparat. Nie wypracowano odpowiednich form prawnych i demokratycznych.

„Drogi odwrót nie ma. Ale czy to wszystko, co planujemy, może zakończyć się inaczej? Spójrzmy trzeźwo: może. W takim przypadku jednak kraj nasz przestanie być mocarstwem światowym. Tak jak pod względem poziomu śmiertelności wśród dzieci spadłszy na 52 miejsce na świecie, ładując wśród państw słabo rozwiniętych, tak również i pod względem wszystkich pozostałych wyznaczników, w epoce rewolucji komputerowej i nadprzewodnictwa, staniemy się państwem zacofanym. Te zależności jesteśmy zobowiązani ludziom uświadomić, muszą oni zrozumieć, że bez przebudowy utracimy na zawsze status mocarstwa światowego — zarówno w sferze militarnej, jak i politycznej, gospodarczej oraz kulturalnej.”

W NASZYM KRAJU

Kraje socjalistyczne mają wiele podobnych problemów, ale najtrudniejszą sytuacją jest w Polsce. Marek Misiak podaje na łamach „ŻYCIA GOSPODARCZEGO” (nr 17), że w stosunku do 1978 roku placę realną spadła o około 15 procent.

W ubiegłym roku wynagrodzenia nominalne wzrosły o 21,1 proc. a koszty utrzymania wzrosły o 26 procent. Pogłębił się więc spadek płac realnych.

Najgorsze jest to, że nie widać pozytywnych efektów reformy ekonomicznej, że, tak dużo jest spraw niezrozumiałych i absurdalnych. W tygodniku „SPRAWY I LUDZIE” (nr 17) Piotr Adamczyk opisuje dylematy załogi i dyrekcji hut w Oławie.

„Dziesięć lat temu koszty robocizny wynosiły w hucie 10 procent wartości wyrobu. Teraz wynoszą półtora procent. Wszystkie surowce znacznie bardziej podrożały niż praca. Przyszłość więc do przetworzenia hutnicy i pytają, co z zarobkami będzie. Mówi im wówczas o układzie zbiorowym. A oni go pytają, jak to jest, że tam na górze nie mogą się dogadać. Odpowiada im, że partia niby jest ta sama, ale nie wszędzie taka sama.

Pytają go też, jak to się dzieje, że gromadzą pieniądze na cele socjalne, a z roku na rok jest ich coraz mniej. Tłumaczy więc im to, czego właściwie nikomu wytłumaczyć nie można. Bo jak wytłumaczyć, że złotówki przeznaczone na działalność socjalną są dzisiaj w pospołone i inne niż te na inwestycje, bo złożone są z konieczności na koncie nieoprocentowanym, a więc kurczą się rocznie o kilkadziesiąt procent.

Kierownik działu obrotu materiałowego Andrzej Latka dodaje, że uposzczenie złotych sięgnęło chyba zenitu. Stworzył się bowiem zalegalizowany prawem swoisty „Pewez” w przedsiębiorstwach. Za rzeczy kierownik Latka płaci dostawcom po 32 centy za sztukę, za cegły oginotrawale zapłacił 6 tys. dol., za przekładnię 1100 dol. W zeszłym roku huta wypłacała kooperantom 30 dolarów. W tym roku będzie musiała zapłacić 30 tysięcy dolarów za materiały produkowane w kraju. (...)

Nowy dyrektor próbował odłożyć pieniądze na inwestycje, ale okazało się, że w żaden sposób nie da rady, bo co tylko odłożył, to inflacja w połowie zabrała. Wiązał wielkie nadzieje z reformą. Teraz twierdzi, że poszczególne modyfikacje jej założeń spowodowały wypaczenia w samorządności zakładów. Obecne uzależnienia i uwarunkowania tworzą, zdaniem dyrektora, system bardziej nakazowy niż w latach siedemdziesiątych.”

METRO W ŁODZI

Otwarcie pierwszego odcinka metra warszawskiego ma nastąpić w 1991 roku. A następnie metro będzie prawdopodobnie w Łodzi. Kolegium Prezydialne podjęło w 1983 roku decyzję o przystąpieniu do prac projektowych. Istnieje już wizja pierwszej linii metra łódzkiego. Przedstawia ją w „PRZEGŁADZIE TECHNICZNYM” (nr 17) Zygmunt Jazukiewicz.

„Rozpoczyna się ona od osiedla „Teofilów” i przez Rynek Bałucki wiedzie do centrum miasta. Tu zmienia kierunek na północno-południowy, przecinając najbardziej zagęszczone dzielnice wzdłuż Piotrkowskiej, następnie znów zamyka się w kierunku wschodnim i biegnie przez Dąbrowę mieszkaniową i przemysłową do osiedla Janów. Rozważa się także wariant trasy w kierunku Osiedla Chojny i Szpitala Pomnika Matki Polki.

Linia ma więc w przybliżeniu kształt litery „Z”. Jej długość wynosi 2,6 km, a pierwszy odcinek eksploatacyjny — ok. 10 km. Całość ma 22 stacje. (...) Problemu komunikacji łódzkiej nie rozwiąże jednak jedna linia metra. Jako równorzędna jest przewidziana druga — z osiedla Retklnia przez Łódź Kaliską i Fabryczną do Henrykowa i Włocławka o długości ok. 50 km. Przebiega ona ponad 40 proc. wszystkich przebiegów pasażerskich komunikacji publicznej w mieście. Nie jest to zatem wcale inwestycja o mniejszej skali niż metro warszawskie.”

E. L.

NA WŁASNY RACHUNEK

Udawanie Greka

Spora część społeczeństwa jest wyraźnie wyczerpana na opinie płynące z Zachodu, a już nieustannie powołują się na nie nasi opozycjoniści. Dla pełni obrazu trzeba sobie jednak zdawać sprawę, że to, co do nas mówią polskojęzyczne zachodnie radiostacje, wypełniające swoje zadania propagandowe, często nie pokrywa się z tym, co wypowiadają na nasz temat przedstawiciele tamtejszych miarodajnych kół politycznych i gospodarczych.

Od pewnego czasu, po kilkuletniej „zimnowojennej” przerwie, zaczął teraz w wypowiedziach zachodnich działaczy, polityków, publicystów przeważać ton rzeczowy i nawet pojednawczy, w czym nasza strona upatruje zwycięstwo politycznego realizmu, do którego przyczyniła się m. in. oczywistość naszych racji i wytrwałość, z jaką je prezentujemy światu. I choć zachodnie radiostacje wytłumiają te zmiany jak mogą, to przecież stan faktyczny nie da się całkiem zatrzeć.

Nie jest tajemnicą, że zarówno nasza wypłacalność wobec zachodnich (i innych) wierzycieli, jak i nasz wcale niemały rynek zbytu na zagraniczne towary zależą w decydującym stopniu od powodzenia drugiego etapu reformy gospodarczej. Jak wiadomo, zyskała ona sobie na ogół pozytywne oceny rzeczoznawców Banku Światowego i Międzynarodowego Funduszu Walutowego, przy zastrzeżeniach z ich strony, iż działamy ciągle zbyt „mało konsekwentnie we wdrażaniu bezwzględnych reguł gry ekonomicznej. Nie stosujemy dość surowego reżimu oszczędności, nie zwalniamy zbędnych pracowników i nie zamykamy deficytowych przedsiębiorstw, co jest prawdą, która w naszym ustroju znajduje pewne uzasadnienia społeczne.

Nasi zawodowi opozycjoniści, którzy najpierw zarzucali socjalizmowi w Polsce niereformowalność, potem mieli pretensje, że reformy zapoczątkowano bez ich udziału, a charakteryzowali ją jako nie dość zdecydowaną ekonomicznie, stali się niepostrzeżenie nie ukrytymi sprzymierzeńcami dawnego reżimu nakazowo-rozdzielczego, nie liczącego się z prawami ekonomii rynkowej, ignorującego równowagę pieniężno-towarową.

Znów agituja robotników, by żądali podwyżek płac nie mających uzasadnienia w zwiększonej produkcji i już, sama ta powtórka „waleśówek” świadczy o tym, że obca jest im myśl o gospodarce (a więc i o możliwościach poprawy bytu społeczeństwa), a jedynym celem jest osłabianie porządku prawnoustrojowego bez względu na społeczne straty i koszty.

Mają więc sobie za nic zarówno pozytywne opinie zachodnich ekspertów (a także kół kościelnych) o obranej przez Polskę drodze reform gospodarczych, jak i ostrzeżenia przed zmniejszaniem produkcji, wszystko bowiem podporządkowują taktyce walki politycznej.

Oczywiście, byłoby uproszczeniem dopatrywanie się źródeł konfliktu tylko i wyłącznie po stronie liderów polskiego podziemia. Nie bez winy są także spotykane nierzadko objawy niedowładu organizacyjnego, gospodarczej nieudolności, bezduszności i arogancji, niezdeterminowanie w likwidacji administracyjnych i innych przerosłów zatrudnienia itd., co zresztą dostrzegają na ogół i usiłują zwalczać z różnym skutkiem legalne związki zawodowe.

Trzeba uznać, że niezadowolający stan świadomości ekonomicznej społeczeństwa zależny jest od prawidłowego i jawnego funkcjonowania mechanizmu reformy, które jednak muszą podzielać przez pewien czas, zanim wpłyną decydująco na sposób myślenia ogółu zatrudnionych. Zresztą przebieg i zasięg strajków, daleki od zamierzeń i pragnień opozycji, świadczy o tym iż zmiany w myśleniu ekonomicznym już się stopniowo dokonują. Ale, jak sądzę, mogłyby one być szybsze, i ktoś ponosi za to winę, że nie są.

Otóż, jak wiadomo, w zakładach pracy działają różne ciała społeczne i polityczne, których członkowie powinni być świadomi nie tylko istoty zachodzących procesów, ale i swojej roli w uświadamianiu ich ludziom, z którymi pracują. Bo przecież nikt z nas, ludzi świadomych tego co krajowi potrzebne i co mu zagraża, nie ma moralnego prawa, by w tym co mówi lub pisze uchylać się od ponoszenia swojej części odpowiedzialności za stan umysłów współobywateli.

Zgodźmy się, że to niedługo w chwilach trudnych i decydujących nabierać wody w usta, żeby jak najbezpieczniej przekazać, a potem jeszcze wystawić pierś na odnalezienia i awanse. Widywaliśmy to nieraz...

JERZY KWIECIŃSKI

W najbliższych numerach „Odgłosów”

— Młodzi pracownicy pukali do wielu drzwi. Poszli do komendy całą grupą. Sekcja do spraw gospodarczych zainteresowała się sprawą, ale fakt ten długo nie miał żadnego wpływu na to, co dzieje się w Gertrudowie. A działa się źle, coraz gorzej — druga część reportażu PAWŁA TOMASZEWSKIEGO.

— Była noc. Wracalem z podłódzkiego miasteczka, które za-wiodło mój instynkt reporterski. Jedynym godnym uwagi faktem była narażona knajpa sąsiadująca o metr z torowiskiem tramwajowym... — reportaż ANDRZEJA MAKOWIECKIEGO.

— Zobaczyłem go zupełnie niespodziewanie. Jakies drzwi otworzyły się na oścież i stanął w nich człowiek hie tyle poważny, co pochmurny, podobny chyba do biblijnego Elizara. Z czar-nych oczu wylazła surowa i tajemnicza głębia Azji — korespondencja WASYLA KOCZNOWA z Kurganu za Uralem.

— Książkę ruski zaczął dyktować warunki cesarzowi bizantyjskiemu. Ostrzegł go, że jeśli nie dostanie siostry cesarskiej za-żonę, to Konstantynopol spotka ten sam los co Korsun. Prze-straszony Bazyl II wyraził zgodę, ale pod warunkiem, że Wło-dzimierz najpierw się ochrzczi — artykuł EDMUNDA LEWAN-DOWSKIEGO pt. „Wszetecznik został świętym”.

— Coś chyba w tym jest, że sukces uzyskują ci, którzy stąd wyjechali i umieli odejść od tutejszych ograniczeń. Początkowo ich się krytykuje, bo jak tak można uciekać od polskich spraw — artykuł TOMASZA A. WŁODKOWSKIEGO.

— Kiedyś chciałem zrobić coś na eksport, ale formalności mnie dobiły — mówi JAN REISING.

1.

Polska znów znalazła się na pierwszych stronach gazet w wielu krajach świata. Nie ma jednak zupełnie z czego się cieszyć. Powodem tego zainteresowania Polską są bowiem panujące od dłuższego już czasu niepokoje oraz strajki, jakie wybuchły w Gdańsku, Krakowie, Stalowej Woli czy Wrocławiu. Nie będę ukrywał, że ucieszyłoby mnie, gdyby prasa wielu krajów pisała o Polsce, gdyż to — dzięki naszej pracowitości, dobrej organizacji i licznym wynalazkom — udało się dokonać „cudu gospodarczego” i już zapomniałoby o naszych zadłużeniach i o kryzysie. Byłbym też rad, gdyby zainteresowanie wielu zagranicznych dzienników, a także radia i telewizji, spowodowane było niebywałymi osiągnięciami naszej nauki, co wzbudziłoby podziw na całym świecie. Nic jednak z tych rzeczy. Świat jest zadziwiony, ale nie-

Stanisław Cat Machevica — narodem polskim, można nazwać rządzą, jeśli się wszystko potępi, za żadną rzeczywistość nie bierze odpowiedzialności, zawsze się apeluje do uczuć niezadowolonych, krytyki, bezwzględnej potępienia”.

Rzeczywistość początku maja 1988 roku potwierdza te spostrzeżenia, co nie znaczy, że w tej rzeczywistości nie ma powodów do niezadowolonych.

3.

Ceny i płace, płace i ceny w Polsce zawsze były powodem do niezadowolonych. Do już to pamiętnych wydarzeń doszło właśnie z powodu cen i płac. Kiedyś chciałby dużo zarabiać, mało pracować i wiele mieć za to kupić. Ale na taką rzeczywistość gospodarstwa — jeśli ona w ogóle jest możliwa — trzeba sobie spłodzić zapracować. U nas — tymczasem — nadal próbuje się oddzielać pracę od płacy i płacę od pracy. Postulat dołożenia każdemu po 20 000

dejrza. W prywatnym — może się dorobić, na szwindlach — proszę bardzo, ale pracą — wara!

4.

Władza na ogół bywa zadowolona z siebie. Ludzie z władzy mniej. W „Stanowisku OPZZ wobec sytuacji w kraju” zarzuca się władzom:

„Stwierdzamy, że niekorzystne decyzje dotyczące cen i płac, pustoszące rynek i wzmagające inflację oraz system podatkowy dławiący podaż towarów rynkowych i usług doprowadziły do obecnego stanu. Arogancja, opieszałość i brak reakcji ze strony części administracji na sygnały płynące od związków zawodowych potęgowały napięcia. To wszystko, jest jedną z głównych przyczyn obecnego niepokoju, sporów i konfliktów”.

Wszakże to niezadowolone wynikające z rodzących się i nasilających sprzeczności postawili wykorzystać dla swoich

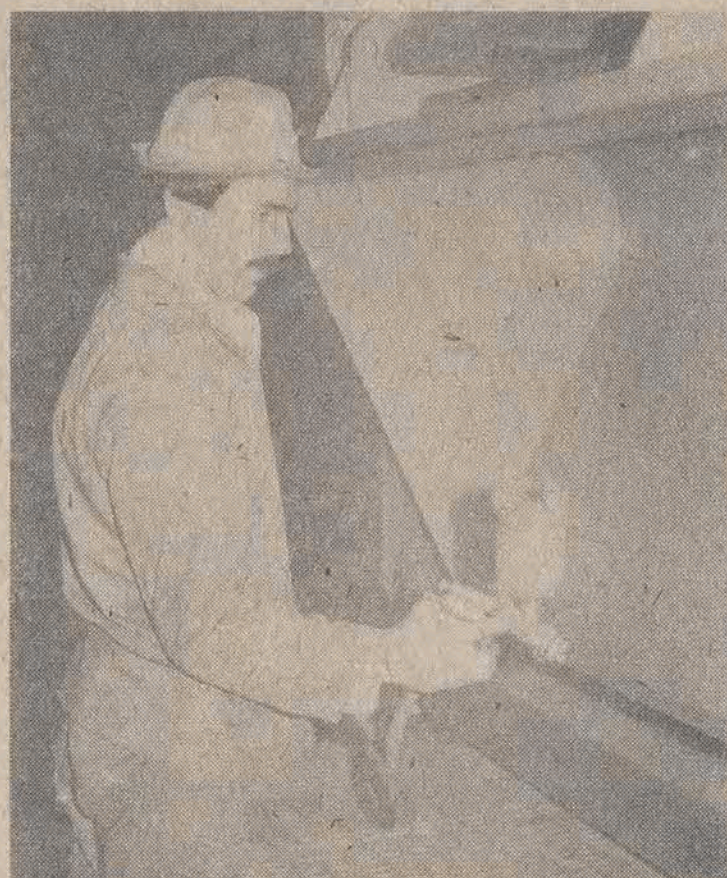
zwiększenia uczestnictwa ludzi pracy w zarządzaniu gospodarką i rozstrzyganiu spraw kraju” wtedy zebrały się komitety partyjne w Hucie im. Włodzimierza Lenina i w Stoczni Gdańskiej. Dlaczego tak późno? I jakie było ich stanowisko w sprawie powstałych tam konfliktów?

To późne zebranie się instancji partyjnych, kiedy właściwie było już po wszystkim, wysoce musi niepokoić. Zle to bowiem świadczy o kondycji organizacji partyjnych, które nie potrafią szybko reagować, zajmować stanowiska, wyrażać zbiorowej opinii, nawet gdyby rozdziła się ona w sporach i bólach.

A przecież właśnie partii potrzebna krytyczna myśl o otaczającej nas rzeczywistości. Nie można poprzestawać tylko i wyłącznie na „urzędowym optymizmie” lub zadowalać się „społecznymi odczuciami”, bo ani jedno, ani drugie nie oddaje całej złożoności tego, co się u nas dokonuje.

ZUGIL

Foto: WŁODZIMIERZ KALCZAK



Z tej ziemi

Nikt przecież nie obiecywał, że będzie łatwo

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

przerwanie trwałym kryzysem. Mamy taką rzeczywistość wokół nas, jaką sobie stworzyliśmy. Nie wszyscy się na nią godzą, ale jakoś nie ma wspólnej chęci, aby ją zmienić na inną, lepszą, bardziej pożądaną. I żeby to zrobić wspólną pracą, a nie oczekiwaniem na cud

2.

Gdy w społeczeństwie naszym rośnie napięcie, gdy rodzą się konflikty, ujawniają się sprzeczności, sięgamy do „Sprawozdania z prac Komisji KC PZPR powołanej dla wyjaśnienia przyczyn i przebiegu konfliktów społecznych w dzielnicach Polski Ludowej”. W ostatnim rozdziale tego „Sprawozdania” są wskazania, co należy zrobić, aby uniknąć kryzysów. Czytam więc w tych wskazaniach między innymi:

„We wszystkich kryzysach niezwykle ważną rolę odgrywały sprzeczności o charakterze społeczno-ekonomicznym, przy równoczesnym występowaniu zjawisk niesprawiedliwości społecznej, niezasadzonych różnic materialnych i przywilejów. Konieczne jest więc bardzo staranne i obiektywne badanie warunków materialnych całego społeczeństwa, a zwłaszcza klasy robotniczej i wyciąganie w porę wniosków z sygnałów świadczących o pojawiających się nieprawidłowościach. (...)

Warunki ekonomiczne, w jakich działamy, muszą być prawdziwe i obiektywnie przedstawione narodom. Nie wolno ukrywać trudności i wyolbrzymiać osiągnięć, gdyż rodzi to w konsekwencji wyobrażenia i oczekiwania na wyrost, niezgodne z rzeczywistym stanem rzeczy. Stałą, solidną informację i wyjaśnienie wymaga funkcjonowanie mechanizmów reformy gospodarczej, a to szczególnie uzależnienia płac i cen od wydajności pracy i efektywności działania systemu gospodarczego”.

W świadomości społecznej funkcjonują jakby dwie sprzeczne z sobą oceny naszej sytuacji: „urzędowy optymizm”, wedle którego jest trudno, ale wszystko idzie ku lepszemu i coraz silniej utrwalające się przekonanie, że minęło 7 lat reformy a jej skutki są minimalne. Teraz rozpoczynamy drugi etap tej reformy i rozpoczynamy go wzrostem cen o 45 procent. Urzędowe dane wprowadzają do 60 procent, ale każdy sięga do własnych doświadczeń — czyli do własnego portfela — i nie dostrzega tych 60 procent, o jakie miały wzrosnąć jego dochody. Mamy więc klasyczny przykład ze sprzecznością między interesem ogólnym a indywidualnym. Wprawdzie już podczas referendum zapewniano, że będziemy musieli pokonywać znaczne trudności, że nie będzie się nam lekko żyło, że to wyrzeczenia są potrzebne dla szybkiego zreformowania wadliwie funkcjonującej gospodarki. Ale te założenia nie spotkały się z powszechnym aplauzem.

„Od Konfederacji Barskiej, której nie lubię i nie szanuję, od kiedy ją bliżej poznałem — napisał w książce „Zielone oczy”

złoty jest może i chwytliwy, ale niczego nie zmienia. Płaca musi być ściśle związana z pracą i musi być zróżnicowana. A przecież nie jest. Na naszej gospodarce ciąży powszechne dążenie do tego, aby wszyscy zarabiali tyle samo. A to jest niemożliwe, bo to zatrzyma rozwój kraju, gospodarki i społeczeństwa i spowoduje jego upadek.

Minister Ireneusz Sekula w rozmowie z dziennikarzami „Trybuny Ludu” powiedział między innymi:

„Płacy przeciętnej sądzają prawie wszyscy, którzy jej nie mają. A przecież każde zbliżenie płac określonej grupy do przeciętnej — podwyższa tę przeciętną. To sciganie umykającego horyzontu, który można osiągnąć tylko w jednym przypadku, gdy wszyscy osiągną przeciętną, to znaczy będą mieli wynagrodzenie identyczne.

Tymczasem tylko przez zróżnicowanie płac możemy tworzyć warunki do ujawnienia się przedsiębiorczości i inicjatywy pracowniczej. Wygraność powinniśmy najlepiej, najdłużej, najbardziej — twórczy i wydajni, a przegraność leniwi, nierzetelni, o niskich kwalifikacjach zawodowych.

Oczywiście polarizacja płac różnicuje także poziom konsumpcji. Jest to objaw zdrowy, normalny i motywujący, choć nie może on być pomijany w polityce społecznej”.

Trudno tym założeniom odmówić racji, ale przecież odbiegają one od praktyki. Przede wszystkim nikt do tej pory nie powazył się na zaatakowanie przywilejów różnych zawodów, ot, choćby górników. Dostają oni węgiel, a większość z nich mieszka w... blokach. Równowartości płynącej z przywilejów — czyli deputatów — nikt nie wlicza do średniej płacy. W ogóle nie wlicza do niej. Uważa, że mu się to należy i koniec.

Po drugie — niedawno Komitet Wykonawczy OPZZ wystosował pismo do marszałka Sejmu PRL z prośbą o przyspieszenie prac nad nowelizacją ustawy o zakładowych systemach wynagradzania. Dziś mamy bowiem taką sytuację, że czy się pracuje w przedsiębiorstwie, które przynosi ogromne zyski, czy w takim, które chyli się ku upadkowi, to w zasadzie nie odbija się to w płacy. A powinno. Tylko, że bez zakładowych systemów wynagradzania, a przy centralnym regulowaniu płac, czegoś takiego się nie osiągnie.

I po trzecie — stworzono taki system podatkowy, że każda fabryka chce dać ludziom zarobić tyle, ile właściwie wynosi ich praca, popadnie w dług i będzie musiała zbankrutować. Z jednej strony bowiem wzywa się u nas do wykazywania inicjatywy, przedsiębiorczości, do dorabiania sobie, a z drugiej uniemożliwia się podatkową barierą wykorzystywanie wyników tej przedsiębiorczości i inicjatywy. Za pracę trzeba płacić, a jak się będzie płacić — to Urząd Skarbowy uruchomi „gilotynę podatkową”. Żeby nikt się przypadkiem nie dorobił w państwowym przedsiębiorstwie, bo to wiele po-

celów politycy minionego okresu. Postanowili powtórzyć scenariusz gry politycznej sprzed 8 lat, nie rozumiejąc, że Polska roku 1988, to już nie Polska roku 1980. Rozgrzanie celów politycznych przy pomocy strajków już było i niczego dobrego nie przyniosło. Spór o to, kto jest dziś prawdziwym reprezentantem społeczeństwa polskiego też do niczego nie prowadzi. Społeczeństwo jest podzielone, zróżnicowane i nie może mieć „jedynego, prawdziwego przedstawiciela”. Zresztą, ilekroć słyszę przymiotnik: prawdziwy — natychmiast nabieram nieufności, jak również do tych, którzy chcą przemawiać w imieniu całego społeczeństwa.

5.

W liście do redakcji „Odgłosów” Michał Cezak napisał:

„Nikt z nas strajków nie chce, wiemy czym one grożą naszej gospodarce. Wyobraźnię mamy lepszą niż się to niektórym wydaje — więc nawet słusznie, że wpadł ktoś na pomysł, aby zaprzestać wyliczania, ile to lodów, samochodów czy telewizorów utraciliśmy (normalnie tych artykułów też kupić nie można)”.

Kilka lat temu brałem udział w spotkaniu w dość wąskim gronie z ówczesnym ministrem finansów. Kto nim był, już nie pamiętam. Nie o to chodzi. Owym ministrem przedstawił nam stan Skarbu Państwa, gdyż chcieliśmy uzyskać parę miliardów na potrzeby Łodzi. Nie zaglądając w żadne papiery wyliczył minister biliony, miliardy, obdawał, odejmował i wyszło mu, że w kasie pozostało kilka marnych miliardów, dużo mniej niż Łódź było potrzebna. Patrzyliśmy na ministra nabożnie. Podejrzewam, że nikt z nas nigdy w ręku nie miał miliona złotych, choć dysponował milionami zapisanymi w budżecie swych instytucji, co dopiero myśleć o miliardach. To była abstrakcja.

Taką abstrakcją jest wyliczanie, ile to strat powstało na skutek strajków. O wzajemnych powiązaniach gospodarki trzeba mówić na co dzień, gdyż każde zahamowanie produkcji w jakiegokolwiek fabryce odbija się ujemnie na stanie całego gospodarstwa. To jest normalne! I trzeba o tym stale przypominać, bo również zła praca, wadliwa technologia, produkcja braków podobne straty przynosi. Ale na to staliśmy się jakby nieczuli. To błąd! Zatrzymanie produkcji z powodu braku surowców, części, paliwa i tak dalej podobnie ujemnie wpływa na całość gospodarstwa. Ale o tym wiedzą najlepiej przede wszystkim zaopatrzeniowcy. Może by więc częściej wspominać w telewizji, ile to braknie samochodów, telewizorów i lodówek z powodu złej organizacji pracy, brakorobstwa, lenistwa i głupoty.

6.

Gdy Biuro Polityczne KC PZPR oświadczyło, że „oczekuje od instancji i organizacji partyjnych oraz władz państwowych większej konsekwencji i zdecydowania w realizacji reform, rozwoju samorządności,

Taka krytyczna myśl jest potrzebna właśnie teraz, gdy mamy do czynienia z nawrotem konserwizmu, gdy wobec niebywałego stopnia złożoności sytuacji wraca się do utartych i wypróbowanych — choć też skompromitowanych — schematów, gdy braknie odwagi przyznania się do niezrozumienia sytuacji. Taka krytyczna myśl jest też potrzebna dlatego, że każdy nawrót konserwizmu u nas odbija się ujemnym echem w całym obozie socjalistycznym, który szuka swoich sposobów „pierestrojki”. A już przede wszystkim szkodzi losom „pierestrojki” w ZSRR. Co dziwniejsze, że prawdę tę dostrzegają komentatorzy nad Oceanem lub nad Sekwaną czy Tamizą, a trudno ją dostrzec nad Wisłą lub nad Morzem Bałtyckim.

W Związku Radzieckim toczą się ostre dyskusje nie tylko o roli i miejscu Józefa Stalina w historii, ale o dorobku marksizmu-leninizmu, dokonuje się przewrót w historii wielu pojęć i teorii. U nas takich dyskusji jakby brakowało. Czy już wszystko powiedzieliśmy na temat przeszłości, teraźniejszości i przyszłości naszej rzeczywistości? Brakuje zatem odwagi — czy myśli?

Jeśli PZPR ma spełniać dalej swoją przewodnią i kierowniczą rolę, to musi w niej powstać krytyczna myśl na temat jej pozycji, roli i stanu świadomości członków. Pojawiają się bowiem coraz częściej głosy o potrzebie powołania do życia... drugiej partii socjalistycznej.

7.

Co można powiedzieć o „Ustawie o nadzwyczajnych uprawnieniach dla Rady Ministrów”? Nic nie można powiedzieć, bo nie znam projektu tej ustawy. Można powiedzieć tylko tyle, że Komitet Wykonawczy OPZZ zaprotestował przeciw zamiarowi zawieszenia „uprawnień związków zawodowych do reprezentowania oraz obrony praw i interesów ludzi pracy i ich rodzin”. Zawieszenie tych uprawnień uniemożliwiłoby związkom zawodowym realizowanie ich ustawowych uprawnień. Czy Sejm PRL weźmie pod uwagę te zastrzeżenia i ten protest?

Można też powiedzieć, że Rada Socjalno-Gospodarcza przy Sejmie PRL uchwaliła opinię na temat tych specjalnych uprawnień przy 10 głosach przeciwnych i 17 wstrzymujących się. Nie mogę powstrzymać się przed wyrażeniem wątpliwości, że nie najlepiej świadczy o sile i sprawności rządu, który musi uciekać się do specjalnych uprawnień. Czyż nie można takich samych skutków uzyskać do tej pory dostępnymi metodami? Że będzie trudniej — to wiadomo. Nikt przecież nie obiecywał, że będzie łatwo.

Przyszłość zrobiła się z gabinetu nie-
szkane — uśmie-
cha się powściągli-
wie Wiesław Gieł,
przewodniczący fe-
deracji związkowej przedsiębior-
stw komunikacji miejskiej.
Gestem wskazuje na siebie, na
ustawione pod ścianą fotele: —
zestawiałem je w nocy, żeby się
zdrzemnąć. Do domu wpada-
łem tylko na godzinę lub dwie,
nie dłużej, bo telefony nadcho-
dziły bez względu na porę. Te-
raz — po pomyślnym zakończe-
niu negocjacji z rządem — ja
i koledzy z prezydium odczyna-
my po prostu ulgę. Nie jest to
pełne odprężenie, bo w nie-
których miastach trwają jesz-
cze rozmowy na szczeblu lokal-
nym. Myślę jednak, że najgor-
sze mamy za sobą.

„Najgorsze” dopadło przewo-
dniczącego w Warszawie, w po-
niedziałek 23 kwietnia 1988 r.,
gdy wybierał się na posiedzenie
Komitetu Wykonawczego Pre-
zydium OPZZ. Jeden telefon
sprawił, że wyjechał nagle do
Bydgoszczy, gdzie od rana trwał
protest załogi WPK. Zdażył je-
szcze na trzecią i ostatnią turę
rozmów z wojewodą, przysłał
się składaniu podpisów pod o-
siągniętym porozumieniem, prze-
mawiał następnie do załogi
WPK, informując o sporze zbioro-
wym związkowców z rządem.
Nazajutrz był już z powrotem
w Łodzi, w siedzibie Federacji
Związków Zawodowych Pracow-
ników Komunikacji Miejskiej.

porcje: w 1986 roku średnia
płaca w komunikacji miejskiej
wynosiła 21 tys. zł — o tysiąc
złoty mniej od średniej w
przemśle. Różnica ta pogłębi-
ła się jeszcze w latach nastę-
pnych.
Nie pomógł też nowy system
płac, wprowadzony zbyt późno,
nie zawsze konsekwentnie, z u-
względnieniem możliwości fi-
nansowych poszczególnych
przedsiębiorstw. Okazały się
one zbyt małe, aby zaspokoić
w pełni apetyty placowe załóg,
rosnące wraz z podwyżkami cen.
Co więcej, były one różne —
największe w stolicy, w Bydgo-
szczu czy Łodzi znacznie mniej-
sze — co w ostatnich dwóch la-
tach doprowadziło do dużego
zróżnicowania zarobków w o-
brębie branży (od 24 do 33 tys.
zł średniej płacy). Najważniej-
sze jest jednak to, że możliwo-
ści te wynikały nie tyle ze stanu
gospodarki w poszczególnych
przedsiębiorstwach (co byłoby
zgodne z reformą), lecz z tego,
na ile zasobny okazał się
budżet terenowy, z którego wy-
płaca się tzw. dotacje przedmio-
towe. Innymi słowy:

**Płace uzależnione zostały
głównie od zasobności kasy
w ratunku — niezależnie od
wielkości i zakresu
świadczonych usług.**

— Różnice zarobków w
przedsiębiorstwach komunika-
cyjnych o podobnej wielkości

podobna, ale jest faktem, że
był to zwyczajny list, o praw-
da z pięknym nadrukiem mi-
nisterstwa, ale zwykły — nie
polecony.

Nie doczekawszy się więc od-
powiedzi, kierownictwo fede-
racji zdecydowało pod koniec
marca o rozpoczęciu sporu
zbiorowego.

Następny list do premiera
wysłany został z datą 6 kwiet-
nia, zaraz po zakończeniu obrad
prezydium federacji. Poinfor-
mowano w nim o wejściu na
drogę sporu zbiorowego z rzą-
dem. Zgodnie z wymogami
ustawy o związkach zawodo-
wych, odpowiedź powinna była
nadejść w ciągu dwóch ty-
godni. Nie nadeszła.

— Ale — zastrzega się prze-
wodniczący federacji — pro-
wadziliśmy już wtedy nieofic-
jalne rozmowy z naszym resor-
tem.

Przez dłuższy czas nie było
jednak wiadomo, gdzie i kiedy
można będzie rozpocząć ofic-
jalne negocjacje. Nie podjęto
w tej sprawie żadnej wiążącej
decyzji. Aż do ostatniego, „go-
rącego” tygodnia kwietnia, gdy
związkowcy zmienili się w
strażaków. Wtedy dopiero mi-
nister Janusz Kamiński z re-
sortu transportu, zezwolił i
łączności zaproponował podje-
cie rozmów w czwartek, 28
kwietnia w Warszawie. W cza-
sie tej pierwszej rundy nastę-
piło zbliżenie stanowisk, zaś
w czasie drugiej rundy, w so-

wione wiele w czasie łódz-
kiego spotkania. Podsekretarz
F. Wieladek ocenił na nim, że
przyjęty w porozumieniu ter-
min 1 stycznia 1989 r. nie
pozwala zbyt wiele czasu,
ponieważ trzeba będzie po-
zmieniać wiele przepisów, co
leży w gestii Rady Ministrów,
a częściowo także Sejmowi, gdyż
potrzeba zmiany dotyczy rów-
nież niektórych ustaw. Spot-
kało się to z reakcją jednego
z obecnych na sali dyrekto-
rów, który zaproponował, aby
przyspieszyć zapowiadany ter-
min, bo w tej szczególnej sy-
tuacji nie wydaje się on wcale
zbyt bliski. Zgłosił więc
wniosek, żeby wykorzystać w
tym celu przygotowywane
właśnie przez rząd specjalne
uprawnienia dla wicepremiera
Zdzisława Sadowskiego.

Ciekawe było wystąpienie in-
nego dyrektora, który wymie-
nił niektóre obowiązujące do
tej pory przepisy, „blokujące”
pełną realizację postanowień
wspólnego porozumienia. Za-
rzut ten nie jest błahy, gdyż
dotyczy m.in. tak poważnej
sprawy, jak ogólnej konstrukcji
systemu finansowania i doto-
wania przedsiębiorstw komunika-
cyjnych. Sprawa ona, że
oszczędzanie staje się czyn-
nością jałową, bowiem jego
efekty nie pozostają na miej-
scu, w przedsiębiorstwie, lecz
wedrują do budżetu central-
nego. Po co zatem obniżać
koszty własne? Inny przykład,
również podany na spotka-

Dworzec, któremu zabrano duszę

ze str. 1

trasy wybrano linię Warszawa—Grodzisk—Skierniewice—Kolusz-
ki—Piotrków—Częstochowa—Ząbkowice Będzińskie—Strzemieszy-
ce—Mazki (nad granicą z Galicją). Ekipa inżynierów wśród
których byli: Franciszek Leszczyński, Franciszek de Pollini, Ja-
kub Szefer i Konstanty Kamiński rozpoczęła prace przygo-
tawcze pod kierunkiem Stanisława Wysockiego. Sam Wysocki
w celu zapoznania się z problemami budowy i eksploatacji ko-
lei żelaznej odbył kilkumiesięczną podróż po Europie Zachod-
niej.

Do 1840 roku prace projektowe (szczegółowe wytyczenie tra-
sy, projekty robót ziemnych i plany mostów) były zakończone.
Niezłocznie przystąpiono do prac w terenie, które rozpoczęto
równocześnie na całej trasie kolei podzielonej na cztery odcin-
ki (Warszawa—Skierniewice, Skierniewice—Piotrków, Piotrków
—Częstochowa i Częstochowa—granica). Pierwotna długość
szlaku miała wynosić 307 km, ale za sprawą namiestnika car-
skiego — Paskiewicza linię wydłużono o odcinek ze Skierniewic
do Łowicza, gdzie Iwan Paskiewicz miał pałac i wielki majątek
ziemski. W ten sposób długość linii wzrosła do 328 km.

Dyskusje wokół kolei żelaznej nie ograniczały się jedynie do
przebiegu trasy. Spór dotyczył także wyboru techniki trans-
portu. Do wyboru były dwie — tańsza w realizacji koncepcja
transportu konnego po szynach ułożonych na podkładach równo-
ległych, albo przystosowanie szlaku do ruchu parowozów, czyli
budowa toru według „systemu angielskiego” na podkładach po-
przecznych. Zarówno Henryk Łubiński, jak i Iwan Paskiewicz
byli zwolennikami wykorzystania koni jako siły pociągowej na
kolei, zwłaszcza że przewidywali jedynie towarowe przeznacze-
nie szlaku. Hrabia Łubiński tak wypowiadał się na ten temat:
„...na lokomotywę potrzeba znacznego wkładu kapitału i zna-
cznych kosztów utrzymania, nadto konieczny węgiel jest na sa-
my koniec drogi, tak iż trzeba będzie prawie trzecią część siły
lokomotywy użyć na rozwieszenie węgla po stacjach. W kraju naszym
taki jest tani owies i siano, takie tanie konie, że zdaje się że
wszystkiego, iż nierównie taniej te 4 mln cetnarów (na tyle szaco-
wano roczne potrzeby przewozowe kolei — przyp. aut.) prze-
wieźć będzie można koniami jak maszynami parowymi (...) ale
jak urządzić transporta — czy nogą za nogą, czy kłusem? Że
konie ciągnie więcej wolno idąc jak biegnąc, to nie ma kwestii.”
22 II 1841 roku Bank Polski opowiedział się za lokomotywa-
mi parowymi i szynami angielskimi (tzw. railsami), mimo że
sam namiestnik Iwan Paskiewicz twierdził, że transport konny
będzie bardziej regularny i bezpieczniejszy.

Wiosną 1842 roku roboty ziemne na całej trasie zakończono.
Jednak mimo niskich kosztów budowy w stosunku do robót
szlakowych w Prusach czy Austrii (niskie kwoty wywłaszcze-
niowe w zaborze rosyjskim, bardzo tania siła robocza) pienię-
dzy wystarczyło tylko na pierwszą część budowy. Brak fundu-
szów, małe zainteresowanie akcjami Towarzystwa (z pięciu tys.
wydrukowanych akcji zdołano sprzedać tylko 71) doprowadziło
do bankructwa „spółki” rozwiązana Towarzystwa Warszawsko-
Wiedeńskiej Drogi Żelaznej, co nastąpiło 31 maja 1842 roku.

Prace zostały przerwane i dopiero dwa lata później z inicja-
tywy Banku Pożyczkowego Cesarstwa budowę Kolei Warszaw-
sko-Wiedeńskiej wznowiono, a już w czerwcu 1845 roku oddany
został do użytku pierwszy odcinek kolei z Warszawy do Gro-
dziska. Z okazji przyjazdu pierwszego pociągu, sam Iwan Pas-
kiewicz urządził bankiet, na którym sprawował honory domu.

W tym samym roku uruchomiono dwa kolejne odcinki kolei
żelaznej do Skierniewic i do Łowicza, a w 1848 roku pociąg ru-
szył na ostatnią część trasy — z Ząbkowic do granicy.

Po dobudowaniu toru z Koruszek do Łodzi Fabrycznej linia
kolejowa z Warszawy w kierunku Częstochowy nabrała kształ-
tów znanych nam współcześnie.

**Jest rok 1988 — 143 lata od przybycia do Skierniewic
pierwszego pociągu z Warszawy...**

Budynek dworca — okazały i wysoki — ze stylowymi ozdoba-
mi i wieżyczkami wygląda ponuro Szary tynek odpada plata-
mi ukazując kolorystyczne zmiany tego gmachu na przestrze-
ni półtora wieku.

Na przystanku placu stoją autobusy PKS. Obszar ziemi
przed dworcem został zalany betonem i asfaltem. Tylko brudna,
zakurzona ziemia pozostała przy życiu trawników rozjaśnia
szarość.

W 143 lata po pierwszych podróżnych wchodzą do budynku
dworca. Drogę do wnętrza otwierają wahadłowe drzwi, skrzy-
pice przeraźliwie reumatyzmem swoich starych zawiasów. Wita
mnie pusta sala opanowana przez wiatr. Kurz i śmiecie wedru-
ją z kąta w kąt roznoszone przez wieczny przeciąg.

Na ścianie wisł monitor informujący o pięciu najbliższych
odjazdach. Na czarno-białym ekranie zupełnie nieczytelne są
informacje o pociągach pośpiesznych — niewiele osób potrafi
dojrzeć małą literkę „P” obok godziny odjazdu.

Ścienny, całodobowy rozkład jazdy to mało czytelna, czerw-
no-czarna mozaika cyfr przytwierdzonych do drewnianej kon-
strukcji wysoko pod sufitem.



Związkowcy zamienili się w strażaków

Jazda we mgle

ANDRZEJ GĘBAROWSKI

w PRL przy ul. Traugutta 12.
„Zamieszkał” pod tym adresem
do soboty, do czasu zawieszenia
negocjacji z rządem.

Zanim powtórnie znalazł się
w stolicy, od wtorku przez
kilka następnych dni trzeba by-
ło występować w roli strażaka,
gaspazącego drastycznie rozbucha-
ne emocje.

— Wiadomość o wydarzeniach
w Bydgoszczy dotarła niezwykle
szybko do innych miast —
wspomina. — Stworzyło to nie-
bezpieczną atmosferę. Starali-
śmy się utrzymywać stały kon-
takt z organizacjami związko-
wymi w przedsiębiorstwach, za-
godzać nastroje. Zależało nam
na tym w obliczu zbliżających
się negocjacji. W przeciwnym
razie zachodziła obawa, że nie
dojdą one do skutku.

W środę 27 kwietnia 1988 r.,
gdy po raz pierwszy odwiedził
miejscowe siedzibę federacji, na sto-
liku w gabinecie przewodniczą-
cego leżała mała książeczka z
ustawą o związkach zawodo-
wych, otwarta akurat na roz-
dział dotyczący prawa do
strajku. Przewodniczący i je-
go zastępca — Józef Druker,
mieli za kilka godzin wystąpić
w telewizji, w programie redak-
tora Adama Bronikowskiego.
Mówili tymczasem o Toruniu,
gdzie wstrzymano się „na pięć
minut” przed rozpoczęciem pro-
testu”. Podobnie, nieco później,
ledwie zdołano zapobiec za-
trzymaniu komunikacji w No-
wym Sączu. Jeszcze w piątek,
gdy jeden z wiceprzewodniczą-
cych federacji przybył do Go-
rzo-wa Wielkopolskiego, zastał
tam grupę kierowców, przygo-
towaną do strajku. Niedobra,
niespokojna atmosfera panowała
w zakładach wielu miast kra-
ju — również w Łodzi. Oczeki-
wano z niecierpliwością i na-
dzieją na rozmowy z rządem.

**Jak doszło do tak napiętej
situacji?**

Pogarszała się stopniowo, w
ciągu ostatnich czterech lat. Nie
tak daleko w przeszłość, gdy
kierowców i motorniczych
MPK zaliczano do grupy pra-
cowników dobrze zarabiających,
z przysługą. Jeszcze w 1984
r. średnia płaca w komunika-
cji miejskiej wynosiła 19 tys.
zł i przewyższała średnią w
przemśle i budownictwie. Kie-
rowców nie trzeba było wtedy
specjalnie szukać — zgłaszali
się sami, nawet z dyplomami
wyższych uczelni. W rok póź-
niej było już odwrotnie: licz-
ba chętnych malała, więcej lu-
dzi odeszło, niż podjęło pracę.
Przyczyna były zarobki, wzra-
stające wolniej, niż w pozos-
tatych działach gospodarki. Ry-
chło pojawiły się odwrotne pro-

szę dopuszczalne z jednego tyl-
ko powodu — mówi przewodni-
czący — jeśli wynikały one z
różnicy w ilości pracy (na je-
dnego zatrudnionego) i z jako-
ści świadczonych usług.

Kierowca autobusu we Wro-
clawiu czy Łodzi zarabiał spo-
ro, ale kosztował dużej ilości go-
dzin nadliczbowych, które mu-
si „wyjeżdżać”, gdyż — po
pierwsze — zmusza go do tego
brak kierowców, oraz — po dru-
gie — tylko w ten sposób może
„utrzymać się na powierzchni”.
Wie jednocześnie, że jego war-
szawski kolega jest w lepszej
sytuacji materialnej, przy mniej-
szej ilości godzin nadliczbo-
wych. Wie także, że nie be-
dzie już mógł „dobrać” sobie
kolejnych nadgodzin, bo po
prostu nie wystarczy czasu na
odpoczynek. Decyduje się więc
coraz częściej na odejście z
przedsiębiorstwa, przez co po-
głębia niedobór kierowców, po-
garszając warunki pracy pozos-
tatych w MPK kolegów.

— Z łódzką komunikacją
związanym jestem od 1956 roku.
Nie pamiętam jeszcze tak du-
żej fluktuacji kadr — podsu-
mowuje przewodniczący.

Od początku 1988 r. wyda-
rzenia nabrały szybszego tem-
pa. Do federacji zaczęły na-
pływać uchwały, rezolucje, sta-
nowiska zakładowych organi-
zacji związkowych z wielu
miast kraju, domagające się
jak najszybszego uregulowania
spraw placowych. 14 lutego
federacja wystosowała specja-
lne teleks do premiera, pod-
kreślając wagę problemu i
konieczność podjęcia natych-
miastowych kroków w celu
jego rozwiązania. Zapropono-
wano nawet, aby nowy system
płac wprowadzony został od
1 kwietnia.

„Brak szybkiej decyzji —
ostrzegala federacja — będzie
powodował wzrost napięcia,
które może przerodzić się w
niekontrolowany rozwój wyda-
rzeń, nad którym trudno bę-
dzie zapanować z uwagi na
rodzaj świadczonych przez nas
usług”. Dalej czytamy: „Pre-
zydium federacji z całą mocą
podkreśla, że nie odstąpi od
statutowych uprawnień zwią-
ku, na rzecz realizowania szus-
nych żądań załóg”.

Na teleks, potwierdzony nastę-
pnego dnia oficjalnym pis-
mem, nie nadeszła początkowo
żadna odpowiedź, choć — jak
się później zorientowano —
odpowiedź została wystosowa-
na w pierwszych dniach marca.
Do związkowców dotarła
jednak, dopiero w kwietniu,
kiedy zdążyli już wysłać nastę-
pne, ostrzejsze w tonie pis-
ma. Zawiniła pomoc pocztą.
Może się to wydać nieprawdo-

botę 30 kwietnia, osiągnięto
ostateczne porozumienie.

Ustala ono w pierwszym
punkcie, że trzy mogą być
źródła finansowania funduszu
płac (ważna jest tu kolejność):

1. obniżka kosztów własnych
przedsiębiorstwa, pokrycie
potrzeb finansowych z
budżetu terenowego, wzrost
dochodów własnych MPK
i WPK.

W pozostałych dwóch punk-
tach porozumienia ujęto dzia-
łania na dziś (doraźne) oraz
zadania perspektywiczne (opra-
cowanie nowego systemu) w
celu poprawy plac. W ramach
działań doraźnych podjęto de-
cyzję o wyłączeniu z podatku
(tzw. PPWW) niektórych ele-
mentów plac o charakterze mo-
tywacyjnym, specyficznych
dla komunikacji miejskiej.
Efekty powinny być szybkie,
ale jak duże — trudno tak od-
razu odpowiedzieć.

— Ołowiki, liczydła i kalku-
latory na pewno już liczą —
przypuszcza W. Gieł. — Sam
jestem ciekawy, ile to wyniesie
w poszczególnych zakładach.
Zdaje sobie sprawę, że nie
wszystkie załogi mogą być z
osiągniętych korzyści zadowo-
nione. Ale wiem i to, że w o-
becnej sytuacji ekonomicznej
uzyskalimy wszystko, co było
do uzyskania.

Ważne jest również słówko
„specyficzne”, w odniesieniu do
„niektórych elementów plac”.
Jakie są te elementy — pra-
cownicy komunikacji miejskiej
już wiedzą, zaś innym nie
wypada przekazywać. Taką
była przynajmniej umowa pod-
czas negocjacji, skoro zatroszc-
zono się nawet o dyskrecję
wobec prasy. Dokładniej spre-
cyzował te intencje podsekre-
taryz F. Wieladek — na spot-
kaniu z aktywnym przedsta-
wicielstwem komunikacyjnych, któ-
re odbyło się 4 maja w Łodzi.

— Musielibyśmy znaleźć takie
rozwiązania, które nie będą
mieć charakteru zaraźliwego...

Co zaś się tyczy rozwiązań
przyszłościowych, postanowio-
no, iż „intensyfikowane zosta-
nie prace nad udrożeniem,
nie później jak od 1 stycznia
1989 roku, zmodyfikowanego
systemu ekonomiczno-finan-
sowego w przedsiębiorstwach ko-
munikacji miejskiej. Federacja
zastrzega sobie prawo zajęcia
stanowiska do opracowywano-
go projektu”.

O tym, jak powinny wy-
glądać w przyszłości place, mó-
wił A. G.

A. G.

**Czekam na pociąg w zimny, kwiatowy wieczór,
oparty o zdobioną kolumnę zabytkowej windy peronu
w Skierniewicach...**

Ten dach — pozostałość z lat świetności kolei Warszawsko-Wiedeńskiej pokrywa tylko część peronu pierwszego. Reszta zdana jest na pastwę deszczu i wiatru. Na przedłużonym z biegiem lat peronie nie ma nawet szkaradnych, blaszanych osłon, w które wyposażono sąsiedni peron. Pusto tu i zimno. Wiatr targa piaszeczki podróżnych z opóźnionego pociągu przybyłego z Łowicza.

Czekam na pociąg pijąc to, co zostało w dworcowym bufecie. Restauracja dworcowa — nadzieja dla zmęczonego i głodnego pasażera. Niewiele jednak osób korzysta z szansy na ciepłą strawę.

Wnętrze zostało odnowione z wyczuwalnym zamiarem zachowania atmosfery miejsca, gdzie przed laty gościł bohaterowie „Lalki”. Bolesława Prusa. Jasne ściany kontrastują z ciemno-orzechowymi kolumnami. Stylizowane oświetlenie miało podkreślać obecność minionych lat. Ale te próby zawiodły. Zawiodła także, kiedy za pomocą półśrodków będziemy przywracać blask zabytkom. Bo na co zda się nawet oryginalne oświetlenie w stylu epoki, kiedy w pięknym wnętrzu ustawimy stare, barowe stoły i obkurczone przepierzchnie. W Skierniewicach, pod zabytkowym dachem schroniły się współczesny obraz naszej kolejowej rzeczywistości.

Siedzę w dworcowej świetlicy Warszawsko-Wiedeńskiej Drogi Żelaznej. Świetlica — ogromna sala z kilkoma stolikami. Zielone linoleum trzeszczy okrutnymi rozrzuconymi dokoła słonych paluszków. Zakurzona podłoga ze śladami po rozlanych napojach kładzie się do butów. Siedzę przy brudnym stole z wrytym napisem:

„Love Tomka Kuze — Iwona Boryna”.

Nogi przyklejone do podłogi, ręce do zniszczonego stołu. Myśli krążą wokół przeszłości splatającej się w tym miejscu ze współczesnością.

Wystrój tej sali przedziwnie łączy wszystkie epoki w życiu stacji. Ozdobne kolumny i luki — zapewne z początków istnienia budynku, a pod sufitem plaskorzeźby o tematyce typowej dla socrealizmu: ludzie przy pracy w polu i w fabryce, zabawa ludowa, budowa, kolej — wszystkie charakterystyczne elementy rozwoju. Szczytowa ściana zdobiona popularnym „Mosfilm” (kobieta i mężczyzna ze splecionymi w górę rękami trzymający sierp i młot) na tle jutrzenki, lasu flag i chmury białych (hml) gołębi. Napis poniżej tłumaczy, że: „Kultura i sztuka to najważniejszy środek zbliżenia między narodami”.

A poniżej elementy współczesne. Gazetka Obrony Cywilnej ze szkłem (kurz tego nie ruszy), wielkanocny stroik w fioletowo-wybrzmiałym kolorystycznym, surogat dekoracji na „Dzień Kobiet '87” (sądząc z ilości kurzu). Najświeższym elementem jest chyba biało-czerwona materia z przytwierdzonym godłem i hasłem: „OJCZYŻNO MA — TYŚ NIE UMARŁA — 1918—1988”.

Wiele elementów nakłada się na siebie w tych starych murach.

Świadek przeszłości — dostojny, piękny gmach skierniewickiego dworca nie cieszy jednak podróżnych. Jest ponury i bez wyrazu — zwykły, nikomu niepotrzebny budynek na szlaku z Warszawy do Kuluszek.

Skierniewice to stacja, której zabrano styl. To perla polskiej architektury kolejowej, której skradziono duszę. A przecież wystarczyłaby odrobina dobrej woli i konsekwencji, aby przywrócić Skierniewicom blask, jaki posiada Gdynia, Wrocław czy choćby tak małe stacje jak Ustka, Mragowo czy Szezyń. Każdy budynek ma swój niepowtarzalny styl. Jednak przyzwyczailismy się już do układanki z jednakowych klocków, do kontenerów, drzew stojących w równym szeregu, do identyczności i monotonii. To zabija indywidualność, piękno, zamknięta w otaczających nas rzeczach myśli ich twórców.

Może planowany remont dworca w Skierniewicach nie będzie tylko deklaracją przed wyborami do rad narodowych. Miejsmy nadzieję, że ten kolejowy arystokrata nie zostanie spisany na straty jak stary, poczytywalny Kaliski — bezmyślnie zrównany z ziemią w imię nowoczesności.

Odwiedźcie kiedyś dworzec w Skierniewicach, dopóki nie jest za późno. A kiedy usiądziecie w pustej sali zanurcie się w piosenkę Elżbiety Mielczarek:

„W dworcowej poczekalni, na stacji PKP
lubię posiedzieć czasem, bo gdzie lepiej czeka się.
Kobiety z tobołami, faceti pijani w sztok
i jak to na takiej stacji —
trochę smrodu, czasem łok.

Nie pytaj dokąd jądę, czy na pewno na bilet mam
siedzenie i czekanie, to jest naturalny stan”.

Nie słyszy się już gwizdka parowej lokomotywy, dym nie ściele się po polach; snopy iskr nie wirują już w radosnym tańcu na chęć podróży w nieznane...

MAREK JUŚKIEWICZ



Foto: Grzegorz Galasiński

ze str. 1

wciąż tacy, którzy wbrew wymowie faktów i logice bronią uparcie prezesa. Dla nich jest dobry. Im nie szkodzi i nie przeszkadza. Oni mu nadal wierzą, bo przecież chciał dobrze, a tylko jakos tak nie wyszło.

— Wszystko dlatego, że dał się omotać tym cwaniakom z Radomska — usprawiedliwiają go.

— A z kim on w tej spółdzielni miał pracować? — współczują dla odmiany inni. Sam Tadeusz Klekociński też nie czuje się odpowiedzialny za to, że po dziesięciu latach istnienia spółdzielni, powinna właściwie ogłosić upadłość i aż dziw bierze, że jeszcze funkcjonuje.

— Kiedy tu przyszedłem — mówi — wcale nie działało się lepiej, niż teraz. Przeda wszystkim chciałem wyciągnąć spółdzielnię z długów. A sytuacja wyglądała tak, że na stanie

ka ton żyta, bo po żniwach mokre leżało pod wiatu. Ktoś nie pomyślał, nie zapobiegł, nie dopilnował. Kto? Nieważne. Spisano protokół strat 1... po kłopotach. (Prezes Tadeusz Klekociński twierdzi, iż zrobiono z niego kizzonkę, ale wszyscy śmieją się na te słowa, gdyż wiedzą, że zostało po prostu zakopane w ziemi. Pełne dwie przyczepy ziarna! Zgnilo na pewno już do reszty).

O kradzieży silnika do młocarni zarząd spółdzielni poinformował milicję tak późno, że — szukał wiatru w polu. A silnik ciężki, na plecach go nie wyniesie. Jak to możliwe, że nikt nic nie widział? Ano, w Gertrudowie możliwe. I znówu protokół strat.

Przy pakowaniu w worki zakupionego i przechowywanego luzem cementu okazało się, że brakuje go dwie i pół tony. Drobiazg. Protokół strat.

Cegły na budowę chlewni rozprzedał pracownikom — za półdarmo. Pierwszej i najwięcej — Jolancie Dziewierskiej, kasjerce, bo akurat mia-

ła ton żyta, bo po żniwach mokre leżało pod wiatu. Ktoś nie pomyślał, nie zapobiegł, nie dopilnował. Kto? Nieważne. Spisano protokół strat 1... po kłopotach. (Prezes Tadeusz Klekociński twierdzi, iż zrobiono z niego kizzonkę, ale wszyscy śmieją się na te słowa, gdyż wiedzą, że zostało po prostu zakopane w ziemi. Pełne dwie przyczepy ziarna! Zgnilo na pewno już do reszty).

I dodaje: — Teraz spółdzielnie są w pełni samorządne. Nie mamy na nie żadnego wpływu. Co najwyżej, możemy służyć radą. — Superowaliśmy prezesa Klekocińskiego — przypomina naczelnik Henryk Tazbir — hodowlę owiec, gdyż ląki nie były wykorzystywane. No, ale skoro w Gertrudowie nie chcieli. Ich sprawa. Może Wojewódzki Związek powinien coś zrobić? — Ale co? Tego naczelnik nie wie.

Lech Grabiński jest radomską milicją osobą dobrze znaną. Rzutki, przedsiębiorczy, ruchliwy... Może nawet trochę za bardzo, a to przed czy później zwraca uwagę. Potrafi łatwo nawiązywać kontakt z ludźmi, ma dar przekonywania. Chyba głównie dzięki tym cechom nie było mu nigdy trudno znaleźć pracę. A robił to dosyć często, równie często zresztą ją tracąc.

Ostatnimi czasami szczególnie upodobał sobie rolnicze spółdzielnie produkcyjne, a w nich — grupy remontowo-budowlane. Można powiedzieć — wyspecjalizował się nawet w tej dziedzinie. Toteż kiedy w grudniu 1985 roku składał podanie o zatrudnienie go w RSP Piaszczyce, napisał, że w celu prowadzenia takiej właśnie grupy. Został bynajmniej. Do jego obowiązków należało organizowanie pracy innym i czuwanie, by prawidłowo była wykonywana. Ciekła sprawa, kiedy tego, czego wymaga się od podwładnych, samemu się nie przestrzega. No i robotnicy zaczęli się buntować, skarżyć do zarządu spółdzielni dotarła też informacja, że był uprzednio karany za kradzież. Więcej nie trzeba było.

Po zaledwie trzech miesiącach Lech Grabiński został zwolniony. Uznano, iż nie jest człowiekiem, do którego można mieć pełne zaufanie i po jego odejściu natychmiast odetchnięto z ulgą. W spółdzielniach, w których przedtem pracował, też dał się poznać nie z najlepszej strony. Oszust, kombinator, nieodpowiedzialny, niesłowny, chciwy... — taka opinia szła za nim. Jego jednak to nie zrażało. Dlatego wkrótce zjawił się w Gertrudowie. Tu go jeszcze nie było. Wiesz na uboczu, spółdzielnia mała, biedna, ludzie prości... Nikt go nie zna. Doskonała okazja, aby spróbować jeszcze raz.

Dla prezesa oferta Lecha Grabińskiego była darem niebios. Obiecywał w krótkim czasie utworzyć brygadę remontowo-budowlaną, zapewnić jej atrakcyjne zlecenia, narzędzia i materiały, dzięki czemu „vegetująca” spółdzielnia mogłaby wkrótce stanąć na nogi. Pomyśl, co prawda, nie był odrywczym, gdyż zdecydowana większość rolniczych spółdzielni produkcyjnych zajmuje się różnymi formami działalności pozarolniczej, aby dać zajęcie ludziom, gdy nie ma pracy w polu, a przede wszystkim — aby wyjść jakos na swoje.

Z samego rolnictwa trudno im wyjść — tłumaczy prezes WZ RSP w Piotrkowie, Zdzisław Inglot.

Ale przecież w Gertrudowie brygada takiej nigdy nie było, zaś wcześniejsze pomysły zarządu, jak by tu dorobić, nie przynosiły większych efektów. Trzeba więc przyznać, że Lech Grabiński trafił idealnie w odpowiednie miejsce, odpowiedni czas oraz — zapotrzebowanie. I mógł być z tego naprawdę zadowolony. Członkowie spółdzielni — również.

Pięknie mówił na początku — wspominając — tośmy mu zaufali.

Mówił o wszystkim, tylko nie — o własnej przeszłości.

Taj unikał jak ognia, kiedy zaś już się nie dało — fantazjował, upiększał ją i zmieniał, licząc zapewne, iż prawda nieprędko dotrze do zagubionego wśród lasów Gertrudowa. Zdane rachuby. Przeszłość ciągnęła się za nim jak cień. Depiła mu po piętach.

Kiedy dowiedziałem się, że Grabiński jest w Gertrudowie — mówi Tadeusz Krokiewicz, prezes RSP Piaszczyce — byłem zaskoczony i powiedziałem Klekocińskiemu, żeby lepiej nie zadawał się z tym człowiekiem, bo my mamy o nim, delikatnie mówiąc, nie najlepsze zdanie.

Inni też ostrzegali. Na próżno. Tadeusz Klekociński sta-

chał tylko Lecha Grabińskiego, który z dnia na dzień coraz głębiej wciągał go w swoją niebezpieczną grę, mamił i kuśił różnymi obietnicami. Kto wie, może nawet imponował. Złazcza że początkowo rzeczywiście mogło być czym.

Brygada została utworzona szybko i sprawnie. Liczyła kilkadziesiąt osób — głównie mieszkańców Radomska zachęconych perspektywą wysokich zarobków. Kierownikiem jej został Władysław Błaszczakiewicz, który zajął się pomocą na takiej robocie. Magazynierką — żoną Lecha Grabińskiego, Ewą. On sam pełnił funkcję brygadzysty i zaopatrzeniowca. Na podziemny magazyn ośdał bez wawania własny garaż. Zafatł zlecenie Spółdzielni Mieszkaniowej w Radomsku na oclepienie szczytowych ścian bloków. Korzystając ze spółdzielczego „Zuka” oraz znajomości, postarał się o niezbędne na początek materiały. Wykazywał dużą operatywność i samodzielność, co przeświadczyło Tadeusza Klekocińskiego, że bardzo było na rękę, gdyż dosyć miał pracy i problemów do rozwiązania na miejscu, w Gertrudowie.

Mnie interesował tylko wynik finansowy działalności brygady — bronił się przez zarzutami. — A ten zapowiadał się dobrze. Przez pierwsze pół roku — cztery miliony zysku. I tyle było — przy planowanych stratach spółdzielni w produkcji rolnej. Kiedy zorientowałem się, że Grabiński nie był ze mną we wszystkich sprawach, szczerzy, że mnie wprowadził w błąd, mówiąc, iż skierowano go do nas z Piaszczyce, chciałem go od razu zwolnić. Ale przyrzekł, że się poprawi, że teraz będzie już dobrze i ucieknę pracować. Dalem mu więc szansę. Do Radomska zaglądałem w miarę możliwości. Nie zauważyłem żadnych poważniejszych uchybień.

Być może. Przez godzinę czy pół trudno dokładnie przyjrzeć się pracy ludzi, o której zbyt wiele się nie wie. Ale przecież były inne sprawy, które powinny dać przesłowi do myślenia.

Oto na przykład Władysław Błaszczakiewicz (jak się okazało, tesc Lecha Grabińskiego) jakoś dziwnie odwieka przedstawiając swoich uprawnionych budowlanych. Obiecuje, że będą u niego, pojutrze, za tydzień... „Na pewno będą”. Nie przedstawili ich nigdy.

Oto Lech Grabiński jakoś dziwnie nie potrafił rozliczyć się dokładnie z powierzonych mu pieniędzy. Księgowa spółdzielni ma poważne zastrzeżenia. Zgłasza je również komisja rewizyjna. Bezskutecznie.

Oto we wrześniu 1986 roku Oddział Lustracji Centralnego Związku Rolniczych Spółdzielni Produkcyjnych w Częstochowie przeprowadził w Gertrudowie kontrolę, w efekcie której wykrył szereg błędów popełnionych przez zarząd spółdzielni. Wskazuje też wyraźnie, że „uruchomienie w maju br. zakładu remontowo-budowlanego według pewnych symptomów nie spełnia pokładanych nadziei...” oraz — na „niewłaściwy dobór ludzi do kierownictwa tego zakładu” i sugeruje „odwołać Obywateli Grabińskiego i Błaszczakiewicza z pełnionych funkcji po uprzednim rozliczeniu z dotychczasowej działalności”, jak również — „rozliczyć i zlikwidować magazyn pomocniczy w Radomsku”, „zangażować kierownika ZRB z odpowiednimi uprawnieniami budowlanymi”.

Tadeusz Klekociński pozostał jednak głuchy na te i inne głosy rozsądku. Nie chciał ich słyszeć. Twierdził, że wie, co robi i wszystko bierze na swoją odpowiedzialność.

Zupełnie nie liczył się z ludźmi — mówi Ireneusz Kopciak.

Sam, decydując o wszystkim — dodaje Barbara Kot. — Rozmawialiśmy z nim nie raz na temat zwolnienia Grabińskiego i Błaszczakiewicza, tłumaczyliśmy — rozkłada bezradnie ręce Zdzisław Inglot — ale skutek był zawsze taki sam: najpierw przyznawał nam rację, obiecywał, że zrobi wreszcie porządek, a kiedy wracał do Gertrudowa, udawał, że nie pamięta, co mówił. Ostrzegaliśmy go, że to się może źle skończyć. I tak się, niestety, stało.

PAWEŁ TOMASZEWSKI

Dokończenie w następnym numerze

Ważne to je, co je moje



Rys.: Janusz Szymański-Glanc

miałem na przykład śladem ciemników, a nie było czym, w pole wyjechać.

Ludzie we wsi widzą to zgoła inaczej.

— Prezes Klekociński jak tylko nastąpił, to zaczął sprzedawać, co się dało. Najwięcej prywatnym, za marne grosze. Taki ursus C-360 — za sto osiemdziesiąt tysięcy. A ten, co kupił, po drobnej naprawie odsprzedał od razu za czterysta. Kombajn do ziemniaków jak nowy kosztował około miliona, tak poszedł za jedną trzecią tej ceny. Kombajn zbożowy...

Komisja rewizyjna RSP od początku, miała zastrzeżenia do tych transakcji, gdyż prezes nie informował o przetargach, jeśli już one były, a jedynie — mówi jeden z jej członków — „swoich ludzi”, znajomych. Tak że nierzadko przetargi stawały zaledwie dwie, trzy osoby i z góry było wiadomo, kto ma kupić. Z tego powodu pierwszy przetarg na maszynę do omiotów komisja unieważniła. Na drugim cena poszła w górę o pięćdziesiąt tysięcy. Niby dla spółdzielni to niewiele, ale zawsze. Przecież powinna liczyć się każda złotówka.

Pobożne życzenia! Złotówka już dawno straciła na znaczeniu, a w RSP Gertrudów prawdziwego szacunku dla niej nie miało chyba nigdy.

Dwa lata temu spleśniało kil-

ka się budować. Chwalebna taka pomoc, ale... Po pierwsze: kasjerka blika krewna prezesa. Po drugie zaś: cegły można było sprzedać drożej. I niewiele zmienia tu tłumaczenie Tadeusza Klekocińskiego, iż te siedem tysięcy sztuk i tak by na chlewnię nie wystarczyło.

A chlewnia potrzebna spółdzielni od dawna, jak podczas suszy deszcz, bowiem RSP w Gertrudowie nie prowadzi żadnej hodowli. Nie ma pomb, warunków. Kiedyś próbowano trzymać cielecia, owce... Dano sobie z tym spokój, chociaż obochnik bardzo by się przydał pod żyto, owies czy pszenicę. Bo nie dosyć, że gleby piątej, szóstej klasy, to bez odpowiedniego nawożenia jeszcze bardziej jałowięją. Więc choćby z tego powodu...

Józef Jankowski, wiceprezes Wojewódzkiego Związku Rolniczych Spółdzielni Produkcyjnych w Piotrkowie Trybunalskim wyjaśnia to dokładniej:

Faktem jest, że dotychczas produkcja zwierzęca była mniej opłacalna od roślinnej. Ale u nas trudno wyobrazić sobie dobre gospodarstwo bez jakiegokolwiek hodowli, bo nawet jeśli bezpośrednio nie daje ona zysku, to można dzięki niej osiągnąć wyższe plony. Dlatego większość spółdzielni w województwie prowadzi produkcję zwierzęcą. Niektóre tylko latem, gdyż podobnie jak Gertrudowie nie mają odpowiednich o-

— Jak to rozumieć?

— Piotr Wielki gdy w XVII wieku reformował Rosję — za co można go podziwiać — przesa- dzał spór w swoim zapale. To pięknie, że stworzył prze- mysł, zbudował stocznice, zało- żył Petersburg, otworzył dla Rosji okno na świat. Ale on — jak wspominałem — w tym zapale zreformował też Kościół prawosławny w Rosji. Mało te- go, ogłosił się zwierzchnikiem tego kościoła, co jest sprzeczne z jego istotą. Zreformował go na zachodnią modłę. I lud przyjął to, jak coś obcego. Jasno wyra- zili to pisarze rosyjscy. Mam tu na myśli przede wszystkim Lwa Tołstoja i Fiodora Dosto- jewskiego. Lew Tołstoj szukał swego miejsca w tym obcym mu świecie, szukał drogi dla siebie. Fiodor Dostojewski wie- lekroć był w klasztorach, gdzie szukał spokoju i istoty da- wnego prawosławia.

Myślę, że po rewolucji 1917 roku, kiedy ludzie burzyli to, co wydawało się im obce a więc i kościół, to były też skutki reform Piotra Wielkiego. Rewo- lucja na ogół bywała bezlitosna, i krwawa, niszczyła wszystko, co wiąże się ze starym porządkiem, przeciw któremu powstała. Po latach przychodził opamiętanie, ale straty w kulturze material- nej są już niekiedy nieodwracal- ne.

— Prawosławie wszakże dość ściśle trzyma się formuły: Bo- gu, co boskie, cesarzowi, co ce- sarskie. Nie sprzedawa się wła- dzy świeckiej. Można nawet za- ryzykować powiedzieć, że jest wobec tej władzy uległy, choć może jest w takim określeniu niejaka przesada.

— Zasada: Bogu, co boskie, cesarzowi, co cesarskie — po- winna obowiązywać wszystkich chrześcijan. Jest to ewangelic- zna zasada.

— Ale można powiedzieć, że historia spowodowała różną jej interpretację.

— Może najpierw wyjaśnijmy, jak to jest z tą „uległością”.

— Bóg wszystko, co tworzył, robił z miłości, aby było ono dobre. Człowiek też miał być dobry.

— Ale nie jest.

— Tylko, że to nie jest wina Boga. Człowiek ma wolną wolę i może dokonywać wyboru. Je- śli człowiek chce, aby Bóg mu pomógł, to musi sam pomóc w tym Bogu. Musi istnieć współ- działanie — synergizm. U nas jest taka modlitwa, której sło- wa brzmią: „Włóż Panie Boże w ich serca dobre myśli o Ko- ściele Twoim”. My się modlimy za władzę i dziękujemy Bogu, gdy dobrze czyni. I modlimy się również, gdy czyni źle, aby zrozumiała błędy swoje i naprawiała je, aby czyniła do- brze. Ale to wynika również z tego, że Kościół prawosławny zawsze był i jest mocno osadzo- ny w realiach swego kraju. Ziemia ojczyzna jest dla Ko- ścioła prawosławnego sprawą o- gromnie ważną.

— Jak przebiegał podział między kościołem wschodnim a zachodnim?

— W dużym skrócie ujmując sprawę można powiedzieć, że poszło o uznanie pierwszeństwa. Gdy cesarz przeniósł stolicę do Konstantynopola sła rzecz tamtejszy biskup stał się pierw- szy. Rzym się z tym nie mógł pogodzić.

— Ale powstały też spory na tle teologicznym. Na przykład był spór o ikony.

— Jak my dziś rozumiemy ikony? Ikona — jest to teolo- gia malowana farbami, jest to Pismo Święte dla niepiśmien- nych. Dziś oczywiście jest inna sytuacja — niepiśmiennych ra- czej nie ma. Ale też i ikona spełnia większą rolę. Jest to jakby okno na tamten świat. Dla człowieka modlącego się przed ikoną nie jest ważny au- tor, szkoła malarska ani two- rzywo — przeważnie deska — ważny jest moment, który po- zwala mu być bliżej Boga. Czo- wiek też jest ikoną Boga. Bo, co znaczy słowo: ikona? Znaczą ono obraz i podobieństwo. Bóg stworzył człowieka na obraz i podobieństwo swoje — jest więc on jego ikoną.

— Na ikonach nie przedsta- wia się w zasadzie Boga Ojca.

— Bóg Ojciec jest niewy-obrażalny. Dopiero pod wpływem Renesansu pojawił się na ma- lowidłach Bóg Ojciec. Na iko- nach również, ale sporadycznie.

— Pełna nazwa brzmi: Polski Autokefaliczny Kościół Prawo- sławny. Co to dokładnie zna- czy?

— Autokefaliczny oznacza sa- modzielność, niezależność od hierarchii innych, zagranicz- nych kościołów. Prawosławny — to prawowierny. Obecnie mamy na świecie 15 kościołów prawo- sławnych.

— Czy zawsze Kościół prawo- sławny w Polsce był samo- dzielny?

— Do trzeciego rozbioru Polski byliśmy częścią Kościoła konstantynopolskiego, ale z własnym zarządem, na czele którego stał Grek — metropolita.

Tu warto chyba wyjaśnić, że w 451 roku ukształtowała się taka hierarchia biskupów: Rzym, Konstantynopol, Alek- sandria, Antiochia, Jerozolima. Patriarcha Rzymu był pierw- szym wśród równych, ale zdo- był prymat nad innymi. Patriar- cha Konstantynopola pozostał pierwszym wśród równych: pri- mum inter pares. Nie narusza to jednak samodzielności innych kościołów.

Uważamy na przykład, że klątwa, jaka w lipcu 1054 roku rzucił na siebie kardynał Humbert w imieniu papieża i pa- triarcha Michał i Cerulariusz dotyczyła tylko biskupów Rzy- mu i Konstantynopola. Pewnie, że w jakimś stopniu padło to na cały Kościół rzymskokato- licki i Kościół prawosławny, ale tylko w jakimś stopniu. Kiedy więc patriarcha Atenagorez i Jan XXIII wymienili pocałunek pokoju, to ucieszyliśmy się z tego wszyscy, bo zawarty został pokój między biskupem Rzymu i Konstantynopola. Chociaż za- leżało o 9 wieków za późno.

Polski Kościół otrzymał swoją samodzielność w 1923 roku, nasz status prawny ustalono w la- tach 1936—1939, a sprawa sta- tusu kościelnego została ustalo- na w 1970 roku.

— Jak zatem wygląda hie- rarchia Kościoła prawosławnego w Polsce? Co stanowi wasza najwyższa władza?

— Centralnym organem naszej władzy jest synód biskupów. Na jego czele stoi ksiądz me- tropolita Bazyli. Synód podej- muje najważniejsze postanowie- nia, ale musi się liczyć ze sta- tusem prawnym w kraju oraz z wymogami naszej wiary. Poza tym panuje u nas spora demo- kracja. W poszczególnych bi- skupstwach i parafiach wiele spraw może być rozwiązywa- nych zgodnie z panującymi tam potrzebami, pod warunkiem, że nie narusza to zasad wiary.

Na przykład. Bardzo lubie muzykę organową, ale to nie znaczy, że mógłbym wrowa- dzić w cerkwiach Łodzi organy. W Kościele prawosławnym obowiązuje zakaz używania in- strumentów muzycznych. Tylko głos człowieka może pełnić i głębiej wyrażać chwałę Boga. Gdy w cerkwi chór śpiewa — jest to modlitwa.

Tak więc wiele spraw, które obowiązują w danym kościele lokalnym, nie musi obowiązy- wać w innym. A tak bywa też niekiedy również w diecezjach i parafiach danego kościoła.

— Czy można prosić o jakiś przykład?

— W Kościele rzymskokato- lickim wszystko jest doskonale uporządkowane i — przyznam szczerze — że czasem zazdro- szczę tak doskonalej admini- stracji. Sprawy ustalone w Rzymie obowiązują wszystkich w jed- nakowy sposób. Dlatego może ludziom wychowanym w duchu katolicyzmu trudno pojąć różni- ce, jaka występuje w Kościele prawosławnym.

Na początku wszystkich obo- wiązuwał jeden kalendarz zwa- ny juliańskim. Kalendarz ten został zreformowany i zaczął obowiązywać jako kalendarz gregoriański. Kościół prawosła- wny pozostał przy kalendarzu juliańskim. Uznano jednak, że dla niektórych świat trzeba przystosować kalendarz reformowa- ny. Próbowano więc przystać na nowy kalendarz dla świat nieru- chomych. Próbowano przed woj- ną obchodzić w cerkwi Boże Narodzenie 25 i 26 grudnia. Nie przyjęło się. Ludzie nie przychodzili do cerkwi. Przy- szli według starego kalendarza w styczniu, bo to dla nich by- ło prawdziwe święto Bożego Narodzenia. Dano więc swobodę parafiom — mogą obchodzić święta według takiego kalen- darsza jakii jest wygodny i uz- nany przez ich parafian.

Jedynie w 15 kościołach prawosławnych święta Wielkiej- nocy, Wniebowstąpienia i Zesła- nia Ducha św. obchodzą się we-



Od lewej: ksiądz biskup Józef Rozwadowski i ksiądz biskup Szymon.

Historia polskiego prawosławia to również historia Polski

dneg starego kalendarza. I od tego nie ma odstępstwa.

Inny przykład. U nas — po pierwsze — nie ma obowiązku obecności na mszy świętej i nie trzeba z tego się spowiadać. Po drugie — my nie liczymy „asu poświęconego Bogu. Niektóre cerkiewne uroczystości mogą trwać i 4 godziny. Ale tak nie jest we wszystkich kościołach. Grecy na przykład jako połud- niowcy są bardziej niecierpliwi i tam uroczystości kościelne trwają znacznie krócej.

— Czy chrzest nadal odbywa się przez zanurzenie?

— W kościele greckim tak. W rosyjskim w zasadzie obo- wiązuje ale ze względu na wy- runki stosuje się też polewa- nie wodą. W Autokefalicznym Kościele Prawosławnym w Pol- sce obie metody są jednakowo ważne, ale praktycznie rzadziej stosuje się chrzest przez zanur- zenie.

— A jak wygląda sprawa je- zyka?

— Już w X wieku, gdy Cy- ryl i Metody szli chrystianizo- wać dany kraj nieśli z sobą Biblię napisaną w języku da- nego kraju. Dostosowywali al- fabet do języka mówionego. Tak postępowali ich uczniowie. Jak stał widać od początku w Kościele prawosławnym obo- wiązuwał język danego kraju. Język polski w dzisiejszym kształcie najbardziej podobny jest do dawnego języka słowiań- skiego.

To było dawniej, a jak to dziś wygląda? Przecież do Ko- ścioła prawosławnego w Polsce należeli — a może i dziś nale- żą — ludzie innych narodowo- ści — Rosjanie, Ukraińcy, Białorusini. Przed 1939 rokiem w Kościele prawosławnym w Pol- sce było około 5 milionów wy-

znawców, dziś jest około milio- na.

— Dokładnego rejestru nie ma?

— Nie. Nie prowadzimy takow- ego. Czasem podczas uroczy- stości cerkiewnych w świątyni zjawiają się ludzie, o których mogę myśleć, że są cudzoziem- cami. Wtedy witam ich w języ- ku, jaki może być ich językiem, a znam kilka języków: polski, ukraiński, rosyjski, białoruski, angielski, nie sprawia mi to trudności. Chodzi natomiast o to, aby dotrzeć do człowieka, bo to jest najważniejsze.

Kazania wygłaszam również po polsku. Modlitwy podczas pogrzebu najczęściej też, chy- ba że rodzina życzy sobie ina- czej. Ale często jest tak, że je- zyk na przykład ukraiński zna- tylko nieboższczyk, obecni na po- grzebie mówią już po polsku. Jak więc inaczej się do nich zwrócić?

W Poznaniu, Krakowie, Cze- stochowie i innych parafiach modlimy się po części po polsku. Ale w Krakowie mieszka trochę Serbów, Bułgarów, Rosjan — niektóre modły odprawia się więc i po słowiańsku. Zasada jest taka, że językiem liturgii jest język wiernych.

— A jak to jest w środowi- skach emigracyjnych, gdzie wy- stępuje wielojęzyczność?

— Podobnie. Na przykład w USA, gdzie są środowiska ukraińskie, rosyjskie czy białoruskie, albo środowiska serbskie, ży- wa się tak w zależności od o- koliczności i potrzeby, albo je- zyka danego środowiska: ro- syjskiego, serbskiego, ukraiń- skiego, albo angielskiego. Tak też jest w innych krajach, w Kanadzie, we Francji.

— Kościoły prawosławne na-

leżą (do Światowej Rady Ko- ściołów, do której zresztą nie należy Kościół rzymskokato- licki. Autokefaliczny Kościół Prawosławny w Polsce bierze udział w ruchu ekumenicznym? Wiele. Przede wszyst- kim pozwala się wzajemnie po- znać, a to już usuwa wszelką wrogość i niechęć we wzajem- nych stosunkach. Ruch ekume- niczny nie ma na celu unifi- kacji kościołów, zaprowadzenia jednolitej, powszechnej kościel- nej administracji. Prawosławie ze swojej istoty do tego się nie nadaje. Ale możemy się wzaje- mnym podpatrywać, uczyć się od siebie, przystosowywać do swoich potrzeb dobre wzory stosowane w innych kościołach i tak robimy. Sporo się wzajem- nie uczymy.

— A stosunki z Kościołem rzymskokatolickim w Polsce?

— Tu też występują różno- rodności. Najlepiej mogę po- wiedzieć o stosunkach w mojej diecezji. Są dobre. I to zarów- no z hierarchia kościelną, jak i z księżmi w probostwach. Są to stosunki oficjalne — na pla- szczyźnie kościelnej — i towa- rzyskie. Bywamy wzajemnie u siebie, również w domach. Tak jest na przykład w Łodzi, tak też w Krakowie, we Wrocław- ku.

— A jaki jest stosunek — choć może to pytanie jest trochę nieprecyzyjne — władz Łodzi do władz diecezji Kościoła prawo- sławnego?

— Tu też występują różno- rodności. Najlepiej mogę po- wiedzieć o stosunkach w mojej diecezji. Są dobre. I to zarów- no z hierarchia kościelną, jak i z księżmi w probostwach. Są to stosunki oficjalne — na pla- szczyźnie kościelnej — i towa- rzyskie. Bywamy wzajemnie u siebie, również w domach. Tak jest na przykład w Łodzi, tak też w Krakowie, we Wrocław- ku.

— A jaki jest stosunek — choć może to pytanie jest trochę nieprecyzyjne — władz Łodzi do władz diecezji Kościoła prawo- sławnego?

— Sądzę pani, że będzie mi niezręcznie na to pytanie odpo- wiedzieć. Nie. Przeciwnie. Mo- gę z całym spokojem odpowie- dzieć, że stosunek ten jest bar- dzo życzliwy, nawet serdeczny. Przy każdej okazji, jeśli tylko mogę, dziękuję prezydentowi miasta Łodzi, władzom polity- cznym, urzędnikom zajmują- cym się sprawami wyznaw- czymi za ich życzliwość i cie- płą, serdeczną troskę o na- szych spraw i potrzeb.

U zbiegu ulicy Kilińskiego i Narutowicza jest cerkiew pod wezwaniem Aleksandra New- skiego. Została ona odrestaurowa- na. Piękna świątynia w mie- ście upiększa miasto. Otóż nie byłoby w stanie dokonać res- tauracji tej cerkwi, gdyby nie pomoc i życzliwość władz Ło- dzi.

— Jest jeszcze druga cerkiew przy ulicy Piłsudskiego.

— Jest to cerkiew pod wez- waniem świętej Olgi.

— Babki Włodzimierza Wiel- kiego, który ochrzcił Ruś tysiąc lat temu.

— Ona również przyjechała chrzest — jest święta, ale z tego faktu nic dla Rusi nie wy- nikło. Dzisiaj tego dokonał do- piero jej wnuk — Włodzimierz Wielki. Nasza cerkiew jest ta- dyna w Polsce pod wezwaniem świętej Olgi. W cerkwi tej co-

dzienne od godziny 9.00 odby- wają się nabożeństwa.

— Czy dużo młodzi jest wśród wiernych?

— To zależy od rejonu. U nas liczba młodych jest nie taka wielka. Na wschodnich ziemiach Polski — zwłaszcza Białostoc- czyźnie jest dużo młodzi.

— Czy istnieją duże różnice w liturgii między liturgią Ko- ścioła prawosławnego a liturgią rzymskokatolicką?

— Trzon liturgii jest taki sam. To chyba naturalne. Róż- nice powstały stąd, że Kościół rzymskokatolicki zunifikował swą liturgię, a Kościół prawo- sławny podchodzi do tego za- pełnie inaczej. My uważamy, że należy siebie reformować — do- skonalić. Człowiek powinien się stale zmieniać na lepsze. Być bratem dla innych ludzi, wyba- czać im krzywdy, pomagać im, powinien być pokorny i nie wyznaczać granic ani dla od- działywania Boga, ani dla sie- bie czy innych ludzi. My mówi- my ludziom: oderwij się od swoich spraw, rozejrzyj się wokół siebie, podnieśmy w górę serca! Doskonalsi się! Proszę pamiętać, że prawosławie ma rodowód grecki, a to zakłada inny stosunek do otaczającego świata. W starożytnej Grecji świat nie był skonolidowany. Jeśli coś działo się w Sparcie, to Ateny tym się nie zajmowa- ły. Filozofowie spacerowali w gajach, zwanych akademiami i rozmyślali, a obok nich toczyło się życie. Czy ich to życie nie obchodziło? Tego powiedzieć nie można, ale przede wszyst- kim zajmowali się swoimi roz- wazaniami, doskonaleniem sie- bie. To pozostawiło ślad w prawo- sławiu.

— Różnice przecież nie spro- wadzają się tylko do sposobu podejścia do życia.

— Oczywiście, że nie. My na przykład uważamy, że sakra- ment święty ma pomagać czło- wiekowi w doskonaleniu się, w uświęceniu się. Zaraz po chrzcie dokonujemy bierzmowania a w krótki czas później pierwszą komunię. Do pierwszej spowiedzi dziecko idzie wtedy, gdy idzie do szkoły.

— Ale też i spowiedź odbywa się inaczej.

— Przy stole, na którym jest krzyż i Pismo Święte. Również ostatnie namaszczenie nie jest ostatnim sakramentem — nie musi być.

— Prawosławie odrzuca czy- ściec, stąd też nie ma pokuty. Jak się to tłumaczy?

— Oczywiście w ogóle nie zajmujemy się A. opiera się to na przeświadczeniu, że nie wol- no nam wypaczać Panu Bogu żadnych warunków. Bóg sam musi zdecydować, czy kogoś u- karze i jak to uczyni. Dlatego człowiek nie może wyznaczać pokuty. Dlatego też odrzucamy wszelką myśl o odpustach. To Bóg zdecydował, co i jak uczyni z duszą zmarłego. My się tylko możemy za niego modlić i czyni- my to.

— W Kościele prawosław- nym nie ma celibatu.

— To może nie jest takie ścisłe. Celibat jest. Ale kapłan może się ożenić, jeśli uczyni to przed święceniami. Gdy umrze mu żona, już się po raz drugi ożenić nie może. Biskupi muszą być zakonnikami.

— Autokefaliczny Kościół Prawosławny w Polsce ma 5 diecezji.

— Tak: warszawsko-bielska, białostocko-gdańska, łódzko-po- znańska, której testem bisku- pem, wrocławsko-szczecińska i przemysko-nowosadecka. Są 242 parafie, 313 kościołów i kaplic, dwa klasztory: męski w Jabie- cnej i żeński w Garbarce. W Supraślu powstaje trzeci kla- sztor. Mamy też seminarium duchowne, niższe w Warszawie, wyższe w klasztorze w Jabie- cnej oraz w Warszawie Sek- cję Prawosławna Chrześcijań- skiej Akademii Teologicznej.

— Jak wielka jest parafia w Łodzi?

— Szacujemy naszych wier- nych na tysiąc osób. Najbliższe parafie są też w Piotrkowie Try- bunańskim i Tomaszowie Ma- zowieckim. Ale jak już wspom- niałem, nie prowadzimy ścisłych ksiąg i rejestru wiernych. Dla- tego możemy się opierać tylko na szacunkach. Ale czy liczby są takie istotne?

— Dziękuję za rozmowę.

Rozmawiała:
BOGDA MADEJ

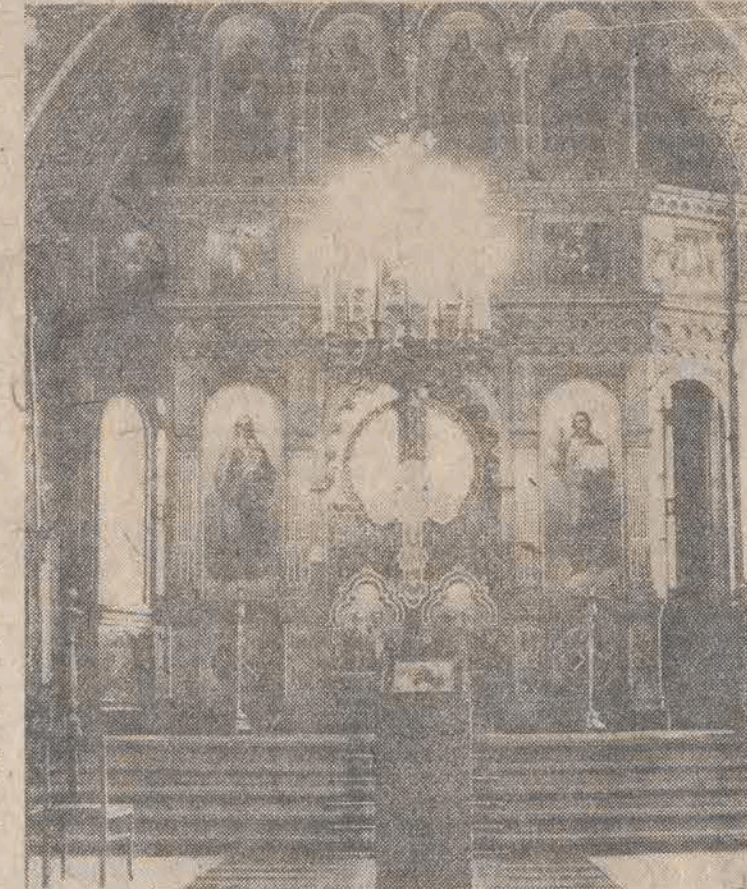


Foto: Grzegorz Gałasiński

Nazywają pana „niestrudżonym marzycielem” — przecho-
dząc do rzecz-
gdy dyrektor Mu-
zeum Sztuki skoń-
czył przesłuchiwać mnie „na
okoliczność” pobytu w Zakona-
nem, na pogrzebie St. J. Witkie-
wicza.

— Nie jestem marzycielem —
śmieje się Ryszard Stanisław-
ski. — Ja nie marzę, a wpo-
staniam swoje obowiązki. Wobec
sztuki i wobec tej odbiorców.
Staram się, w miarę często
skromnych możliwości, by nie
tylko utrzymać należąca szcze-
poczyć, ale zwiększyć obszary
jej oddziaływania w społecz-
stwie, w jego świadomości. I tu
nie zżadzam się z myśleniem
władz i tzw. szarego obywatela,
że w hierarchii potrzeb spo-
lecznych kultura i sztuka pla-
sują się gdzieś blisko końca. Za-
natolerować trzeba zapewnić spo-
leczności dobra materialne,
a dopiero potem duchowe. O-
czywiście, te pierwsze są waż-
ne, uważam jednak, że kultura

gotowe państwa, wszystko wy-
glądałoby inaczej, z pewnością
dużo gorzej. Ale tak w ogóle,
nie jest łatwo zainteresować
świat naszą sztuką plastyczną.
Dużo trudniej niż w przypad-
ku muzyki. Robię jednak, co
możę, nie ja jeden, rzecz jasna,
i mam pewne możliwości, gdyż
jako jedyny przedstawiciel
środowiska kultury i sztuki
uczestniczę w komisji dorad-
czej przy ministrze spraw za-
granicznych. Mam również w
świecie swoich entuzjastów,
którzy przyjeżdżają do nas. Na
przykład Richard Demarco,
Anglik z Edynburga, znany te-
oretyk sztuki, corocznie przy-
jeżdża do Polski z międzynarod-
ową grupą studentów i zawsze
zaczyna swój pobyt od Łodzi.
Tu jest według niego centrum
sztuki współczesnej. Nasze Mu-
zeum Sztuki jest dlań miejscem
magnetycznym, jak mówi, zna-
duje tu element duchowy w
zakresie sztuki nowoczesnej.
Takich przywódców mam w
świecie więcej.

— No właśnie, ranga łódzkie-

nie tylko. Planujemy tam super-
elegancką kawiarnię, bibliote-
kę, gdzie każdy będzie mógł
wziąć książkę z półki, bez po-
średnictwa bibliotekarza. Tych,
którzy już dziś obawiają się, że
książki będą ginać, zapewniamy,
że nowoczesne rozwiązania
techniczne zapobiegają temu
skutecznie. Chcemy połączyć
dachem wspomniany dom z
gmachem kina „Gdynia”. Kino
wymontujemy, będzie to no-
woczesny przybytek sztuki, nie
przejmujemy go jednak na wła-
sność, pozostanie w gestii
OPRF-u. Sala tak będzie za-
projektowana, że odbędzie się
bada tam nie tylko projekcje
filmów (na repertuar chcemy
mieć wpływ decydujący), ale i
rozmaite działania plastyczne,
happeningi, itp.

Mówię o tym wszystkim:
chcemy, chcemy, ale jestem pew-
ny, że w końcu projekty zosta-
ną zrealizowane. Władze mia-
sta początkowo nieufne, prze-
konały się do naszych planów i
sprzyjały nam bez zastrzeżeń.
Chce, aby do tej galerii wejść
mógł każdy, nawet łobuz. Ło-

śnię te imprezy również na dzie-
dzińcu, a nie tylko w muzeal-
nych wnętrzach. Odbływały się
one zresztą raz w roku. Zaczęły
nam jednak umierać rośliny
rosnące na podwórzach, miej-
scach akcji Niedziele. Powodem
są różne chemiczne zanieczyszc-
zenia powietrza i gleby. Teraz,
niech pan spojrzysz — podcho-
dzimy do okna — trzeba wy-
wieźć starą, jałową, zatrutą zie-
mię i nawieźć nową, żywną.
Trwa, poza tym, remont dzie-
dzińców. Gdy roślinność odży-
je, to i Niedziele „odżyją”, mu-
sza odżyć, bo były to działania
znakomicie popularizujące sztukę.
A na tym nam bardzo za-
leży.

Dyrektor Ryszard Stanisław-
ski rzadko używa zaimka „ja”,
mówi najczęściej „my”. Aby
sprowokować wypowiedź w
pierwszej osobie liczby pojedyn-
czej, zadaje takie oto pytania:

— Jest pan dyrektorem od
ponad 20 lat.
— Od 1966 roku, a więc od
22 lat.

— Otóż to. Proszę mi powie-
dzieć, na ile, według pana, dzi-
siejszy kształt Muzeum Sztuki
jest wynikiem działań dyrektora
Stanisławskiego, a na ile Ry-
szarda Stanisławskiego — czło-
wieka ogarniętego pasją?

— Nie bardzo rozumiem py-
tanie.

— Gdyby dyktowanie
sprowadzało się do administrowa-
nia w godzinach pracy, pew-
nie kształt placówki i jej ran-
ga byłyby inne niż tej, stwo-
rzonej przez człowieka, dla któ-
rego praca jest jego życiem.

— Coś w tym jest, co pan
mówi. Ja się do prostu utożsa-
miam z moją pracą. Nie liczę
godzin, czasu, wysiłku. Moje
życie prywatne, na ile jeszcze
je mam, podporządkowane jest
mojej pracy. Ale przecież nie
działam sam. Mam znakomitych
pracowników. I powiedziałbym,
że nie oni pracują na mój sukces,
ale ja staram się pracować
na ich osiągnięcia. Po prostu
pracujemy razem. Oczywiście,
mam pewną przewagę doświad-
czeń, bo studia kończyłem w
Paryżu a zanim oblałem sta-
nowisko dyrektora w Łodzi
(pochodzę w Warszawie), jeź-
dziłem po świecie, siedem razy
byłem w Brazylii, odwiedziłem
Japonie, wielokrotnie Francję i
inne kraje. Mam tam przyja-
ciół i znajomych „z branży” —
to się przydaje — ale bez mo-
ich pracowników niewiele bym
zdział. Jeśli nasze Muzeum
zdobyło sobie pozycję, jaka
ma, to jest to nasze wspólne
osiągnięcie. A że praca u nas
jest atrakcyjna (ale nie finan-
sowa, o, nie), świadczy fakt,
że zgłaszają się do nas chętni
z całego kraju, na przykład z
Poznania, Warszawy. Musimy
przeprowadzać selekcję kandy-
datów do pracy. Garna się do
nas, by jak my mało zarabiać
— śmieje się Ryszard Stani-
sławski. — To jest krzepienie:
znakomite sily fachowe chcą tu
pracować nie bacząc na niskie
zarobki. A że płace powinny być
wyższe — to już całkiem inna
sprawa.

I na nie mój cały spryt
(marny widak), dyrektor Stani-
sławski wraca rychło do stoso-
wania zaimka „my”. Nie jest
to jednak kokieteria, czy przy-
brana poza na użytek dzienni-
karski. Taki po prostu jest.
Doszliśmy, jak w wielu pol-
skich rozmowach, do proble-
mów finansowych. Nie przesła-
niamy one, bo nie mogą, wybi-
tych osiągnięć łódzkiego Mu-
zeum Sztuki, kierowanego przez
nieustraszonego działacza, pro-
pagatora, profesjonalistę, a
przy tym świetnego gawędziar-
za, dowcipnego rozmówcę,
bezpośredniego, sympatycznego
człowieka.

Zycząc jemu i prowadzonej
przez placówkę skutecznej
pokonywania trudności, rozwo-
ju, coraz liczniejszego grona
przyjaciół i sympatyków, a tak-
że utrwalania wysokiej rangi
w kraju i poza krajem, dziękuję
za rozmowę.

Rozmawiał:
**MAREK
KOPROWSKI**

P.S. Gdy wychodziłem z im-
ponującego gabinetu dyrektora
w Muzeum Sztuki Ryszard Stani-
sławski powiedział do mnie
na pożegnanie:
— Tylko bardzo proszę: za
mocno nie chwalić!
Przysięgam, że starałem się
jak mogłem.



Mówi: Elżbieta Sommer

— Jak to się stało, że została pani wróżką pogody nr 17?
— To dawne dzieje. Dwukrotnie zaczynałam pracę w TV. A
więc były dwa wcielenia. Moja droga do TV była krótka, ale nie
mogę powiedzieć, żeby była usłana cierniami. Nawet nie zauwa-
żyłam, kiedy znalazłam się w telewizji.

— Widownia telewizyjna zaakceptowała panią od razu.
— Tak, tak to odczułam. Wydaje mi się, że ludzi bardzo in-
teresuje pogoda, ale zdają jednak sobie sprawę, że jest to ty-
lko przewidywanie...

— Podpiera się pani nauką...
— Nauka w dziedzinie meteorologii chwilami jest beznadziejna. Po-
goda czasem jest silniejsza od człowieka i jego możliwości.

— Kiedy zaczynała pani przekazywać prognozy pogody w TV,
nie korzystała pani ze zdjęć satelitarnych. Teraz ma pani do dy-
spozycji i te zdobycze XX wieku.

— Ale jest to tylko ilustracja, nie jest to gotowa recepta na
pogodę.

— Czy praca w TV jest pani głównym zajęciem?

— Od trzech lat jestem etatowym pracownikiem TV. Przedtem
pracowałam jako synoptyk w Instytucie Meteorologii i Gospo-
darki Wodnej. Ale trudno mi było te dwie prace pogodzić. Tele-
wizja zbyt mocno angażuje, wciąga, jest zachłanna, zabiera bar-
dzo wiele czasu. Ponadto przez jakiś czas byłam zajęta szko-
leniem mojej trójki zastępców.

— Sądzi, że zastępcy pani się udali.

— Chyba tak, choć oni nie czują tej meteorologii tak jak ja.
To są dziennikarze z wykształcenia. Ale jeśli będą jeszcze jakiś
czas zapowiadać pogodę, myślę, że dojdą do perfekcji.

— Czy praca w TV nie komplikuje pani życia prywatnego, ro-
dzinnego?

— Bardzo. Całe popołudnie moja córka, która chodzi do 8
klasy, siedzi sama. A więc musi dbać o to, by odrobić lekcje,
wyprowadzić psa, przygotować coś do jedzenia. Obie spotykamy
się na 15 minut w południe, kiedy wraca ze szkoły. I to
wszystko. Ja tu jestem od drugiej po południu do
dziennika. I to niezależnie, czy ja zapowiadam, czy ktoś z moich
kolegów.

— Ile potrzeba czasu na przygotowanie prognozy pogody?

— Na to potrzeba całego dnia, by nie robić niczego w tak szko-
lonym tempie, jak to my robimy. Materiały do prognozy muszą
być aktualne, z ostatniej chwili, przesunięcie parogodzinne już
zmienia cały obraz. Stąd to tempo. Materiały z IMGW otrzy-
mujemy o piętnastej. Potem to trzeba opracować, rozłożyć na
plansze, zanieść do grafików, napisać tekst...

— Czy człowiek przygotowujący pogodę może posiłkować się
tylko i wyłącznie danymi z IMGW czy wymaga się od niego
jeszcze dodatkowych lektur?

— Dane z Instytutu, to zbyt sucha informacja. Trzeba to prze-
łożyć na język telewizyjny. Dlatego trzeba się uczyć, czytać, szu-
kać dodatkowych źródeł.

— Proszę powiedzieć, czy meteorologia jest trudną gałęzią
wiedzy?

— Jest skomplikowana, nie rozpoznana do końca. Jest to jed-
na z tych ścisłych gałęzi wiedzy, która służy prognozie pogody.
Są w niej elementy fizyki atmosfery, matematyki, astronomii,
geografii, klimatologii... Oczywiście były fakultety synoptyki
nie musi kończyć, ale musi posiadać wiedzę z tych dziedzin, by
umieć kompleksowo jakoś to wszystko ocenić.

— Skoro jest pani meteorologiem z wykształcenia, zna pani
zapewne historię tej gałęzi wiedzy. Czy zatem dzisiejsze pro-
gnostowanie nie jest trudniejsze na skutek owych różnych „dziur
ozonowych”?

— Cywilizacja niesie różne perturbacje ujemnie odbijające się
na atmosferze. To jest niewątpliwie utrudnieniem. Z drugiej
strony posiadamy aparaturę, której kiedyś nie było: meteosaty,
sputniki itp.

— Mimo to prognozy nie zawsze są trafne.
— Prawda. Polska leży w strefie scierania się klimatów kon-
tynentalnego i morskiego, stąd te częste zmiany.

— Mówimy cały czas o prognozowaniu pogody. Pomówmy te-
raz o Elżbiecie Sommer jako o gospodyni...

— Byłabym może dobrą gospodynią, a nawet bardzo dobrą,
gdybym miała więcej czasu i lepsze warunki mieszkaniowe.
Mieszkam w kawalerce z ciemną kuchnią, a więc nie mogę roz-
wijać talentów kulinarnych.

— A ma pani owe talenty?

— Chyba tak, bo lubię sama dobrze zjeść. Lubię i umieć go-
tować. Ale mogę to robić jedynie, gdy mam wolną sobotę lub
niedzielę.

— Ulubiona potrawa, którą przyrządza pani tak, że palce li-
żać?

— Naleśniki z serem, rożniami i skórką pomarańczową.

— Kto panią ubiera?

— Mam bardzo mało pieniędzy na ubiory. Z zarobionych pie-
niędzy muszę utrzymać siebie i córkę od pierwszego do pierw-
szego. Czasem jedziemy na wakacje nad Bałtyk. W TV nie ma
służbowego fryzjera, krawcowej, a jedynie służbowa charaktery-
zatorka.

— Czym się pani interesuje oprócz cumulusów, cirrusów itp.?

— Bardzo prozaiczna rzecz: robitiem na drutach. Bardzo
lubię kino, do teatru i opery chodzę rzadko, bo trzeba biletu
zamawiać z góry, gdyż nigdy nie ma miejsc. I bardzo lubię
czytać.

— Należy przypuszczać, że na ścianach pani mieszkania wiszą
obrazy pełne słońca...

— Ależ ja nie mam gdzie cokolwiek powiesić: na jednej ścia-
nie jest lustro, na drugiej staroświecki pejzaż mazowiecki. Jest
to obraz po mojej babci, w starych, złoczystych ramach. Lubie
też starocię: samowar, wspaniałe lustro, świecznik... Nie znoś
nowoczesnych mebli na wysoki połysk.

— A przyjaciele? Czy dużo ich jest?

— Dwie, trzy osoby i to wszystko. Odpoczywam w domu,
bardzo kameralnie: córka, pies, książki, film, robótka na dru-
tach, naleśniki.

— Proszę powiedzieć, skąd się wziął pseudonim „Chmurka”?

— Wymyślił to telewizyjne. W dawnych czasach pisali listy
do „Wicherka”, więc ja stałam się „Chmurką”. I tak zostało.

— Na zakończenie naszej rozmowy, proszę powiedzieć jakie
będzie tegoroczne lato?

— Trudno cokolwiek prognozować. Mogę jedynie życzyć, aby
było słoneczne. Życze tego Czytelnikom, panu i sobie.

— Dziękuję za rozmowę.

Rozmawiał: EUGENIUSZ IWANICKI

„Nie działam sam. Mam znakomitych pracowników. I powiedziałbym, że nie
oni pracują na mój sukces, ale ja staram się pracować na ich osiągnięcia”.

Nie jestem marzycielem...

Rozmowa z RYSZARDEM STANISŁAWSKIM, dyrektorem Muzeum Sztuki
w Łodzi.



Foto: Grzegorz Galasiński

I sztuka jest tak istotna częścią
życia, tak bardzo istotna, że nie
można traktować jej osobno, a
tym bardziej odkładać na bok
na później.

— Badania wykazują, że spo-
łeczeństwo niezbyt chętnie, co-
raz mniej chętnie pojawia się
w rewirach kultury. 40 proc.
nie czyta w ogóle, małeje wła-
dównia kin i teatrów, a do mu-
zeów to już nikt nie chodzi.

— Czy pan wie, że w 1987
roku odwiedziło polskie muze-
22 miliony ludzi? I to takich
„z ulicy”, niezorganizowanych.
W teatrze publiczność zbiera
się o określonej godzinie, dla-
tego tam ją widać. Muzeu ot-
warto są przez cały dzień, lu-
dzie przechodzą w różnych po-
rach, pojedynczo, ale zawsze
ktoś jest. Mimo pozornie pusti-
ki w galeriach więcej jest w
ciągu dnia odwiedzających mu-
zeum niż widzów na spektak-
lu w teatrze.

— Dobrze. Powiedzmy, że
polska publiczność zna swoich
artystów. A co się robi, aby
tych samych artystów zaprezen-
tować publiczności zagranicznej?

— Ażebym „wrzucić” w świat
trzeba zdobyć popularność,
odpowiednią cenę w kraju. Ar-
tysta musi najpierw zaistnieć
„tu” by mógł zainteresować
„tam”. Przykładem, choćby, Ha-
sior. Z drugiej jednak strony
gdzie dziś w Warszawie zoba-
czyć można dzieła Hasiora? Ni-
gdzie. A u nas jest galina z te-
go pracami nie licząc tego, że
w magazynach Trzeba również
to już nasza rola, specjalistów
menażerów, zadziałać niekie-
dy taktycznie. Gdy robitłim
na przykład wielką polską wy-
stawę w Centrum Pompidou w
Paryżu to wciągnęliśmy w to
mnożo Francuzów. I byli oni
niezwykle zaangażowani i prze-
jęci tym, co robia. I był suk-
ces. Gdybyśmy przywieźli im

go Muzeum jest niekwestio-
wana. Jakie miejsce zajmuje w
sieci tego typu placówek w
Europie?

— Oczywiście, nie możemy
się równać z wielkimi świato-
wymi muzeami. Jednak, jeśli
chodzi o kolekcję dzieł sztuki
międzynarodowej XX wieku, w
czym się specjalizujemy, jest
ona najbogatsza wśród państw
Europy Środkowej i Wschod-
niej.

— Możliwości wystawiennicze
są nieproporcjonalnie ubogie,
wobec bogactwa zasobów zło-
żonych w magazynach.

— O, tak. I to jest nasz na-
wiewski problem. Kiedyś, w lep-
szych czasach, rozpisaaliśmy ko-
kurs na projekt nowego gma-
chu sztuki nowoczesnej. Plan
był obfity — 48 prac. Wybra-
liśmy najlepszą i wszystko było
na dobrej drodze. Wysłałem
nawet czterech specjalistów
by, korzystając z moich pry-
watnych kontaktów, mogli
przyjechać się konstrukcją naj-
nowocześniejszych obiektów ga-
leryjnych na świecie. Wpusz-
czano ich nawet tam, gdzie nikt
obcy nie ma wstępu, w miej-
sca zastrzeżone tajemnicą, by
mogli podpatrzyć niektóre no-
woczesne rozwiązania technicz-
ne. Dostaliśmy już nawet te-
ryny na Zdrowiu i mamy je do
dziś, wykorzystać ich, niestety,
nie możemy. Po latach, gdy
wszystko zdołało, a pieniędzy
coraz mniej, nie ma szans na
budowę nowego gmachu. Czy
pan wie, że jedyna dziś wielka
inwestycja kulturalna w Pol-
sce, to budowa gmachu Biblio-
teki Narodowej, w ślimaczym
zresztą tempie?

— Ale żeby nie tylko narzekać,
powiem, że otrzymaliśmy od
władz miasta remontowany ob-
iekt budynek na rogu Piotrkow-
skiej i Tuwima, niedawniejszy
„dom buta”. W tym ruchliwym
miejscu urządzimy galerię, ale

buz w miejscu eleganckim gu-
je się onieśmielony. A jak coś
zniszczy — naprawimy. Nikogo
jednak nie chcemy odrzucać i
nie będziemy przeprowadzać
żadnej selekcji przy wejściu.
Wstęp będzie płatny, jeśli więc
ktoś zapłaci za wejście do ka-
wiarni, to z pewnością, skoro
już kupił bilet, wejdzie i do
galerii.

Drugim nowym miejscem jest
półfabrykany pałac Herbsta,
gdzie organizule się muzeum
wnetrz fabrykańskich. Obrazy,
jakie tam zawiesimy, to nieko-
niecznie te same, które rzeczy-
wiście wisiały kiedyś w właści-
cieli placów. Bada jednak
rzecz jasna, z epoki, starannie
dobrane.

— Zmienila się również sta-
ła ekspozycja w gmachu głów-
nym Muzeum, przy ulicy Wię-
kowskiego.

— Tak. Powiedziałbym kró-
tko: zaprezentowaliśmy część
tego, co było schowane w ma-
gazydach, a schowaliśmy to, co
było prezentowane dotychczas.
Ekspozuje się sztuki XX wie-
ku, w obsadzie międzynarod-
owej. Pabla Picassa, choć mamy,
jednak pan nie zobaczy, gdyż
dzieło należy eksponować w
odpowiednim kontekście arty-
stycznym, a nie woisnąć byle
jak i byle gdzie. A co pokazu-
jemy? — trzeba przyjąć i obej-
rzeć. Zapraszamy wszystkich, no-
wa ekspozycja czynna jest od
23 kwietnia. Udostępniliśmy za-
ledwie kilka procent naszych
zbiorów sztuki współczesnej —
wynika to z trudności, o któ-
rych mówiłem przed chwilą.

— Organizowano niegdys ak-
cje: Niedziela w Muzeum, ca-
łodziejnie imprezy, cieszące się
dużym powodzeniem. Do dziś
się o nich pamięta.

— Wróćmy do nich, ale po
uporządkowaniu terenu, bo tak
pan pewnie pamięta, odbywały

Debiuty

KRZYSZTOF BUCZYŁKO

Kirkut

Za drutami kamienne tablice ponacinane w słowa puste pozbawione żywych żywych lwy pejsate siedzące w kucki

nad nimi Dawidowe gwiazdy getto samotnych umarłych zle przechodzącego straszny wzgarda hieroglifami złamanych świec

ten obcy relikwiarz pochówkowy budzi zadumę i zdziwienie jakoby z Wyspy Wielkonoconej przywędrowały te kamienie

pozamieniane w tony Lota Sodomy i Gomory cienie kule ołowiu cięższe złota okręt tonący w zapomnienie

Główna 1986-05-13

Półka z książkami

UNIA LUBELSKA

W cyklu opowieści faktograficznych ukazała się kolejna publikacja nosząca tytuł „Unia. Sceny z przeszłości Polski i Litwy”, autorstwa Henryka Wisnera. Jest to obszerna, oparta na dokumentach relacja o związkach Korony z Litwą (poczynając od zawarcia przymierza przez Łokietka i Giedymina w 1325 r.) poprzez burzliwe lata następne, aż po czasy nam najnowsze. Oczywiście najwięcej miejsca poświęcił autor najdonioślejszemu aktowi politycznemu, jakim była Unia Lubelska z 1569 roku.

Henryk Wisner: „Unia. Sceny z przeszłości Polski i Litwy”. LSW 1986. Str. 328. Cena 700 zł.

TECHNIKA WOJSKOWA

Pojawiło się w sprzedaży drugie wydanie (pierwsze odniosło zasłużony sukces czytelnicy) „Encyklopedii Techniki Wojskowej”, a więc rzecz gruntowna o sprzęcie wojennym i pomocniczym, będącym na wyposażeniu współczesnej armii. Obszerny wolumen zawiera 6 tys. haseł, 1.700 ilustracji tekstowych, 1.200 rysunków, 500 fotografii, 640 zdjęć różnych typów sprzętu wojskowego, ponad 200 tabel i 150 tabel z parametrami taktyczno-technicznymi. W sumie znalazło się tu wszystko: od techniki rakietowej po techniczne środki propagandy. Całość do czytania, studiowania i wzbogacania wiedzy zarówno dla wojskowych, jak i dla cywilnych miłośników militariów.

Encyklopedia Techniki Wojskowej. MON 1987. Str. 856. Cena 3.000 zł.

Opracował: E. IW.

Wielowiekowa współzależność narodów polskiego i niemieckiego miało swoje wieloletnie uwarunkowania, przejawiające się na licznych płaszczyznach wzajemnego współżycia. Do istotnych elementów wymiany kulturalnej, niewątpliwie znaczącej w całokształcie bilateralnych kontaktów, należała literatura piękna.

Język polski nie jest, jak wiadomo, mową znaną szerzej w krajach europejskich, toteż sprawa promocji polskiej książki za granicą była i jest ściśle związana z zagadnieniem przekładu. I należy tutaj powiedzieć, że mimo różnic ukladających się w przeszłości różnych kontaktów z niemieckim sąsiadem, nad Renem i Szprewą, a także i w innych krajach niemieckojęzycznych, jak z Austrią, literaturą polską ukazywała się w sto-

Ostatnio ukazała się praca, którą można określić jako pozycję przełomową w dotychczasowych badaniach nad dziejami literatury polskiej w Niemczech i Austrii. Znanego językoznawcy, Krzysztofa Kuczyńskiego, docenta Uniwersytetu Łódzkiego, zajmującego się od lat polsko-niemieckimi stosunkami literackimi, opublikował nakładem Deutsches Polen-Institut w RFN imponującą pod każdym względem bibliografię niemieckojęzycznych przekładów polskiej literatury pięknej. Jej zapis obejmuje dzieła przekładów od początku wzajemnych kontaktów literackich aż po rok 1985, przy czym bibliografia rejestruje wszystkie dzieła polskie w języku niemieckim, niezależnie od miejsca ich ukazania, a więc np. także w USA, Anglii czy Polsce.

opracowana bardzo dokładnie i z dużą dbałością o czytelnika. Liczne wskazówki i indeksy ułatwiają poruszanie się i orientację w prawdziwym gąszczu nazwisk i tytułów.

Bibliografia zawiera, oprócz wspomnianych partii indeksowych i części zasadniczej — wykazu tłumaczonej literatury polskiej na niemiecki, także oddzielny rozdział przynoszący wykaz tomów zbiorowych i antologii (w każdym przypadku są rejestrowani autorzy ujęci w danej antologii i ich tłumacze). Bardzo interesującą częścią bibliografii jest zestawienie wybranych pisarzy polskich publikujących swe utwory oryginalne w języku niemieckim, jak np. Stanisław Przybyszewski, Tadeusz Rittner, Wojciech Kętrzyński czy Aleksander Bronikowski.

Polska książka w Niemczech

sunkowo, dużych ilościach, i to nieraz w wysokich nakładach, w wyborowych tłumaczeniach, w najlepszych oficynach wydawniczych. Takie domy wydawnicze jak Brockhaus, Reclam czy Korn w przeszłości, czy obecnie Suhrkamp lub Volk und Welt, zapisywały niejedną złotą kartę w dziejach wydawniczych i literackich kontaktów niemiecko-polskich.

Duże zainteresowanie się niemieckich wydawców książką polską trwa po dziś dzień. Wśród krajów bloku socjalistycznego Niemiec, Republika Demokratyczna znajduje się na wysokim trzecim miejscu wśród importerów naszej literatury (po ZSRR i Czechosłowacji), zaś wśród państw zachodnich Republika Federalna Niemiec zdecydowanie wyprzedza inne kraje, wydając w ciągu roku więcej niemieckich książek, niż np. Anglia, Belgia, Holandia czy Francja łącznie.

Nauka polska od dawna interesuje się losami literatury polskiej wydawanej w języku niemieckim, tym bardziej, iż niemieckie książki polskie stały się znane w Europie dzięki niemieckim tłumaczeniom, jak to np. miało miejsce z niemieckim tłumaczeniem „Chłopów” Reymonta, które urosło do rangi Nagrody Nobla.

Tak więc spora ilość wybitnych nazwisk polskiej humanistyki można by wymienić w kontekście naukowych penetracji nad meandrami losów polskiej książki w tłumaczeniu na język niemiecki, jak choćby Stefan Kawyn, Stefania Skwarczyńska, Bogdan Zakrzewski, Marian Szrocki, Maria Grabowska czy Tadeusz Mikulski.

Były także podejmowane próby bibliograficznego zapisu tłumaczeń literatury polskiej w języku niemieckim, jak np. L. Kurtzmann, K. Dedeus, K. Staemmler, L. Ryll i J. Wilgat czy F. Krause i I. Kuhnke, ale we wszystkich wypadkach były to opracowania dotyczące pewnych okresów czasowych, bądź nie spełniające wymogów naukowego zapisu bibliograficznego.

Uważna lektura tej mroźnej, pracy wykonanej przez łódzkiego naukowca pozwala na wysnuęcie wielu interesujących wniosków. I tak można bez trudu zauważyć, jacy polscy pisarze byli najbardziej popularni w Niemczech i Austrii: a więc bezapelacyjnie Henryk Sienkiewicz (np. ponad 70 różnych przekładów „Quo vadis”), dalej Józef Ignacy Krasiński, Stanisław Lem, Sławomir Mrożek i Witold Gombrowicz.

Ciekawostką jest, że do dzieł, które znalazły się w bibliografii, zaliczono także dzieła zebrań w języku niemieckim, jak Sienkiewicz, Krasiński czy obecnie Gombrowicz. Zwraca uwagę duża ilość antologii, które od dawna były jakby „niemiecką” specjalnością. Przypomina, że niemieckie niemieckie wydawcy dali się poznać jako dobrzy specjaliści, ich decyzje, kogo zaprezentować niemieckiemu czytelnikowi także dzisiaj muszą zdumiewać trafnością wyboru. Warto tutaj w odniesieniu do dzieł współczesnych raz jeszcze przywołać nazwisko Karla Dedeciusa, autora kilkunastu antologii polskiej prozy i poezji. Jego wybory zarówno w odniesieniu do poziomu przekładów jak i wyczułki, odnośnie selekcji materiału, stanowią doskonały przykład doskonałej roboty redaktorskiej.

Bibliografia Krzysztofa Kuczyńskiego ukazuje więc także trud wielu, często zapomnianych, tłumaczy. Ze starych mistrzów przekładu wymienimy np. takie nazwiska jak Philipp Löbenstein, Siegfried Lipiner, Albert Weiss czy Heinrich Nitschmann, zaś ze współczesnych — wspomniany Karl Dedecius, Klaus Staemmler, Henryk Bereska, Kurt Klein, Gerda Hagena, Oskar Jan Zauschowski czy Alfred Toepele. Przypomina także, że w krajach niemieckich obszar językowy mieliśmy zawsze doskonałych tłumaczy, lista ich nazwisk jest bardzo długa.

Zresztą zainteresowany czytelnik odnajdzie w bibliografii Krzysztofa Kuczyńskiego bez trudu każdego pisarza, tłumacza czy wydawcę antologii, gdyż całość została

Bibliografia, choć nie zastąpi monograficznego opracowania naukowego, jest pierwszym, ale także ważnym i potrzebnym krokiem ku takiej syntezie. Warto dodać, że praca dokonana przez Krzysztofa Kuczyńskiego imponuje swoim rozmachem. Wykonał on badania i kwerendy w kilkunastu wielkich bibliotekach krajowych i zagranicznych, przebadł tysiące źródeł. Wykonał prace ołbrzymią, godną wielomiesięcznych poszukiwań (a może i kilkunastu) grup badawczych. Tym bardziej dzieło jego godne jest podziwu i uznania. Warto podkreślić, że w wielu miejscach dokonał Krzysztof Kuczyński niemal pionierskich odkryć, jak miało to miejsce np. w odniesieniu do tłumaczeń polskiej literatury w latach 1880—1900, kiedy to ukazało się wiele tłumaczeń, a o dzieło w dotychczasowych penetracjach naukowych okres ten omijano!

Warto tutaj powiedzieć, że bibliografia ta ma także swoje „lozdzkie”, jak np. w postaci nazwisk takich autorów, jak m.in. Jerzy Wawrzak, Wacław Biliński, Jerzy Waleńczyk, Jan Huszcza czy Jan Czarny. Warto więc bibliografię tę sprowadzić do łódzkich bibliotek.

Wśród bibliografii już istniejących, bibliografia Krzysztofa Kuczyńskiego zajmie z pewnością poczesne miejsce, z uwagi na zakres jej naukowego zapisu, przebieg wykonania oraz wagę niemiecko-polskich stosunków literackich w przeszłości i obecnie.

TADEUSZ DUBICKI

Krzysztof A. Kuczyński, Polnische Literatur in deutscher Übersetzung von den Anfängen bis 1985. Eine Bibliographie, Darmstadt 1987, ss. 283.

zespół realizował własne pomysły, „przekazywał” od siebie; bo taki powinien być teatr amatorski. Nie narzekają na brak środków — kostium i rekwizyty da się zorganizować. A nie o to chodzi — jak twierdzą — by robić teatr zawodowy czy amatorski, lecz dobry. Wspólna praca daje im radość i satysfakcję. A najlepsze jest to, że łączą ich nie tylko teatr.

Zapowiadają nową premierę, tymczasem zapraszają na „Etiudę I” w reżyserii Andrzeja Czernego. Scenariusz — Andrzej Bursa, Jarosław Grzelka, teksty — Andrzej Bursa, Jarosław Grzelka, muzyka — Piotr Librowski i Mariusz Wilk. Udział biorą: Barbara Drózd, Monika Kamińska, Ilona Przepiórka, Arkadiusz Czuba, Jarosław Grzelka, Sebastian Kotliński.

JOLANTA POL



Minister przemysłu J. Bilip odznacza doc. Henryka Blachę, prowadzącego Dzielnicę Zespołu Esradowy „Szamki” na uroczystości 100-lecia ZDK.

Na początek zgadula. Jaka to uroczystość uświetniła ostatnio swoją obecnością: wiceminister kultury i sztuki Kazimierz Clapka, zastępca kierownika Wydziału Kultury KC PZPR Zbigniew Domino, sekretarz ds. propagandy KL PZPR Grzegorz Miślewicz i dyrektor wydziału kultury UML Ryszard Czubaczynski? Chodzi naturalnie o 100-lecie amatorskiego ruchu kulturalnego w Łódzkiej Zakładach Przemysłu Bawełnianego im. Obrońców Pokoju, a przedwojennych Zjednoczonych Zakładach K. Scheiblera i L. Grohmana.

Czurą czasową, od której datuje się zainteresowanie robotników kulturą wyższego rzędu była rewolucja 1905 r. połączona ze wzrostem świadomości politycznej i tożsamości narodowej. W tych latach majówki i szynki znalazły naturalną konkurencję w postaci teatru amatorskiego na Księżym Młynie, istniejącego zresztą już od 1888 r. Znawcy przedmiotu wysuwają ciekawe przypuszczenie, że doświadczenie, przeznaczone przez fabrykantów na cele zakładowej kultury, przynajmniej w założeniu, miały odciągać uwagę pracowników od rzeczywistości politycznej.

W latach międzywojennych Klub Robotniczy deklarował się jako jednostka apolityczna, krzewiąca oświatę, kulturę umysłową oraz fizyczną. Tuż przed II wojną światową skupiał on około tysiąca członków. Przy fabryce działały, obok teatru: orkiestra dęta, biblioteka, chór oraz kino (14 tys. widzów w ciągu 5 miesięcy!).

Setka

W pół wieku później Zakładowy Dom Kultury „Księży Młyn” obchodził niemal po cichu, przy okazji Dnia Włókniarza i obchodów pierwszomajowych — setny jubileusz. Ponieważ jak mawia dyrektor ZDK Józef Galecki, w 1974 r. jeden z budowniczych „drugiej Polski” z rozporządzenia zarządził salę widowiskową na 300 miejsc, zamiast zacząć ją wyremontować, więc świętowali z kołnierzem w gościnnych progach Teatru im. Stefana Jaracza.

Orkiestra dęta pod batutą Grzegorza Sieradzkiego i Pawła Miszoka zagrała m.in. marsze W. Langego: „Białe róże”, „Morning post”, „Wianki walców” J. Straussa, poloneza i „Pożegnanie ojczyzny” M. K. Ogińskiego. Dzielnicę Zespołu Estradowy „Szamki”, mający w dorobku kilka teledysków dla telewizyjnego „Telekanału” i 18 piosenek na kasiecie, zaszerwował gościom piosenki z przygotowanego właśnie musicalu dziecięcego „Rewia na chodzie” do słów Piotra Losowskiego z muzyką Józefa Galeckiego. Wystąpiła również grupa „Amabile” z programem poetyckim i zespół rytmiki „Przedzkołak”.

WŁODZIMIERZ KUPISZ



Rys. Sławomir Łuczynski

Z kraju i ze świata • Z kraju i ze świata • Z kraju i ze świata • Z kraju i ze świata

DOBRY PRZYKŁAD

Z różnych stron kraju słyszymy o niszczących obiektach zabytkowych i każdy, kto na ten temat zabiera głos, podnosi kwestie finansowe. Rzeczywiście, odnowa zabytkowych obiektów jest przedsięwzięciem bardzo kosztownym, najczęściej przekraczającym możliwości finansowe ich użytkowników. Przedsiębiorstwa Konserwacji Zabytków żądają olbrzymich kwot za wykonane prace, tylko czy te żądania bywają uzasadnione?

Jak dowodzi przykład z województwa łódzkiego w warunkach reformy można ratować cenne zabytki znacznie mniejszym kosztem. Oto za odnowę polichromii zespołu pałacowo-parkowego w Rokosowie PKZ zażądało 20 mln zł, tymczasem oferta artysty-plastyka zamknęła się kwotą... 2 mln i z niej też skorzystano. Podobnie rzecz się miała z konserwacją polichromii w pałacu w Wielkiej Łęce, na którą PKZ wystawił kosztorys sięgający 12 mln, a so-

łdny rzemieślnik wykonał ją za cenę sześciokrotnie niższą. O ile więcej zabytków zdołamy uratować rezygnując z usług monopolistów na rzecz solidnych i mniej pазnanych wykonawców indywidualnych.

SZTUKA I ZAROBKI

Co to znaczy „sztuka socjalistyczna”? Ile zarabia plastyk? — na te i inne pytania wypowiedział się, niedawno mianowany na stanowisko przewodniczącego radzieckiego Związku Artystów Plastyków, Andrzej Wasnecow w wywiadzie opublikowanym w „La Stampa”.

„Jest to sztuka wieloraka. Wszystkie najlepsze dzieła stworzone w ZSRR reprezentują sztukę socjalistyczną, ponieważ zrodziły się w kraju socjalistycznym i odbijają jego rzeczywistość. Należy jednak przywołać, że w przeszłości sztukę socjalistyczną pojmowano w sposób bardzo wązowy, wręcz dogmatyczny. Ja obojętnie nie mogę sobie wyobrazić, by sztuka naszego kraju nie była socjalistyczna. Jeśli przyznamy, że

sztuka ściśle wiąże się z otaczającym ją światem, zobaczymy, że w kraju socjalistycznym realizm może być socjalistyczny, ponieważ naszą rzeczywistość przenika socjalizm, zarówno w sferach przejawach pozytywnych, jak i negatywnych. Ale realizm socjalistyczny nie wyklucza krytycznej analizy tego, co się wokół nas dzieje...” Ile zarabia plastyk? — To zależy, jak i ile pracuje. Mam pewien „fundusz plastyczny”, z którego wypłaca się artystom miesięcznie zaliczkę — 250—300 rubli. Muszą oni na to zapracować swymi dziełami. Pod koniec roku oblicza się, ile artysta zarobił za obrazy, które udało się sprzedać, i dopłaca się mu różnicę. Obrazy należą do funduszu plastycznego, który zajmuje się szukaniem nabywców. Fundusz zatrzymuje dla siebie część wpływów: jeśli na przykład sprzeda jakiś obraz za dwa ruble, połowę zatrzymuje dla siebie, a połowę trzyma dach lub zakup materiałów. Przeciętnemu malarzowi powodzi się u nas chyba lepiej niż na Zachodzie. Otrzymuje on dużą pomoc i przyzwyczają do

tego, że ktoś się o niego troszczy. Ale artyści plastycy zarabiają jeszcze w inny sposób: na przykład pracując na zamówienie państwowe. Sam związek też podpisuje z nimi umowy na konkretne dzieła. Za obraz dużych rozmiarów na zadany temat państwo płaci od pięciu do sześciu tysięcy rubli. Cena może być nawet wyższa, ale namalowanie takiego obrazu kosztuje oczywiście sporo wysiłku...”

O HITCHCOCKU

Oto dwie anegdoty o Alfredzie Hitchcocku zaczerpnięte z głośnej już dziś książki pt. „Hollywoodzkie anegdoty”.

Mistrz suspensu many był z błyskotliwej inteligencji i ciekawego dowcipu. „Panie Hitchcock — zapytała kiedyś aktorka na planie — jak pan sądzi: jaka jest moja najlepsza strona?” „Właśnie pani na niej siedzi!” — odpowiedział nawet nie podnosząc głowy.

Po premierze głośnego filmu „Psycho” reżyser otrzymał list od pewnego mężczyzny, który skarżył się, że po obejrzeniu

Nie wszyscy pewnie wiedzą, że pod powyższą nazwą kryje się organizowany od 1982 r. przez Łódzką Akademię Muzyczną, Oddział Łódzki Związku Kompozytorów Polskich oraz Łódzkie Towarzystwo Muzyczne cykl prezentacji muzyki awangardowej obejmujący obok koncertów również wykłady seminarialne itp. Cechą tej ciekawej, odbywającej się 2 razy w roku w gmachu Akademii Muzycznej, i adresowanej do wszystkich zainteresowanych, imprezy jest to, iż każda sesja ma inny temat wiodący. Zasada ta stanowi najlepszą gwarancję wielokierunkowości penetracji. Ostatnia, dwunasta z kolei „Musica Moderna” (2-4 maja) poświęcona została grafice muzycznej oraz współczesnej kameralistyce.

Przez grafikę muzyczną (lub zamiennie — muzykę graficzną) rozumie się taki rodzaj aleatorycznej, czyli zakładającej ingerencję przypadku, techniki kompozytorskiej, w której element przypadkowości w kształtowaniu utworu przez wykonawcę wynika ze swobodnego potraktowania notacji — upodobnienia jej wręcz do dzieła plastycznego. Zagadnieniu temu poświęcił wykład warszawski kompozytor i kontrabasista, Tadeusz Wielecki, by później w trakcie jednego z koncertów, wykonał cykl graficznych kompozycji na kontrabas. Ponieważ ich kształt zderzał się z pomysłowością tego samego instrumentalisty, w efekcie nie mogło stać się określenie różnic pomiędzy poszczególnymi autorami. W tym więc wypadku

Musica Moderna

aleatoryzm pozbawił muzykę cech wypowiedzi autorskiej.

Odbyły się w sumie 4 koncerty, w tym jeden nocny. Wtedy właśnie wystąpił, dopiero po raz drugi na łódzkim gruncie, „Studio Sextett”, czyli łódzki sekstet amatorski, notabene jedyny tego typu zespół w kraju. Powstał ów ансамбль — co ciekawe — przed 4 lata w Bayreuth, podczas międzynarodowych warsztatów muzycznych, i ma już na swym koncie szereg nagraniowych występów. Krajowej publiczności dał się m. in. poznać na ubiegłorocznym, Tarnowskim Tygodniu Talentów. Wspomni koncert rozpoznał łódzkie przyzwyczajenie do napisanego na zamówienie zespołu przez Bogusława Schaeffera. W tym (co taskakujące) grawitującym trochę w stronę tradycji utworze najbardziej odpowiedzialna, bo niemal solistyczną rolę miał do spełnienia i skrzypek — Tomasz Bartosiak. Typowa dla kameralnego muzykowania równowaga partii zapanowała w klarownym odzwierciedleniu, polifonicznością Sekstetu Kazimierza Sikorskiego oraz programowej, inspirowanej przez R. Dehmela, ekspresjonistycznej „Rozświetlonej nocy” Arnolda Schönberga.

Wspomnie jeszcze o równie interesującym wieczorze finałowym obejmującym prezentację przez studentów i pracowników AM kameralnych dzieł łódzkich twórców.

Trzydziestoletnie Trio Bronisława Kazimierza Przybylskiego na skrzypcach (Tomasz Guz), wiolonczeli (Piotr Sobczak) i akordeonu (Bogdan Dowiasz) jest udaną próbą poszukiwań formalnych i kolorystycznych. Każdemu z instrumentów powierzona została w jednej z części rola wiodąca. Podkreślić trzeba, że zaskakujący nieco w tym zestawieniu akordeon podlega prawdziwej nobilitacji, w pełni przekonując słuchaczy fakturalnym i barwowym współdziałaniem z pozostałymi instrumentami. Pochochodzą z zeszłego roku Trio wykonywane było już w RFN.

Powstała także w ubiegłym roku, mająca swe prawymyślenie na szczecińskim festiwalu „Młoda Muzyka Polska” kompozycja Sławomira Kaczkowskiego — „Direction” na 2 fortepiany zwraca uwagę prostotą i ekonomią użytych środków. Powtórzenia współbrzmień permanentne, szybkie repetycje dźwięków i, w kulminacji, klaster, są sposobem osiągania napięcia i wyładowania energii. Z precyzją interpretowali „Direction” grający od niedawna w stałym duecie pianiści — Robert Gavruta i Cezary Sanecki.

Rozbrzmiewający po raz pierwszy sekstet perkusyjny „Ab ovo” Piotra Grajzera stworzony został pod wpływem inspiracji muzyką ludów pierwotnych. Konstrukcyjnie opiera się na obsecyjnych (tworzących właśnie odpowiedni klimat) motywach melodycznych i rytmicznych. Forma prowadzi do stopniowego „rozrzedzenia” dźwięków i ogólnego uspokojenia.

Jako ostatni punkt programu XII „Musica Moderna” przewidziano wcześnie nawiązujące do stylu Bartokowskiego, znane już nie tylko w Polsce, „Divertimento” Jerzego Bauera na 2 fortepiany i zespół perkusyjny. Zarówno pianiści (Beata Cywińska i Piotr Sadek), jak i perkusiści (m. in. grający na wibrafonie i marimbafonie Jarosław Janik) spisali się w tej witalnej kompozycji znakomicie.

W ogóle poziom wykonawczy sesji był wysoki. A jak będzie w grudniu, w czasie planowanej XIII „Musica Moderna”? Zobaczymy...

JANUSZ JANYST

Do kategorii sławnych autorów jednego dzieła należy też Pierre Choderlos de Laclos. Uznawany za przedstawiciela stanu trzeciego, skromny oficer artylerii napisał na siedem lat przed Wielką Rewolucją „Niebezpieczne związki”, w intencji podobno moralizatorskiej, przyjęło jednak tę powieść jako gorszą.

Może to skutek adaptacji scenicznej, że wnikliwy tekst prozy psychologicznej, będący doskonałym narzędziem introspekcji nabiera jakby frywolniejszego wydźwięku w dialogu podawanym przez żywych aktorów. Jego wy-

nie dworujmy sobie jednak o ówczesnych ludzi, którzy ubiegli nas w pożytecznej umiejętności oddzielania spraw seksu od uczucia, wzbogacając zarazem doświadczenia literackie, podziwiając miłosne cierpienia z powodu niezłomnej (na początku) cnotliwej pani de Tourvel uprzyjemnia sobie dwiema naraz miłostkami, w gotowości skonstruowania jeszcze „nagrody” od Markizy, co czyni z nawiązką, żeby nie wyjść z sprawy a głównie dla podtrzymania reputacji ciągle skutecznego uwodźciciela.

Chcąc jednak wyrazić swój niechęć do bezbłędnej prawdy, szczerze przekazała BARBARA MARSZALEK. Jej córce Cecylii wyposażyła w sporą dawkę humoru JOANNA JANKOWSKA. Doświadczoną przez życie matroną, panią de Rosemonde była MARIA KOZIEBSKA. Rozterki tłumionej namiętności pani de Tourvel grane przez MARIE BARELKOWSKĄ trochę jakby paraliżowała bliskość widowni, rola to bowiem niezbyt kameralna. Emilia zaś we wcielaniu BOGUSŁAWY PAWEŁC prowokowała do pytania, gdzież dać znaleźć tak ponać kurtyzane.

Moralista przewrotny?

rafinowana forma i błyskotliwa zonglerka słowna narzucają nam mimo woli podziw dla przystoiwości umysłu i dowcipu, słowem dla francuskiego esprit, które nie spodziewany z tych odparowuje celna riposta.

A może i sam autor wyżej sobie cenił dobry smak od pomiaru kaznodziejstwa, i jeśli już sytuacja nie pozwala uniknąć tomacji serio, jak w końcowych tyradach zakochanego wicehrabiego Valmonta, dochodziła do głosu sentymentalna afekcja epoki.

Jest bowiem Laclos niedoświadczonym artem liberyńskiego osiemnastego wieku, który jednak, jeśli wliczyć świadectwo Boya-Zeleńskiego (w przedmowie do jednej z książek Crebillona), był niemal pruderyjny w porównaniu z cynicznym i rozwiązłym wiekiem siedemnastym. Ale i nasz autor, choć był w nieco moralistycznym stuleciu, gdy smuje misterna intrzygę bezwzględnej, żadnej panowania nad ludźmi i zapamiętanej w zemście Markizy de Merteuil, zdaje się upajać maserami, jej działaniom, niepomny, że zmierzająca ona do ludzkiej krzywdy, nad którą panie i panowie, przebrani w pasterskie stroje, wlewali potoki łez.

W udanym kształcie przedstawienia czuje się rękę Bogdana Hussakowskiego, który zadbał o to, by w akcji nie było miejsc „pustych”, by aktorzy przekazywali swoje kwestie z intonacyjnym cieniowaniem podtekstów, by ruch sceniczny miał swój rytm i styl, i widać. No, nie mogło to być całkiem bez zarzutu, wśród bowiem dzisiejszych aktorów, nie tylko łódzkich, a zwłaszcza młodych, niewielu potrafił sprostać tak „grzmasnym” wymaganiom. Bo i gdzie te salony, w których kultywuje się dobre maniery, gdzie można by podektykować się dowcipem.

Rozgrywanie wielkiego pojedynku Markizy i Wicehrabiego przypało BOŻENIE MILLER-MAŁECKIEJ i MARIUSZOWI WOJCIECHOWSKIEMU. Wyniosły chłód kobiety władcy, u której nieustannie wyrachowanie przytłumio spontaniczność przeżywało się, aktorze zagrać wiarygodnie. Jej partner miał określić bodaj bardziej złożony portret człowieka będącego panem siebie tylko w warunkach łatwego podobno, tracącego pewność i skazanego na klęskę, gdy da o sobie znać uczucie.

Naiwność pani de Volange, po-



Foto: Romuald Sakowicz

Kronika

PO RAZ SZÓSTY przyznane zostały doroczne Nagrody im. Ludwika Waryńskiego. Jury przewodniczył członek Biura Politycznego, sekretarz KC PZPR — Jan Głowczyk.

Otrzymał je w tym roku m.in.: Mieczysław F. Rakowski za wspomnienia „Czas nadziei i rozczarowań” („Książka i Wiedza” 1987) oraz Andrzej Werblan za monografię „Władysław Gomułka. Sekretarz generalny PPR” (KWiP 1987) — frazemy tej publikacji drukowaliśmy niedawno w naszym tygodniku.

ROZDZIELONE ZOSTAŁY RÓWNIEŻ NAGRODY „TRZYBUNY LUDU”. Za osiągnięcia w kształtowaniu i opracowywaniu literatury wartości kultury i sztuki nagrody i stopnia otrzymali m.in. Bohdan Czesko, Maciej Englert, Juliusz Machulski, Urszula Trawinska-Moroz.

ZWYCZAJAMI MŁODZIEŻOWEGO TURNIEJU RELIGIOZNAWczego dla uczniów szkół średnich — organizowanego w tym roku po raz pierwszy przez Zarząd Łódzkiego Towarzystwa Krzewienia Kultury Świeckiej — zostali: Monika Kaspzak z XXI Liceum Ogólnokształcącego, Marzena Kaspzak z XXV LO i Sebastian Białek z III LO.

TKKS jest również — od dziesięciu lat — organizatorem Młodzieżowego Turnieju Wiedzy Filozoficznej. Młodo nie dądo, że zwycięzca eliminacji łódzkich tego turnieju — Grzegorz Królkowski z XXX LO (uczeń klasy III) uzyskał w ogólnopolskim finale drugą lokatę. Zapewnił sobie tym samym — już rok przed maturą — przyjęcie bez egzaminu na studia humanistyczne.

JERZY MAKSYMUK — twórca i dyrygent Orkiestry Kameralnej PR, zdebiutował jako aktor w epizodycznej roli Ignacego Paderewskiego w filmie Jana Kidawy-Błońskiego „Wigile, nie miłość”.

I TYSIĘCY KIERMASZY KSIĄŻEK, 1 tys. spotkań autorskich, 10 tys. wystaw — zostanie zorganizowanych w ramach tegorocznych st. majowych Dni Kultury, Oświaty, Książki i Prasy.

ZA NAJWIĘKSZY sukces reżysera od czasu „Tess” — uznał „New York Times” ostatni film Romana Polańskiego „Frantic”.

W MEDIOLAŃSKIM TEATRZE „STUDIO” odbyła się światowa premiera sztuki Tadeusza Kantora „Nie powrócę już więcej”.

ALEKSANDER PROSZKIN — twórca głośnego, rozrachunkowego „Chłodnego lata 53” wywołanego niedawno w naszych kinach — rozpoczął realizację nowego filmu, poświęconego wielkiemu radzieckiemu uchemu — prof. Wajnowskiemu.

W filmie tym, który odświeżył reżyser — samlerka pokazał również Etlina, Berli, Jeżowa i wiele innych historycznych postaci.

„PIKNIK NA WULKANIE” Ryszarda Świerkowskiego (publicysty „Perspektyw”) — zapis kroniki wydarzeń z 1981 r. w Polsce, wzbogacony o refleksje autorskie — został uznany książką miesiąca przez „Kulturę”.

Publikację tę wydała Krajowa Agencja Wydawnicza w Warszawie.

OD 1 MAJA BR., w łódzkim Klubie Międzynarodowej Prasy i Książki, czynna jest wystawa fotografowa Tadori Saito — jednego z najbardziej znanych współczesnych fotografików japońskich. Jego zdjęcia publikowało wiele renomowanych magazynów, takich jak „Stern”, „Figaro”, „The London Sunday”.

Za oryginalną ekspozycją p.n. „Syndrom seksektu” — zorganizowana staraniem Towarzystwa Polska-Japońska — można się zapoznać do 20 bm.

Zachęcamy!

WIELU ŁÓDZIAN — z pewnością — zainteresuje również ekspozycja p.n. „Janusz Wyżnikiewicz — architektura dziś i jutro”, prezentowana przez „Mistopole” w Łodzi w salach wystawowych Muzeum Historii Miasta Łodzi.

JACEK BUNSCHE — we wrocławskim Teatrze Polskim — przygotowuje inscenizację „Dzieci Arbatu” Anatolija Rybakowa. Trafili również na scenę „Doktor Żywego” Borysa Pasternaka. Wystawia go warszawski Teatr Ochota, w adaptacji Jana Machulskiego.

ELOT RODZINY ROGOWSKICH odbędzie się w dniach 17-20 maja br. w Otwocku. W bogatym i atrakcyjnym programie tej, nieodpłatnej imprezy przewidziany jest m.in. bal rodzinny oraz wybór „Miss Regionu”.

W GALERII ŁÓDZKIEGO TEATRU STUDYJNEGO „B” otwarta została 8 bm. wystawa rysunków Jana Wiślickiego p.n. „Przebiegi”.

W SALACH MUZEUM MIASTA ZGIERZA, 8 bm., nastąpiło otwarcie interesującej wystawy archeologicznej — „Ziemia mówi”.

W PAŃSTWOWYM MUZEUM NA MAJDAŃKU, 8 bm., otwarta została przejmująca ekspozycja II Międzynarodowego Triennale Sztuki Przeciw Wojnie — Majdańsk 88.

F.P. „SZTUKA POLSKA” ODDZIAŁ W ŁÓDZI oraz powołany przy niej Klub Seniora Artysty Plastyka organizuje 16 czerwca br. (w Klubie „Piwnica”) aukcję Dzieł Sztuki. Całkowity dochód z dzieł ofiarowanych na aukcję — przeznaczony będzie na wspomnienie działalności Klubu Seniora oraz na organizację imprez dla dzieci artystów.

Opracował: JAK

W „Relaxie”

Nowoczesne myślenie

Kiedy przekroczyłem gościnne progi Domu Kultury „Relax” Spółdzielni Mieszkaniowej „Teofilów” przy ul. Rydykowej 1 i znalazłem się w kierownictwie — mgr Małgorzata Małkowska-Domaszewska — ujęła moją przyciągniętą, niekonwencjonalną wyobraźnię i bogatą gamę kolorów, wisząc na ścianie obraz. Ponieważ bardzo przypadł mi do gustu — spytałem o ich autorstwo. Jak się okazało — malowała je sama pani kierowniczka. Później się dowiedziałem, że ukończyła łódzką PWSSP, zaś w arkana malarskiej wprowadził ją m.in. nie byle kto — wielka indywidualność, nieodżałowany prof. Zdzisław Gliwacki.

Mimo licznych obowiązków związanych z kierownictwem od kilku lat „Relaxem” oraz społecznikowską pasją — pani Małgorzata z malarskim postanowiła się nie rozstać.

Jej osobista zamieszkała w tym na dobre Spółdzielczemu Domowi Kultury, gdzie założyła i prowadzi Eksperymentalną Pracownię Plastyczną. Trochę odosobniona, otoczona 40-osobową grupą uodolnionej plastycznej młodzieży (w wieku od 8 do 18 lat), z myślą o przygotowaniu jej do późniejszej nauki w liceach plastycznych.

Pomyślił pan, być może — zwraca się do mnie — że jako humanista preferuję zajęcia związane z tą dziedziną. Nic z tych rzeczy... Zarówno ja, jak i mój młody, pełen zapału personel, zdajemy sobie w pełni sprawę z tego, że lansowany w ubiegłych latach „świeciliowy” model domu kultury bezprowizji się już przeżył.

Szaramy się więc usilnie, aby w naszej progi wkroczył jak najszerszy, szeroki frontem, XXI wiek. A to przecież technika, która nie powinna być wyobcowana z humanistycznymi wartościami.

Dlatego dajemy w naszej działalności do zaopiekowania różnorodnych zainteresowań zarówno młodych, jak i starszych mieszkańców Osiedla im. Marii Konopnickiej. Dajemy więc u nas — podobnie jak w innych tego typu placówkach — także teatralne, egzystencjalne, secesyjne, rytmiczne itp. Ale ude nam się też, od niedawna, uruchomił pracownię komputerową. Cieszy nas, że młodzież się gromi do prowadzonej w niej nauki programowania (w języku Basic), że licznie uczestniczy w grach i zabawach komputerowych. Mamy również wideo — wyświetla-

my interesujące filmy dla pracowników spółdzielni, mieszkanców osiedla oraz powołaliśmy Klub bajki filmowej. Chłubią i wycieczki nasza jest, ciesząca się dużym zainteresowaniem, modelarnia leśna.

Bezpośrednie obserwowałem z jakim precyzją i wytrwałością młodzi chłopcy konstruowali — pod okiem fachowego instruktora — szybowa starowa — nie dalekim radiem.

Dużą wagę przywiązuję się tutaj do nauki języków obcych. W SDK „Relax” przyjęła się — podobnie jak i w innych bałuckich domach kultury — oryginalna forma nauki języków obcych dla uczniów szkół podstawowych. Istotnym elementem tej samokształceniowej metody — prowadzonej w ramach Klubu Języków Obcych „Framela” — jest stałe współzawodnictwo (oparte na systemie punktowym). Aktualne jego wyniki obrazowane są planami i wykresami. Warto nadmienić, że nauka jest bezpłatna, nie prowadzi się list obecności, zaś każdy z korzystających z tej formy naukowej zabawy, podlega indywidualnym sprawdzianom. Wyróżniający się uczestnicy Klubu Języków Obcych mogą się ubiegać o przyjęcie do LBN „Framela”.

Kierownictwu „Relaxu” udało się, w ostatnich latach, nawiązać ścisłą współpracę z samorządem mieszkanców. Wspólnie z działającą przy Komitecie Osiedlowym Komisją ds. Dzieci i Młodzieży, organizowane są atrakcyjne imprezy dla uczniów pozostałych w czasie ferii szkolnych w mieście, z okazji Międzynarodowego Dnia Dziecka, Święta Matki, Bożego Narodzenia itp.

Nie zapomina się również o seniorach. Dla podopiecznych Domu Dzielanego Febrtu przy ul. Rejowej 3 SDK „Relax” organizuje występy artystyczne, projekcje filmowe, spotkania z pianistami i podopiecznymi, prelegentami TWP oraz akademie z okazji ważniejszych rocznic i świąt państwowych. Patronuje tym samym — tak ważnym dla dobrego samopoczucia ludzi samotnych — rozmowom kulturalnym.

JANUSZ KOZŁOWSKI

Fraszki

MACIEJ JÓZEF KONONOWICZ

STRYPTYZ LYSKA

Ody odjeżdżając zasnęła — niejedną powie, Ze demonstruje stryptis na głowie.

PRZEPROWADZKA WŁOSÓW

Nie pieścił włosów, nie głaskał ich caule — Włos się przemieszcza w inną półkulę.

WDOWIEC

Lży te taki szowalek — Ce owdował na głowie.

FILOZOF

Scholarstyczny filozof sabbil sobie klina: Od braku ilu włosów lży się kłina!

OŚWIAKOZNY LYSEGO

Chcę prosić ja o rękę wanczał smaczę, rozmowę: Obnażył przed nią duszę oraz lżę głowę.

Z kraju i ze świata • Z kraju i ze świata • Z kraju i ze świata •

słynnej sceny zabójstwa pod przysięgą jego żona boi się wchodzić do wanny. Co zrobić? — Pytał. Hitchcock odpowiedział: „Odstać ją do pralni”.

NAJSTARSZE ŚLADY

Znalezisko dokonane w prowincji Herat w centralnych Chinach eksperci określili jako sensacyjne. Podczas prac wykopaliskowych natrafiono na pochodzący sprzed 8 tys. lat... pancerny żółwia pokryty wyrzynami ręką ludzką znakami. Jest to najstarszy tego typu zabytek, odkryte dotychczas są o ok. 2 tys. lat młodsze.

Jak utrzymują eksperci, dzięki temu odkryciu uda się być może lepiej poznać etymologię licznych znaków chińskiego pisma. Początkowo znakami pisanymi posługiwali się wyłącznie szamani przy wróżeniu.

„PIOTR I” NIE BYŁ ZADOWOLONY

W najbliższą niedzielę (prawdopodobnie, gdyż sawsze zastrzega sobie „prawo smian w programie”) telewizja rozpoczyna emisję głośnego międzynarodowego serialu o Piotrze I. Rola tytułowa zagrał w nim znany aktor zachodniemiecki, Maksymilian Schell. Jakkolwiek film podobają się bardzo zachodniej publiczności, lecz Schell wyraził nieco inne zdanie. W „Süddeutsche Zeitung” powiedział: „Serial odniósł sukces, ale ten sukces był właściwie obelgą. Film nie stał się tym czym mógł się stać ze względu na materiał historyczny. Byłem bardzo niezsześliwy, ponieważ żadna ze scen nie odpowiadała moim wyobrażeniom ani temu, co wcześniej ustalono z reżyserem. Mój nastrój oscylował pomiędzy wściekłością, nadzieją, gniewem, rozczarowaniem i żalem”.

Zobaczmy.

NOTOWANIA NA GIEŁDACH KSIĄŻKOWYCH

Aleksandra Ziolkowska „Kanada, Kanada” — 800 zł; Tadeusz Kutrzeba „Bitwa nad Baurą” — 1500 zł; Piesznki Jazdy polskiej 1914-1921” — 500 zł; Ryszard Ziemiak „Impresje tatrzańskie” (album) — 5200 zł; Juliusz i Franciszek Bernasiowie „Zamach na Hitlera” — 250 zł; Longia Pastusiak „Prezydenci” (3 t.) — 3000 zł (cena nominalna 2200 zł); Tadeusz Brzeziński „Historia medycyny” 1500 zł (cena nominalna 420 zł); Stanisław Felczak „Nie złożono broni” — 600 zł (cena nominalna 380 zł); Ferdynand Hoelski „Legendo-we postacie zakopiańskie” — 3500 zł; Grzegorz Cydzik „Ułani, ulani!” — 300 zł; Witold Biegański „Szczurami Tobruku ich zwali!” — 800 zł (cena nominalna 450 zł); William Szekspir „Dramaty” (WL, 10 t.) — 12000 zł; Sabina Witkowska „Nastolatki gotują” — 1800 zł.

— Przepraszam, postąpiłem w sposób nieprzemysłowy.
Ale Towstucha się pomylił. Stalin znowu zmierzył go groźnym spojrzeniem.
— Za najmniejszą kłopotkę będę surowo karać. Szczególnie surowo tych, którzy zmuszają do kłopotu personel obsługujący. Zrozumieście, mam nadzieję?
— Tak, towarzyszu Stalin, to się nigdy nie powtórzy.
Następnego dnia po obiedzie Towstucha zameldował, że lekarz już wszystko zrobił.
— Niech przyjdzie.
Przyszli Lipman, uśmiechając się przepraszająco, otworzył walizkę.
Przechadzając się po gabinecie i obserwując czynności lekarza, Stalin powiedział:
— Przemysłowicie naszą, wczorajszą rozmowę?
— Tak, oczywiście, Josifie Wissarionowiczu.
— Rozmawiałem na ten temat z towarzyszem Towstuchą, to on, okazuje się, zmusił was do mówienia nieprawdy.
Lipman położył rękę na sercu.
— Towarzyszu Stalin, nie chcieliśmy mówić wam nieprawdy! Towarzyszu Towstucha prosił mnie, żebym was nie niepokoił, nie chciał kłopotać was taką drobną komplikacją. Broń Boże, żebyśmy chcieli mówić nieprawdę.
— Niepokoić, kłopotać — coż to za dzieci-nada, jesteśmy przecież dorosłymi ludźmi.
Stalin usiadł w fotelu, położył głowę na podłokietku, Lipman oplukał nowy mostek pod szklanką, strzepnął z niego krople, ostrożnie, miękim ruchem ręki włożył na miejsce. Mostek trzymał się na złotym łańcu.
Potem zaczęła się zwykła procedura dopasowywania protezy: ołówek, granatowy papier, kł. Zamknijcie usta. Otwórzcie usta... Zresztą, trwało to niedługo, mostek był dobry.
— Zdaje się, że wszystko w porządku — powiedział Stalin.
Wychodząc, Lipman prosił o niezdeterminowaną protezę do następnego rana, a jeśliby coś u-wierzało, wezwanie go.
Nie trzeba go było wzywać, mostek dobrze się trzymał, Stalin był zadowolony i gdy po dwóch dniach pojawił się Lipman, powiedział do niego:
— Mostek jest dobrze dopasowany, nigdzie nie uwiera, nie drażni. Mam takie wrażenie, jakbym nosił go od dawna.
Jednak Lipman poprosił go, żeby usiadł, wyjął protezę, obejrzał ją, znowu założył protezę.
— Tak — potwierdził — zdaje się, że wyszło dobrze.
— No widzicie — rzekł Stalin — odradza-liscie złota.
Lipman milczał, potem powiedział po krótkim wahaniu:
— Towarzyszu Stalin, jeśli jesteście zadowoleni z mojej pracy, to pozwólcie, że przedstawię wam moją prośbę.
— Proszę — zmarszczył się Stalin, nie lubił gdy zwracano się do niego z prośbami bezpo-srednio. Po to istnieje określenie tryb po-siewania, są odpowiedni ludzie, oni badają problem, wiedzą, jakie prośby należy mu przedkładać, a jakich nie należy. Zwracać się z prośbami osobiście do niego jest nieskrupu-lane.
Prośba okazała się nieoczekiwana.
Lipman wyjął z walizki paczuszkę, była w niej plastikowa proteza.
— Proszę was, towarzyszu Stalin, żebyście ponosili tę protezę tylko przez jeden dzień. Zobaczycie, jaka jest wygodna, i sami za-decydujecie.
Stalin aż uniósł brwi ze zdumienia. Prze-cież powiedział mu wyraźnie, że woli złota, nawet wałną piśnią w fotel i w dentystyce serce aż zamiera ze strachu. A jednak uparcie obstał przy swoim. Diabli go wiedzą, może i ma rację.
— Dobrze — niechętnie zgodził się Stalin.
Lipman zamienił protezę. Procedura dopasowywania, jak i ubiegłym razem, trwała krótko. Wszystko było chyba dobrze.
— Bądźcie uprzejmi wezwać mnie jutro — rzekł Lipman — i powiecie wtedy, w której czujecie się lepiej. Która będzie wygodniejsza, tę zostawimy.
Następnego dnia przed obiadem Stalin wez-wał Lipmana.
— Muszę złożyć samokrytykę i przyznać wam rację. Ta proteza jest lepsza i wygod-niejsza. Ale przecież może pęknąć. Zróbcie mi zapasową.
Lipman uśmiechnął się radośnie.
— Proszę bardzo, choćby dziesięć.
— Jedliście śniadanie?
— Tak, oczywiście.
— No, to nie, przekąście jeszcze coś ze mną. Zaprowadził go do sąsiedniego pokoju. Na stole stały wina i zakaski.
— Wódki i konjaku nie mam, nie piję i in-nym nie polecam. Ale wino — to zupełnie in-na sprawa. Jakże wolicie?
— Nie znam się na winach — spieszył się Lipman.
— Niedobrze — powiedział Stalin — na wi-nach należy się znać. Kawy nie piję zupełnie, herbatę piję, ale rzadko. Wole wino. Dwie-trzy lampki wina orzeźwią, a ale zamroczą.
Nalał wina do dwóch prawie Hkierowych kieliszków.
— Za długie życie zrobionej przez was pro-tezę. Cieszcijcie się.
Lipman wziął kanapkę z pasztetem.
— Chcecie jeszcze trochę wypocząć w So-czi? — spytał Stalin.
— Pięknie tutaj, ale muszę wracać do Mos-kwy, do pracy, jeśli, oczywiście, nie jestem już wam potrzebny.
— Powiem waszym przełożonym, że zatrzy-małem was. Posiedźcie tu, kapcie się, piszcie swoją książkę.
— W Moskwie czekają na mnie moi pacjen-ci. Niektórych już zacząłem leczyć, pozdejmowałem wyeksi, powyrzywałem żęby, siedzą z otwartymi ustami i czekają na mnie. Jakże tak?
— To słuszny argument — zgodził się Sta-lin — kiedy chcecie lecieć?
— Jak najszybciej! Dobrze byłoby już jutro. Stalin otworzył drzwi do gabinetu, wezwał Towstuchę.
— Wyślijcie jutro doktora samolotem do Moskwy, zaopatrzyć we wszystko, co trzeba — pokazał na butelki — to wino, na przy-kład.
Wszystki dokad i wrócił z wielkim rzeszo-tem, napelnionym winogronami, podał Lip-manowi.
— Doniesiecie? A jak nie doniesiecie, ludzie

— pomoga — zwrócił się do Towstuchy — niech czekają w Moskwie, zawiozą do domu. Do widzenia, doktorze! Bądźcie zdrowi!
Pożegnawszy dentystę, Stalin kazał poprosić do siebie Kirowa i Zdanowa.
Zdanow przedstawił uwagi, opracowane przez referentów odnośnie do kolejnego rozdziału podręcznika historii. Stalin słuchał go, prze-chadzając się po pokoju, Kirow siedział przy stoliku, rysował coś na kartce. To denerwo-wało Staliną, chociaż sam miał taki zwyczaj, słuchając kreślił coś albo rysował. Ale w jego przypadku był to sposób na skoncentrowanie się, a w przypadku Kirowa przeciwnie, był to sposób na oderwanie się od tematu, pokazanie, że to wszystko niewiele go obchodzi, że jest mu obce.
Swojego rozdrażnienia Stalin nie okazał, przeciwnie, gdy Zdanow skończył refero-wać, rzekł:
— Uwagi wydają mi się rzeczowe, myślę, że można je przyjąć. A twoja opinia, Siergieju Mironowiczu?
— Nie wnoszę sprzeciwów — nie odrywając oczu od rysunku odrzekł Kirow.
Stalin wziął ze stołu meldunek o dostawach zboża, podał Kirowowi.
— Popatrz!
W raporcie czerwonym ołówkiem był pod-kreślony Kazachstan — siedemdziesiąt procent wykonania planu, generalnie — wynik prze-ciętny.
— Mirzojan odstaje — powiedział Stalin — nasze obawy okazały się słuszne.
— Nie jest wcale najgorszy — odpowiedział Kirow — siedemdziesiąt procent... Ale, oczy-wiście, musi się podciągnąć.

ANATOLIJ RYBAKOW

Dzieci Arbatu



— Za tymi przeciętnymi procentami kryją się poważne opóźnienia w poszczegól-nych okęgach — zaoponował Stalin, biorąc z biurka jeszcze jedną kartkę i przyglądając się jej — na przykład wschodni Kazachstan wykonał plan dostaw zaledwie w trzydziestu ośmiu procentach. I to w warunkach wspaniałych urodzajów. Ale te wspaniałe urodzaje zaskoczyły przywódców, wprowadzając ich, tak jak przypuszczaliśmy, w nastrój niefrasobli-wości i beztroski. W meldunku z Kazachstanu doniesiono o niedostatecznym wykorzystaniu maszyn, złym nastawieniu wobec mechaniza-cji, marnotrawieniu i kradzieżach własności państwowej, przenikaniu do instancji pło-nu rolnego obcych i przestępczych elementów i chuliganów z legitymacjami partyjnymi w kieszeniach. Sytuację należy pilnie zmienić, bo potem będzie za późno. Kazachstan nie wyko-nał dostaw, a to może mieć przykre następstwa w równowadze żywnościowej kraju, zwłaszcza teraz, kiedy znosimy reglamentację chleba. Myślę, że trzeba postać kogoś na pomoc to-warzyszowi Mirzojanowi.
— A nie obrazi się? — wyraził wątpliwość Kirow. — Wychodzi na to, że nie wierzymy w jego siły. Może napisać do niego, żeby pod-ciągnął kadry, zaproponować pomoc w lu-dziach, w transporcie?
— Dlaczego miałby się obrazić? — uśmie-chnął się Stalin. — Na partię nie wolno się obrazać. Jeśli wszyscy będziemy obrażać się na partię, to co z partii zostanie? Oczywiście, trzeba zachowywać się taktownie, toteż nie wysłamy do niego instruktora, wysłamy sekre-tarza KC... Słuchaj, Siergieju Mironowiczu, a może ty sam powinienes pojechać do niego. Utrzymujecie przyjacielskie stosunki, przy tym, było nie było, przyjeżdża członek Biura Poli-tycznego — to zaszczyt!
Takiego zwrotu Kirow wcale się nie spo-dziewał. Wyjechać do Kazachstanu, oderwać się od Leningradu, co najmniej na miesiąc... Zresztą, Stalin także tu, w Soczi, może prze-trzymać go przez cały wrzesień. Ale Stalin nie chce go tu trzymać, stosunki między nimi są napięte, i najlepiej, oczywiście, byłoby się rozstać. Ale czy Stalin nie chce się posłużyć Kazachstanem, żeby go stał wyprawic? Zwy-czajne odesłanie go do Leningradu oznaczałoby, że ich wspólna praca nie wyszła, nie uło-żyła się. A tak to jest dobrze wyglądający pretekst — trzeba pilnie wyciągać Mirzojana i z szeregu powodów najlepiej posłać Kirowa, w tej kwestii także z powodu ich osobistej przyjaźni z Mirzojanem. Tym wypadku jego nagły wyjazd z Soczi nie wywoła żad-

nych mylnych komentarzy. Jego czujność wzbudza tylko jedno: Stalin zaczął mówić o Kazachstanie od razu pierwszego dnia jego pobytu w Soczi. Dlaczego? Zawczasu przewi-dział, że wspólna praca się nie ułoży? Zawcza-su sztykował ten wyjazd? To możliwe, Stalin jest przewidujący. W każdym razie ta propo-zycja daje mu możliwość jak najszybszego wy-jazdu. Oczywiście, można było znaleźć inny pretekst — jeszcze prościej byłoby puścić go na kurację do Mineralnych Wód — tu nawet i pretekst nie był potrzebny — to zalecenie le-karzy. Ale już odmówił napisania o Enukidze, odmówił przeniesienia się do Moskwy, trzecia odmowa ostatecznie zaostrzy ich wzajemne stosunki.
— No cóż — rzekł Kirow — jeśli zachodzi taka konieczność, pojedę.
— Konieczność taka zachodzi, sam to doskona-le rozumiesz, a poza tym — Stalin wskazał na kartki konspektu — ta praca, jak widzę, nie-byt cię pociąga, nieprawdaż?
— Owszem — potwierdził Kirow — co ze mnie za historyk...
— No widzisz! A tam czeka cię działalność praktyczna. Więcej niż miesiąc ci nie zajmie, za to poprawimy sytuację w Kazachstanie, be-dziemy mieli chleb. Na czym polegała trud-ność w Kazachstanie? Po pierwsze — daleko od centrum, peryferie. Po drugie — ludność rolnicza, mieszana i praktycznie nowa. Dużo byłych rozkulańców — tam osiedliło. Wśród nich spotyka się też wielu dobrych, przy-kładnych pracowników — zwrócił się do Zda-nowa — jeśli nie sprawi to wam kłopotu, Andrieju Aleksandrowiczu, przejrzyjcie, już proszę o przygotowanie ustawy o przywro-

(47)

ceniu praw obywatelskich byłym kulakom, zwłaszcza młodzieży, którzy w ciągu trzech lub pięciu lat dobrze się sprawowali w nowym miejscu... Tak, są wśród nich też pracownicy, ale wielu jest przepchniętych gniewem i ci nam szkoda. Z drugiej strony, jeszcze nie wpoliliśmy naszym ludziom, szeregowym pra-cownikom, szeregowym ludziom pracy, ele-mentarnej moralności pracy, dążenia do tego, żeby swoją pracę wykonać jak najlepiej, nie rozwinięli w nich poczucia dumy z jakości swej pracy, ze swej profesji, ze swej własnej robotniczej sławy. Na przykład: przyjechał do mnie z Moskwy dentysta, leczył mi żęby, przedstawił swoją propozycję — odmówiłem. Zaczął nalegać, musiałem nawet trochę pod-nieść głos, nie panowałem nad sobą... Ale co innego jest ciekawe: wykonał dwie wersje, według mojej i swojej koncepcji i obie przed-stawił mi na próbę — najpierw jedną, potem drugą. Wypróbowałem — jego wersja okazała się lepsza, co też przyznałem w ramach sa-mokrytyki. W ten sposób udowodnił, że ma rację, obronił swoją wersję. Po co? Mógł spo-kojnie zrobić tak, jak chciałem, i spokojnie wyjechać. Nie, bronil swoich racji, nie bał się nalegać, nie bał się złamać mojego kategori-cznego zakazu. Dlaczego się nie bał? Zwycię-żyła w nim jego ambicja zawodowa. Znaczą, że jest to prawdziwy człowiek pracy, tkwi w nim rozwinięte poczucie dumy zawodowej, ta-kie własne poczucie, powinniśmy kształtować w naszych ludziach. I kiedy poczucie to u-kształtujemy, zniknie konieczność stosowania narzędzi przymusu. Ale na razie nie istnieje, na razie wiele gadamy o oddaniu sprawie, przysięgamy, podejmujemy zobowiązania, a zobowiązanie powinniśmy mieć jedno — wobec swojego robotniczego sumienia, wobec swojej robotniczej dumy, jak na przykład u gruziń-skich winiarzy, albo, powiedzmy, u tego le-karza dentysty.
— Ten dentysta to miły człowiek — uś-miechnął się Kirow.
Stalin zatrzymał się.
— Czy ciebie też leczył?
— Nie, spotkał się na plaży. Świetnie pływał!
Stalin w milczeniu przeszedł się po gabi-necie, potem powiedział:
— Okazuje się, wcale się tu nie nudziłeś, a ja już myślałem: zanudził się nasz Siergiej Mironowicz nad tymi konspektami.
W głosie Staliną Kirow uchwycił dobrze mu znane nuty zazdrości i podejrziwości.
— Plaża pusta, nikt, prócz mnie i doktora się nie kąpał. Zresztą, widziałem go dwa razy, wywarł na mnie dobre wrażenie.
— Tak, jest rozmowny — obojętnie po-twierdził Stalin.
Ta obojętność także była dobrze znana Kirowowi.
Stalin znow w milczeniu przeszedł się po gabinecie, potem zatrzymał się przed Kirowem, spytał:
— Czy jutro możesz odjechać do Alma Aty?
— Oczywiście.
— No to świetnie.

Wieczorem, podpisując papiery, Stalin po-wiedział do Towstuchy:
— Dentystę Lipmana zastąpić innym.
I, pomyślawszy chwilę, dodał:
— Zwolnić z lecznicy kremlińskiej, ale nie ruszać.
18.

Tak jak i poprzednim razem Alfierow był po cywilnemu, jak i poprzednim razem, przy-jął go w świetlicy, przysunął krzesło do stołu jadalnego. Stół był prosty, zbit z desek, a krzesła miejskie, z miękkimi siedzeniami.
— Siadajcie, Pankratow, chcecie herbaty? Niczego dobrego taka gościnność nie zwia-stowała.
— Dziękuję, już jadłem śniadanie.
— Szklanka herbaty nie zaszkodzi, jeste-scie przecież z drogi. Czym przyjechaliście?
— Przyszedłem pieszo.
— Tym bardziej...
Alfierow otworzył drzwi do kuchni.

— Anfiso Stiepanowna, narządzić nam sa-mowarek.
Wrócił do stołu, życzliwie popatrzył na Sa-szę.
— No jak, Pankratow, separator działa?
— Nie wiem, nie interesuję się tym.
— Niesłusznie. No więc działa. I powiedz-cie mi, jak... Proszę, w ośrodku remon-towym, żeby, oczywiście go naprawili. Napra-wili go tego samego dnia.
To znaczy, że Zida mówiła prawdę.
Alfierow z ukosa spojrział na Saszę.
— Zapewne rozumiecie, że nie zrobiłem tego przez altruizm. Ale dlatego, że jeśli na-sz podopieczny uszkodzi urządzenie, to naszym obowiązkiem jest zreperowanie go.
— Wasz „podopieczny” nie uszkodził urzą-dzenia.
— We wsi myśla na ten temat inaczej. W każdym razie, separator został naprawiony, in-cydent wyczerpany. Zresztą, możemy wyrazić się jasniej: wyciszony. Meldunek na was leży u mnie — wskazał na szufladę stołu — nie mam zamiaru was nim szantażować, ale może przypomnieć o nim przewodniczący kolchozu. Zresztą, jeszcze do tego wrócimy. A oto i her-bata!
Kobieta w średnim wieku, tęga, postawna, w długiej spódnicy i bluzce, wniosła samo-war, postawiła na stole talerz z borówkami, z rybami, zapiekankami w jajkach, z pierożkami, nadziewanymi także rybami, borówkami, ja-godami.
— Herbatę sam zaparzę — mówił Alfie-row, wycupując herbatę — to — wiecie, wielka sztuka, nauczyłem się jej w Chinach.
Postawił czajnik na samowarze, przykrył złożonym ręcznikiem.
— Zanim herbatę się zaparzy, czestujcie się — Alfierow gestem ręki pokazał stół.
— Dziękuję, napiję się herbaty, ale jeść nie będę, jestem po śniadaniu.
— No, jak uważacie, ale jeśli zechcecie — jedzcie, apetyt przychodzi w miarę jedzenia. Jak się wam żyje w Moskwie, nie nudno?
— Wesela mało.
— Pewnie, że to nie miód — zgodził się Al-fierow — nawiasem mówiąc, macie tam dosyć ciekawych ludzi. Zylinski, Wsiewłod Siergie-jewicz, filozof, uczeń Bierdiaiewa. Mógł w swoim czasie wyjechać za granicę — odmówił, jak twierdzi, z miłości do Rosji. Teraz to by oczywiście wyjechał, ale już za późno. Jeśli już kochał Rosję, to pracuj dla niej, a nie przeciw niej. Dobrze mówię?
Sasza wzruszył ramionami.
— W zasadzie tak, ale nie wiem, co takiego robił przeciw Rosji.
— I Zylinski, i wszyscy pozostali będą was zapewniali, że znaleźli się tu niesłusznie. Ale, wiercie mi, nikt bez przyczyny tu nie trafił.
Sasza się uśmiechnął.
Jego uśmiech nie umknął Alfierowowi.
— Macie na myśli siebie, ale z wami to zu-pelnie inna sprawa. Wasze zesłanie — to są sprawy wewnętrzpartyjne. Jak mówił Pus-zkin: „Prastary bratni spór”. Znaleźliście się w określonej sytuacji, zachowywaliście się niezbyt ostrożnie. Myślicie, że znalazłem się w tej dziurze na własne życzenie? Widzieliście bogaczańskiego pełnomocnika? Tutaj nawet taki wystarczał. Ja, co, mam nadzieję, zauwa-żyliście, jestem nieco inny. Ale ja także nie sprzątałem sytuacji, w jakiej się znalazłem, no i trzymałem tutaj. No i co? Jestem komunistą, i spełniam swój obowiązek. Tak, o Zylinskim... Człowiek mądry, erudyta, ale bądźcie z nim ostrożni.
— Prawie nie utrzymuję z nim kontaktów, tak: dzień dobry — do widzenia.
— Kontakty z nim przyjdzie wam utrzymy-wać, czy tego chcecie czy nie chcecie — za-protestował Alfierow — nie możecie się bawić w niemoję przez trzy lata, kontakty są nie-umiejętne. Jest jeszcze u was Maslow Michaił Michajłowicz, były pułkownik Sztabu Genera-łnego.
— No kto jak kto, ale ten to już mnie zu-pelnie nie interesuje — odpowiedział Sasza, zaczynając, jak mu się wydawało, domyślać się, do czego zmierza Alfierow.
— Bez wątpienia — podchwycił Alfierow — to inne pokolenie, inna formacja, ci, z który-mi, szlście etapem, są wam bliżsi chociażby z powodu wieku. Taki Kwaczadze... Korespon-dujecie z nim?
— Nie, nawet nie wiem, gdzie przebywa.
— Co to żęście tak zerwali ze swoimi to-warzyszami podróż? — zainteresował się Al-fierow. — Zresztą, rozumiem was: Kwaczadze to trocista, i to załadny. No ale Solowiejczik...
— Z Solowiejczikiem korespondujemy od czasu do czasu.
Oczywiście, mógł mu tego nie mówić. Mógł-by spytać: po co mnie tu wezwaliście? Na przesłuchanie? Jeśli tak, róbcie to formalnie, bo tego rodzaju dyskusje mnie nie interesują. Ale Sasza tego nie powiedział. Nie zleżał mu Alfierow nie, zrobił, chce rozmawiać po ludzku, prośbę bardzo, mógł rozmawiać.
— Dawno dostaliście ostatni list od niego?
— Przecież wiecie — odpowiedział Sasza. — Wydawało mi się, że jesteście na bieżąco z całą moją korespondencją.
— Tak, nieraz muszę przeglądać korespon-dencję zesłanych w trybie administracyjnym, to należy do naszych obowiązków — potwier-dził Alfierow — ale obowiązek nieregularnie, wybiórczo.
— Moje koperty są zawsze otwarte.
— A jeśli jest sens, żeby je z powrotem za-kręcać — zaśmiał się Alfierow — i tak zoba-czyście, że były otwierane. Ale, powtarzam, ro-bię to wybiórczo, mogłem przeoczyć ostatni list Solowiejczika.
— Czy coś się z nim stało? — spytał Sasza.
— Nie szczególnego. Prosił o przeniesienie do Goltziawina, twierdził, że ma tam narzęczo-ną. Czy to prawda?
— Tak — potwierdził Sasza — ma tam na-rzęczoną. Sam ja widziałem, kiedy przecho-dził przez Goltziawino.

C.D.N.

Tłumaczyła:
EWA-KATARZYNA NOWAK

N

azywana go Simon Ter-Petracejane. Ale znano go pod innym przydomkiem — Kamo. „Jeżeli bym napisał o nim wszystko, co słyszałem — mówił Maksym Gorki — to nikt nie uwierzyłby, że taki człowiek mógł rzeczywiście istnieć. Czytelnik przyjmie wizerunek Kamo za wymysł pisarza”.

Kronika towarzyska w wielu gazetach Petersburga informowała:

„Książę Koki Dadiani zaszczylił swoją osobą apartamenty hotelu „Europejskiego”. Młody potomek starego gruzińskiego rodu — jedyny spadkobierca całej fortuny właścicieli Mingrelii. Ze strony matki książę jest blisko spokrewniony z francuskim księciem z czasów Napoleona, Muratem”.

Zanim ukazała się ta notatka, wydarzył się niezłany redaktorom stołecznych gazet epizod. Pewnego wiosennego dnia 1906 roku jasnie oświeconego księcia Kokiego Dadiani odwiedził w jego podupadłym majątku rodowym młody człowiek i w sposób wielce oryginalny przedstawił mu swoją prośbę. Położywszy na stole górę złotych dziesięciorublowek, zaproponował je księciu w zamian za dokumenty i rodzinne insygnia. Tak bardzo by chciał bogaty rówieśnik księcia choć na chwilę wejść w wyższy świat Petersburga. Niestety, z jego pochodem, mając nawet pieniądze, jest to niemożliwe, ale pod nazwiskiem jasnie oświeconego Dadiani, gdyby ten się zgodził...

W pociągu Tyflis — Petersburg młody książę w białej czelstwie z pagonami filigielianta, aksebantami, pobjęskując sygnetami z „brylantami” podbił swym pełnym wdziękiem humorem współpasażerów z przedziału pierwszej klasy. Czuje się wrodzony arystokratyzm, no

ku w rodzinie kupca, w niedużym w owym czasie miasteczku Gori w Gruzji. Chłopiec miał 13 lat, kiedy po raz pierwszy został oficjalnie uznany za „niebezpieczną osobę” i relegowany ze szkoły miejskiej. Całe niebezpieczeństwo jego osoby, jak ustalili później jego liczni biografiści, sprowadzało się do tego, że podrostek nie wybaczał hipokryzji nauczycielom i w żaden sposób nie chciał się pogodzić z niesprawiedliwością.

Dziewiętnastoletni Simon zbliżył się do demokratycznie nastawionej młodzieży i w tym samym roku został członkiem SDPRR. Partynij pseudonim — „Kamo”. Co on oznaczał, nie wiedział nikt aż do momentu, kiedy Kamo sam nie wyjaśnił tej zagadki. „Jeszcze wtedy — pisał — kiedy uczyłem się w szkole miejskiej w Gori, koledy przeżywałem mnie „Kamu”, ponieważ niefortunnie odpowiadając na pytanie nauczyciela, zamiast „czemu” powiedziałem „kamu”.

Szkoły nie ukończył. Zastąpiła ją szkoła walki rewolucyjnej, w której Kamo realizował najtrudniejsze zadania i najbardziej śmiałe plany partii.

Do momentu wizyty „księcia Dadiani” w Petersburgu miał już za sobą zorganizowanie nielegalnych drukarni w Tyflisie, Kutaisi, Cziaturach, włącznie z drukarnią komitetu SDPRR. Aresztowanie i więzienie w Batumi za rozpowszechnianie nielegalnej literatury, pierwsza ucieczka z więzienia. Walki uliczne na czele robotników z rejonu zrewoltowanego Tyflisu, pięć ran i zamknięcie w Metechowskiej Cytadeli. Ucieczka z Metechi i w ślad za tym zuchwała ekspropriacja szkatuły państwowej. Było to w marcu 1906 roku, na miesiąc przed pojawieniem się w Petersburgu „księcia Dadiani”. Wtedy Kamo przybył do stolicy tą samą drogą, przewozić pieniądze w bukłaku z winem. Ale pobyt był krótki: cze-

Przez około dwa lata wodzi on za nos wybitnych luminarzy psychiatry, nie przerywając ani na chwilę swojej ciężkiej gry.

Nawet wtajemniczonymu w sprawę adwokatowi Kamo, Oskarowi Konowi, kiedy ten spotykał się ze swoim podopiecznym w obecności kierownictwa więziennego, wydaje się czasem, że „ten rzeczywiście dostał pomieszania zmysłów. Dopiero kiedy zostajemy we dwójkę... jego twarz staje się całkiem inną, nawet odrobinę niepodobną do tej, jaką zobaczyć było można przy świadkach. Posiada wolę i talent, z jakimi się nigdy nie spotkałem”.

Osobliwość choroby, którą symulował Kamo, polegała na tym, że pacjent nie odczuwał bólu. Tak oto, pod pretekstem badań, zaczynając go poddawać formalnym próbom: przypalając ciało rozpalonymi pretami, wbijając pod paznokcie szpilki, a w plecy igły. On milczy. Nie przesadza — to jest również niebezpieczne, nie zachowuje się tak, jakby na jego miejscu postępowal rzeczywiście chorego umysłowo człowieka.

W końcu z „diagnozą” głównego prokuratora sądu królewskiego, Herry Scheniana: „sprawa kryminalna przeciw Ter-Petrosjanowi nie może zostać zakończona... uważam za niepożądane sprzeciwianie się ekstradycji...”. Kamo, zakutego w kajdany na rękach i nogach, przewożą w asyście „specjalnego oddziału ochrony” do Tyflisu, do znanego mu już zamku Metechowskiego. Stamtąd, po roku — do izolatki dla furiałów przy szpitalu michajłowskim. Mija jeszcze pół roku i Kamo ucieka. Było to nieprawdopodobne, niemalże fantastyczne wydarzenie. Jak również to, że postawiona na nogi policja Tyflisu, Moskwy, Petersburga, Odessy, Paryża i Wiednia szuka go po całym nieomal świecie, podczas gdy on przebiega w samym centrum miasta, w piwnicy urzędu policmajstra. Poszukiwania przerwano dopiero po trzech miesiącach, kiedy ochrona otrzymała wiadomość, że Kamo jest już w Paryżu.

Spotyka się z Włodzimierzem Leninem, po czym wyjeżdża do Danii, Szwajcarii, Turcji i Bułgarii. Tutaj go znówu aresztują, teraz już jako „szpiega tureckiego”, ale bardzo szybko zwalniali. Kamo jedzie do Aten. Wszystkie te podróże mają na celu nie tyle zatarcie śladów, ile zorganizowanie wysiłku do Rosji nielegalnych wydawnictw, co też czyni. Jednocześnie tworzy sieć pewnych lokalnych konspiracyjnych, nabywa broń dla podziemia rewolucyjnego i wraca do Rosji. Znowu aresztowanie. I tak, zdaje się, w nieskończoność... Całe jego życie aż do ostatniego dnia oddane jest sprawie rewolucji i wyzwolenia narodu spod jarzma carskiego absolutyzmu.

„Człowiek ten — pisał wybitny działacz partii Sergo Ordżonikidze — nie miał nic dla siebie samego. Nie posiadał ani rodziny, ani domu. W niektórych minutach swojego życia zadawał orientować się, gdzie są jego krewni i co się z nimi dzieje. Ale zawsze wiedział o wszystkim, co dotyczyło partii i jej sprawy”.

Po dwóch miesiącach od zwycięstwa rewolucji w Rosji, 16 grudnia 1917 roku na posiedzeniu Rady Komisarzy Ludowych zostaje podjęta decyzja o wysłaniu bolszewikom Tyflisu i Baku 500 tysięcy rubli i oficjalnych dokumentów. Ale jak to wszystko przewieźć przez tereny zajęte przez białych i niemieckie dywizje. Lenin uśmiecha się. Wypowiada tylko jedno słowo, ale sądząc po twarzach obecnych, magiczne: „Kamo”.

Pół miliona i dokumenty zostają wręczone adresatom dokładnie w ustalonym terminie.

Po powrocie Kamo przedstawia Leninowi plan utworzenia oddziału na tyłach białych. Doskonale wie, o czym mówi, przecież przeszedł na tych tyłach przez nieuniknioną śmierć. Lenin zgadza się. W połowie lipca 1919 roku rozpoczyna swoją działalność pierwszy radziecki oddział partyzancki. I znowu Kamo jest w jak najlepszej komitywie z carskimi generałami. Jasnie wielmożny książę na kolejnej przyjacielskiej „popijawie” pierwszy wyraża szczere zdziwienie: skąd czerwoni tak dobrze wiedzą o tym, co oni wspaniale wymyślili lub zamierzali przeprowadzić...

Przez całe swoje dalsze życie człowiek ten przebywał tam i wtedy, gdzie i kiedy partia uważa jego obecność za potrzebną. Niezależnie od tego, co konkretnie zostaje mu zlecone. Nie rwie się do wyższych warstw zwycięskiej rewolucji. Jak żołnierz walczy z nią w Gruzji i Azerbejdżanie, pracuje jako rewident radzieckich organizacji handlu zagranicznego w Paryżu, a w końcu przeprowadza się z Moskwy do Tyflisu, otrzymując nominację na stanowisko naczelnika Zakaukaskiego Okręgu Celnego...

Zginął w wypadku — katastrofie drogowej. Zdarzyło się to 15 lipca 1922 r., sześćdziesiąt pięć lat temu. Pamięć o nim żyje do dziś. Najpewniej dlatego, że wszystko, co najlepsze w tym człowieku, prawdziwym internacjonalistą, oddane było sprawie Rewolucji.

„Droży towarzysze! Cóż mnie, nieszczęsnemu, pocóż, przecież nie jestem w stanie odkupić swojej mimowolnej winy i zwrócić życia człowiekowi, który jest tak drogi i potrzebny ojczyźnie i krajowi”.

Wybac mi, sławny rewolucjonisto, za moją wielką i nie do naprawienia winę, jakiej się względem Ciebie dopuściłem!

Kierowca Kolta Dwali”
To z listu do redakcji gruzińskiej gazety „Komunisti” kierowcy ciężarówki, która na stromym zboczu zderzyła się z rowerem Kamo.

Przełożył: WITOLD DZIUBA

List z Londynu

„Wczesne ptaki” przed sklepami

Przed największym sklepem sportowym na Wypach Brytyjskich — i jak głosi reklama i na świecie — przed „Lillywhites” w samym centrum Londynu, na Piccadilly Circus rozłożono starannie łóżka turystyczne. Przez trzy dni i trzy noce spali na nich, pod gołym i kapryśnym brytyjskim niebem, ludzie, dla których najważniejszym celem było być pierwszym w kolejce do wyprzedazy.

Kobieta około 40 lat składała łóżeczko i stannie zwiłając spiwór, gdy około 8 rano szedłem Lower Regent Street. Jej kilkunastoletnia córka karmiła dużego, kudłatego psa. W południe siedzieli pod sklepem trzymając nad głową rozpostarty parasol i rozmawiali z młodzieńcem od paru minut okupującym drugą pozycję. Tak formowała się kolejka do wyprzedazy.

Nazywają ich „early birds” — wczesne ptaki. Przygotowują dla nich specjalne oferty po zawrotnie niskich cenach. „Ptaki” wygrywają wysięg po tanie przedmioty, managerowie są wdzięczni „ptakom” za reklamowanie sklepu. — Ja czekam na te narty, o tam — chłopak wskazuje ręką na stojące na wystawie „Dynastary”.

— Jeździsz na nartach?
— Nie. Ale to wszystko jest tylko za 25 funtów. Jest okazja, żeby się nauczyć.
— Ale jesteś drugi w kolejce?
— Tak to prawda. Jednak ona — kiwnięcie głową w stronę „rannego ptaka” numer jeden — czeka na sprzęt do golfu.
— Gra pani w golf?
— Nie, ale co z tego. Sprzęt kosztuje bardzo dużo pieniędzy. Moi sąsiedzi grają, to im odsprzedam trochę taniej.

Skoro chcesz stać w kolejce od rana do wieczora przez trzy dni, a zajmowanie kolejki nie jest praktykowane, to twoja sprawa. Twoją sprawą jest też to, co zrobisz z zakupem.

Wyprzedzą demokrację kupujących. Siedło kosztujące normalnie 750 funtów można kupić za 250, stół do bilardu zamiast 800 funtów można nabyć za 600. A poza tym rakiety do tenisa, sprzęt do windsurfingu, narty wodne, sprzęt do nurkowania.

Szaletstwo „sale'u” ogarnęło West End; księgarnie, sklepy odzieżowe, obuwnicze i największy sklep na świecie z zabawkami „Hamley”; male i wielkie sklepy przy Oxford Street, Knightsbridge, Regent Street przekreśliły swoje witryny czerwonymi płachtami, z napisem „Sale” — wszystko na sprzedaż.

Największy i najstawniejszy sklep handlowy Londynu „Harrods” udekorowano jak zwykłe tysiącami maleńkich żarówek. Wygląda jak choinka. Zakupy u „Harrodsa”, są w najlepszym stylu wśród angielskich „bogactw” i arabskich milionerów. Nigdzie indziej nie ma takiego zgromadzenia baszelskich rolników — rolników jak w wąskich uliczkach, po obydwu stronach domu handlowego. Ich kierowcy, biali, wożący hinduskie lub arabskie rodziny, w przypominających karawany, ogromnych, czarnych limuzynach, wystywnie bogato obszywanymi złotą lamperia uniformami, czarni w zgrabnych, malych rolnach popielatego koloru, wożący białych lordów, zatrzymują się na chwilę przed wejściem, i w oczekiwaniu na chlebodawców wdają się w pogawędkę z portierami, gnącymi się w ukłonach przed co najmniej klientami. Przyjemnie jest kupić u „Harrodsa” drobnotkę, jeżeli nawet nie wraca się do domu rolsem czy masseratti, tylko metrem.

Prawdziwe szaletstwo ogarnia „staczi”, gdy nadchodzi czas wyprzedazy u „Harrodsa”. W tym roku otwarcia wyprzedazy dokonał aktor Charlton Heston, który przybył na Knightsbridge wraz z żoną doróżką zaprzęzoną w czwórke czarnych koni.

W ciągu dwóch pierwszych godzin sprzedano 2000 swetrów, 1000 par spodni, 1000 kurtki i 2500 koszul. Właściciel królewskiego sklepu, arabski multimilioner i arystokrata Mohamed al Fayed stwierdził, że pod koniec dnia wartość wyrobów wyniosła 8 mln funtów i że oczekuje, że przekroczy rekordowy wynik z 1987 roku wynoszący 38 milionów funtów. Liczbę zatrudnionych pracowników zwiększono z 2 do 4 tysięcy i podobno musiało to wystarczyć do obsłużenia 300 tysięcy kupujących, którzy pierwszego dnia wyprzedazy odwiedzili „Harrodsa”.

Ogromną popularnością cieszyły się miniaturowe rolsy na pedaly, których cenę obniżono z 245 do 60 funtów.

Ktoś zadzwonił z Genewy prosząc o zarezerwowanie złotego, damskiego zegarka wysadzającego diamentami. Jego cenę z 95 tysięcy funtów obniżono o połowę.

Pewna dama była na tyle szlachetna, że w ciągu pierwszych dwóch minut udało jej się ubić konkurentów i kupić luksusową wannę w kształcie półksiężyca, której cenę zamiast 1789 funtów ustalono na 178 funtów.

Ale prawdziwy rekord ustanowił pewien księgowy, który dystans od drzwi głównych do mieszczącego się na drugim piętrze działu porcelany pokonał w ciągu 13 sekund. Dział ten zresztą przeżywał istny stan oblężenia. Nie ma co się dziwić. Nie każdy może sobie wprowadzić pozwolił na kupno serwisu na 24 osoby, łącznie z kieliszkami kryształowymi, produkcji węgierskiej, za 145 tysięcy funtów, ale zestaw znanej firmy „Harlow”, który można było kupić już za 875 funtów zniknął w okamgnieniu.

W przypadku klientów Harrodsa nie ma mowy o odsprowadzaniu nabytych na „sale'u” produktów. O ile nie każdy jeździ na nartach, o tyle każdy chciałby kupić żonę i futro z norek płacąc za nie nie 6 a 3 tysiące funtów. Albo prawie każdy.

MAREK BRZEZIŃSKI

Jego życie — to gotowy materiał na sensacyjny, przygodowy film, albo nawet cały serial telewizyjny.

Nazywali go Kamo

WILIAM AGABEKOW

bo i jak mogłoby być inaczej — błękitna krew! Swolimi manierami i obciętym książę ocarowuje ważnego generała, a także światową damę — małżonkę znanego stołecznego inżyniera, wracającą w tym samym wagonie z kurortu, otrzymując od niej zaproszenie do odwiedzenia ich domu w stolicy.

Na wizytach towarzyskich, odwiedzeniu teatrów i restauracji schodzi cały miesiąc. Książę obraca się w wyższych sferach stolicy, a jego nazwisko pojawia się w kronikach gazet. Po upływie miesiąca informują one:

„Zasmucający wyjazd księcia Dadiani związany jest według krążących pogłosek ze szczególnymi planami odnośnie jego osoby wyższej administracji Kaukazu”.

Dadiani opuszcza Petersburg. Pozostaje oddać na bagaż ogromną okutą skrzynię, którą otrzymał na pamiątkę po Muracie. Ale nie będzie jej przecież sam dźwigał na dworzec. Książę wychodzi z hotelu i niedbale gestem przyzywa do siebie żandarma: zaopiekuj się nią, gołąbku, a kwity oddasz na dworcu. A resztę — książę wręcza żandarmowi kwotę, o jakiej mu się nawet nie śniło — możesz zostawić dla siebie.

Koki Dadiani szczęśliwie dociera do Tyflisu, a wraz z nim także stara skrzynia z melodiowym pobrzękiwaniem, napełniona aż po samą górę rewolwerami najnowszej marki, ładunkami do bomb, łódkami nabojuowymi z ładunkami. A dla znajomych księcia ze stolicy — na zawsze pozostanie tajemnicą, że miesiąc, który spędził w Petersburgu, a ściślej — prawie wszystkie noce tego miesiąca, Koki Dadiani przebywał w laboratorium Instytutu Technologicznego, gdzie studiował nowy sposób wytwarzania bomb, wynaleziony przez członka KC Socjal-Demokratycznej Partii Robotniczej Rosji (SDPRR), inżyniera Leonida Krasina i profesora Tichwinskiego; odwiedzał peryferie stolicy, gdzie organizował niedługo punkt przerzutowy i magazyn broni, która miała nadejść z Finlandii, objając strażnicze graniczne, trasę przez niego samego opracowaną; przeprowadził operację grupy bojowej, związaną ze zlikwidowaniem agenta ochrony, który przeniknął do jej szeregów.

Ale oczywiście najważniejsze, to nowa bomba. Musiał w krótkim czasie szczegółowo zapoznać się z całą technologią jej produkcji, aby móc otworzyć swoje filie w Baku i Tyflisie, Groźnym, Batumi, Kutaisi i Erewaniu. Teraz nie będzie to stanowić trudności — nie dla księcia Dadiani, nie, dla profesjonalnego rewolucjonisty Kamo.

Ta jego wizyta w Petersburgu była tylko pierwszym epizodem w życiu, które on sam dla siebie określił tak:

— Smaruję koło rewolucji. Przyspieszam o obroty koła rewolucji, pomagając jej nadejść.

Przeżył sześć aresztowań w Rosji i siedem za granicą.

Zakuwano go w łańcuchy, zamykano w więzieniach, czterokrotnie skazywano na śmierć, strzelano do niego, próbując po prostu zabić, bez sądu i śledztwa; kiedyś zmuszono go nawet do kopania grobu dla siebie. Ale on ciągle żył, dokonując zuchwałych ucieczek, uwalniając się spod najgłębszych strzeżonych zamknięć i czujnego oka zawodowych szpicli oraz ochrany. I wtedy rząd carski postanowił nie śkapić. Każdemu, kto dostarczy Kamo żywego lub martwego (lepiej martwego) obiecano nagrodę — 10 tysięcy rubli złotem. Widocznie strach nie na żarty ogarniał samego monarchę Rosji, zawsze, kiedy donoszono mu o nowym „przestępstwie” Kamo.

Simon Ter-Petrosjan urodził się w 1882 roku

OPINIE CZYTELNIKÓW O „ODGŁOSACH” — WYJAŚNIENIA REDAKCJI

„Odgłosy” zacząłem czytać w latach 1979—1981 i po raz drugi od roku 1987. Jest to tygodnik niby ogólnopolski, lecz nie wszędzie można go dostać. Nie to jednak było powodem tak długiej przerwy w moim czytaniu. Prawda była bardziej prozaiczna — po prostu zrobił się zbyt mało ciekawy (jak większość w owym czasie pism) i dlatego przestałem go kupować. Teraz jest inaczej, chociaż — według mnie — jeszcze nie za dobrze. Szata graficzna jest ciekawa, może tylko zbyt przytłaczająca oko klienta. Artykuły, powieści i reportaże ciekawe, niektóre bardzo dobre. Mnie szczególnie przypadają do gustu dwa nazwiska: Rybakow i Leonard oraz trochę mniej, chociaż też lubię: Włodkowski i Koprowski. Osobny rozdział to przedruki z prasy radzieckiej o Stalinie, Chruszczowie, Berii itp. — to jest dobra robota. Szczególnie to, co odbywa się dziś w ZSRR jest arcyciekawe. Mimo tylu pochwał wrzucił kamyczek... brak mi jest tu waszego zdania na te tematy. Ograniczając się w zasadzie do przedruków i oficjalnych wersji PAP. Dlatego też to samo czytałem u was i w „Życiu Warszawy”, „Forum” (to rozumiem, bo tam są same przedruki). A przecież różne zagadnienia, z różnych stron oglądane, można różnie widzieć.

I druga sprawa, kto wie czy nie ważniejsza. W ZSRR odbywa się „pranie brudów” (może nie jest to właściwe określenie), wyjaśnia się wiele spraw, które odczone były mgłą tajemnicy. Porusza się sprawy na pewno nieprzyjemne i nie przynoszące chluby minionej epoki, a jednak nikt nie boi się spojrzeć prawdzie w oczy, gdyż madre przywództwo wie, że nie tak nie umacnia wiarygodności władzy jak powiedzenie pełnej prawdy o przeszłości. Tak dzieje się dziś w ZSRR. A u nas? Czy wy mi moglibyście próbować naświetlić niektóre nasze polskie sprawy z minionej epoki? I tak jak oni to robią — z imienia, nie patrząc jaka funkcję w danym okresie ta osoba zajmowała. Jest tych spraw bez liku. Co wstrzymuje was od tego rodzaju publikacji? Autocenzura? Przecież nie można czekać aż wymrą wszyscy świadkowie tamtych czasów, bo byłaby to niepowetowana strata, strata nie do odrobienia.

Na koniec się przedstawie: pracuję w budownictwie w wykonawstwie, w województwie ciechanowskim, mam 51 lat. Mnie tych uwag lubię wasz tygodnik.

SLAWOMIR ŻERAŃSKI

OD REDAKCJI. Za krytyczne uwagi dziękujemy. Ukazywanie się tych samych tekstów w „Odgłosach”, czy innych tygodnikach oraz dziennikach spowodowane jest między innymi tym, że wszyscy korzystają z tych samych źródeł. Prasa codzienna ma tę przewagę nad periodykami, że może te teksty publikować niemal z dnia na dzień.

Ostatnio unikamy takich sytuacji. Staramy się drukować takie teksty, które nie ukazują się w innych pismach oraz coraz częściej prezentujemy własne opracowania. Będzie tego więcej — obiecujemy.

Jeśli chodzi o sprawę tekstów poświęconych naszej najnowszej historii, to nie przeszkadza nam żadna „autocenzura”. Rzecz jest znacznie prostsza. Nie ma takich tekstów. Nie ma autorów chętnych do ich pisania. Złożone to zjawisko i skomplikowane. Udało się nam zdobyć bardzo oryginalny tekst o wydarzeniach marca 1968 roku w Łodzi. Autor wycofał ten tekst w ostatniej chwili. Jego prawo.

Ale jesteśmy dobrej myśli. Już mamy przygotowane teksty Zenona J. Michalskiego o początkach niepodległości Polski w 1918 roku. Pozamawialiśmy i inne, bliższe naszym czasom. Prosimy o cierpliwość.

Dziękujemy i pozdrawiamy!

WITOLD AFELT nadesłał list, w którym wyraził swoją opinię o kolumnie „Opinie — listy — polemiki”. Oto fragment tego listu.

„Powiedzmy sobie szczerze: każdy przeciętny człowiek (jak mniemam) ma od czasu do czasu ochotę na jakąś wypowiedź, skomentowanie czegoś. I to na pewno nie po to, aby móc mówić „drukowali mnie”, albo skasować później groszowe honoraria.

Przy obecnych układach, gdy we wszystkich czasopismach klan członków redakcji i współpracowników jest dość hermetycznie zamknięty, a w niektórych tytułach wręcz nieprawdopodobnie jest oczekiwać druku własnych wypowiedzi (i to nie tylko dlatego, że mogą być kiepskie — „Odgłosy” stanowią wyjątek. Kolumna „Opinie — polemiki” jest obszerna (nie wzięcie, że nieraz sprawia to Redakcji kłopoty) i można na niej spotkać ciekawe i niebanalne wypowiedzi, które „w normalnym trybie” nigdzie by się nie ukazały.

I to chyba stanowi o „inności” „Odgłosów” w porównaniu z innymi czasopismami. Inności na plus.

Bardzo proszę nie kojarzyć tej wypowiedzi z faktem, że i mnie zdarza się od czasu do czasu coś tam w „Odgłosach” opublikować.”

OD REDAKCJI. Chyba to nie jest tak, że „we wszystkich czasopismach klan członków redakcji i współpracowników jest dość hermetycznie zamknięty”, choć Witold Afelt „Odgłosy” akurat zalicza do wyjątków. Naszym zdaniem rzecz polega na czymś innym. Dokonuje się zróżnicowanie charakteru poszczególnych pism i nie wszystkie teksty akurat pasują do profilu i założeń pisma. Stąd redakcje nie chcą korzystać z wszystkiego, co im się proponuje. Uważamy, że jest to zjawisko pozytywne i byłoby dobrze, gdyby wielu autorów tak to rozumiało. Nigdyś tak przecież bywało, że redakcje na ogół drukowały wszystko, co im przysyłano. Dziś, gdy pisma walczą o a walka będzie się zaostrzała — o miejsce na rynku czytelnictwa, redakcje muszą szukać takich tekstów, które odpowiadają oczekiwaniom ich czytelników. I to jest — a przynajmniej powinno być — zupełnie naturalnym zjawiskiem.

WLADYSŁAW BOGDANSKI z Łodzi domaga się tekstu o „sprawie leningradzkiej” i zabójstwie Siergieja Kirowa. O tej pierwszej spróbowano — nie chcemy się powtarzać. Na temat tej drugiej — mało wiadomo. Jak uda się nam zdobyć dobry tekst — postaramy się wydrukować.

W najbliższym czasie będziemy więcej miejsca poświęcać sprawom gospodarczym — jak sobie tego życzy Władysław Bogdansk.

BARBARA CZARNECKA aż z Gdyni przysłała nam słowa uznania. Dziękujemy. „Ale dlaczego — pyta Barbara Czarnecka — tak trudno o wasze pismo? Już teraz zdobywa się je w kiosku tylko przez podstępne zabiegi, a i to nie zawsze”. Uwagę tę dedykujemy Przedsiębiorstwu RUCH w Gdańsku. Z tego Przedsiębiorstwa powinna nadejść właściwa odpowiedź na powyższe pytanie.

Jeśli natomiast chodzi o „Matnię” Leonarda — to zakończyliśmy już jej druk. Były to obszerne fragmenty. Koniec druku powieści Leonarda na naszych łamach zbiegł się akurat z jej ukazaniem się w sprzedaży. Najpierw „Matnia” ukazała się w Bydgoszczy, gdzie w pierwszym dniu sprzedaży rozeszło się 1000 egzemplarzy. „Matnię” bardzo starannie wydrukowały Wojskowe Zakłady Graficzne w Łodzi, za co należą się im słowa uznania.

DZURNY CZYTELNIK (imię, nazwisko i adres znane redakcji) zarzuca nam, że rubryka „Redakcja — Czytelnicy” jest prowadzona: 1. w belfersko-mentorskim tonie, 2. w nieuprzejmej i niewybrednej formie, 3. nierazko czytelnika — operując jego nazwiskiem — publicznie się ośmieszają i wyszydza. Ponadto Dżurny Czytelnik zarzuca nam „nieraz kardynalne, merytoryczne błędy z różnych dziedzin”. Utrzymuje też, że zwalczając anonimami sami tolerujemy „Redaktora Dżurnego”, który jest anonimem.

OD REDAKCJI. Postaramy się, aby w rubryce „Redakcja — Czytelnicy” nie było belferskiego i mentorskiego tonu. Traktujemy naszych Czytelników poważnie i cieszymy się, że piszą do

nas. Chcemy, aby każdy list był odnotowany. Nie ze wszystkim zgadzamy się z naszymi Czytelnikami. Stąd nasze polemiczne uwagi, które być może ktoś może potraktować jako mentor-skie.

Czytelnicy często wytykają nam różne błędy. Na ogół listy takie publikujemy, chyba że dotyczą drobniaków. Ale i za takie uwagi dziękujemy.

„Redaktor Dżurny” nie jest anonimem. Jest to instytucja, gdyż wielu dziennikarzy „Odgłosów” pisuje pod tym pseudonimem. Skład redakcji podajemy na stronie drugiej. Tam też znajduje się nazwisko redaktora naczelnego pisma, który odpowiada za całość „Odgłosów”. Każdy Czytelnik ma prawo upominać się o swoje racje osobiście, telefonicznie lub pisemnie. Jeśli autor ukrywający się pod pseudonimem „RD” nie chce się ujawnić, to odpowiedzialność za niego ponosi redaktor naczelny. Gdzie tu anonim? I czy to jest ton mentorski?

MARIUSZ POREBA z Łodzi pochwalił nas — owszem — ale zatroskał się o nasze zwroty. Możemy uspokoić naszego Czytelnika, że są one poniżej limitu. Też pilnie śledzimy, jak się kształtują zwroty. Aby były mniejsze, Mariusz Poreba proponuje nam, abymy publikowali krzyżówki, szarady i konkursy.

Wcześniej wspominaliśmy, że każde pismo ma swój profil, swój charakter i nie wszystko do niego pasuje. Tak jest z krzyżówkami, szaradami. O konkursach może warto pomyśleć. To trochę inna sprawa.

Nad naskazywaniem pisma myślimy intensywnie. Najważniejsze, abyśmy byli blisko życia, abyśmy pisali o tym, co ludzi interesuje. O to się staramy i będziemy się starali.

Za list, propozycje i słowa uznania dziękujemy i pozdrawiamy.
REDAKTOR DZURNY

MARIA STENCEL — PIELEGNIARKA I PEDAGOG



Urodziła się 11 stycznia 1900 roku w Nizniednieprowsku na Ukrainie. Dzieciństwo spędziła w domu rodzinnym w towarzysztwie siostry i brata. W 1917 roku uzyskała świadectwo dojrzałości gimnazjum w Jekaterynosławiu i została słuchaczką Wydziału Medycznego Uniwersytetu w tym mieście. Po trzech latach nauki, niespodziewana śmierć ojca uniemożliwiła dalsze studia. Wraz z matką i rodzeństwem powróciła do kraju, mieszkała w Warszawie. Ciężkie warunki materialne nie pozwoliły na kontynuowanie studiów w Polsce, tym bardziej, że trzeba było rozpocząć od pierwszego roku.

W roku 1923 ukończyła półroczny kurs prowadzony przez Polsko-Amerykański Komitet Pomocy Dzieciom w Warszawie i podjęła pracę w Uniwersyteckiej Klinice Dziecięcej pod kierownictwem prof. M. Michałowicza. Tutaj po raz pierwszy zetknęła się z pracą pielęgniarki i tej pracy postanowiła poświęcić swoje życie. W 1925 roku wyjechała do Poznania i zapisała się do Wyższej Szkoły Pielęgniarek i Higienistek mieszczącej się w skromnym budynku przy ul. Grotkera 3.

W 1927 roku uzyskała dyplom pielęgniarki i rozpoczęła pierwszą samodzielną pracę jako instruktorka Szkoły Pielęgniarstwa PCK. Oprócz zajęć lekcyjnych w klasie, prowadziła szkolenie uczennic w oddziale wewnętrznym w Szpitalu Przemienienia Pańskiego.

W 1929 roku otrzymała stypendium Ligi Czerwonych Krzyży i wyjechała na roczny Wyższy Kurs Administracji Szkół i Szpitali organizowany przez Bedford College w Londynie. Stypendium to było ogromnym wyróżnieniem i w 1929 roku otrzymała je jako jedyna Polka.

W drodze powrotnej z Londynu Maria Stencel zatrzymała się we Francji i w Belgii, gdzie zapoznała się z metodami leczenia, zarządzania i kierowania placówkami służby zdrowia. Po powrocie została skierowana do VII Okręgowego Szpitala Wojskowego w Poznaniu, gdzie objęła obowiązki przełożonej pielęgniarek.

Przez cały czas pracy w szpitalu, a więc od 1930 do 1939 roku prowadziła jednocześnie Kursy Pogotowia Sanitarnego Siostr PCK oraz nadzorowała szkolenie uczennic Szkoły Pielęgniarstwa PCK, które odbywały zajęcia praktyczne w szpitalu okręgowym. Poza pracą zawodową pełniła w latach 1935—1939 funkcję przewodniczącej Kola Absolwentek Szkoły Pielęgniarstwa PCK w Poznaniu. Była również działaczką Polskiego Stowarzyszenia Pielęgniarek Zawodowych. W latach 1935—1937 wchodziła w skład Zarządu, a na XI Walnym Zjeździe PSPZ weszła w skład Komisji Statutowo-Regulaminowej Zarządu. Okresowo pełniła również obowiązki dyrektorki Szkoły Pielęgniarstwa w Poznaniu.

Z chwilą wybuchu wojny w 1939 roku otrzymała kartę mobilizacyjną z przydziałem do pociągu sanitarnego Armii „Poznań” na stanowisko przełożonej pielęgniarek. Przez trzy tygodnie wraz z zespołem pielęgniarek opatrywała i pielęgnowała rannych żołnierzy. Pociąg drżał od detonacji ciężkich dział począcej się pod Kutnem bitwy. W Żychlinie przyszedł rozkaz opuszczenia pociągu, ponieważ został zlokalizowany przez Niemców i spodziewano się, że będzie zbombardowany.

Rannych wzięto konnym taborem wojskowym, kryjąc się ustawicznie przed bombardowaniem i ostrzałem. W czasie tej dramatycznej ewakuacji zginęło kilka osób. Po kilku dniach w Przejemnie wszyscy zostali okrażeni przez Niemców. Mężczyzn zabrano do niewoli, kobiety spędzono do jednej z zagród wiejskich, po trzech dniach zostały zwolnione.

Maria Stencel wróciła do Poznania, skąd wkrótce została wysiedlona do Warszawy. Tu w grudniu 1939 roku objęła stanowisko Kierowniczki Kursu Piastunek przy Domu Sierot im. Księża Gabriela Boduena.

Prowadzenie zakładu jest coraz trudniejsze, brakuje żywności, leków. Dzieci umierają na skutek biegunki, infekcji. W tej sytuacji Maria Stencel wielokrotnie jest starszą siostrą zakonną Jan-kowicz, z narażeniem życia, nie zważając na snajperów ułożonych na wieży filtrów, robi wypad na Plac Starynkiewicza przynosząc potrzebne produkty.

W czasie powstania warszawskiego w domu rozlokowali się „własowcy”. Grasowali w całej okolicy rabując, gwałcąc i mordując. Pani Maria dniem i nocą czuwała nad bezpieczeństwem dzieci i swoich uczennic. Musiała niejednokrotnie uciekać się do róż-

nych wybiegów. Dziewczęta chodziły celowo niestarannie ubrane, brudziły twarz i włosy. Noce spędzały zabarykadowane w piwnicy.

27 sierpnia 1944 roku ewakuowano Dom Sierot do Milanówka. Personel i dzieci umieszczono w słynnej fabryce jedwabiu. Tak było bezpiecznie. Po trzech miesiącach następna przeprowadzka do Kowańca pod Nowym Targiem.

Po wyzwoleniu Poznania wróciła do miasta, zgłosiła się do Wielkopolskiego Okręgu PCK, w którym od 1 maja 1945 roku podjęła pracę jako referentka sanitarna, jednocześnie rozpoczęła szkolenie siostr PCK. Pełniła też przez krótki czas obowiązki dyrektorki reorganizującej się Szkoły Pielęgniarstwa PCK.

1 września 1946 roku Zarząd Główny PCK w Warszawie powierzył jej zorganizowanie Szkoły Pielęgniarstwa PCK w Łodzi. Była to pierwsza szkoła pielęgniarska w historii miasta. Została otwarta 15 marca 1947 roku przy ul. Sterlinga 1/3. Po dwóch latach szkoła przeszła pod zarządek władz miejskich i otrzymała nazwę Państwowej Szkoły Pielęgniarskiej Nr 2. Maria Stencel pełniła funkcję dyrektorki tej szkoły nieprzerwanie, do 31 sierpnia 1965 r., kiedy to szkoła uległa likwidacji. Szkołę ukończyły 1033 absolwentki. W chwili jej zamknięcia część personelu i dwie klasy zostały przeniesione do Państwowej Szkoły Pielęgniarskiej Nr 1.

Od 1 września 1965 roku do 31 sierpnia 1968 roku Maria Stencel prowadziła szkołę dla asystentek pielęgniarskich, które uzupełniały swoją wiedzę zdobywając pełne kwalifikacje zawodowe. Na emeryturę przeszła 1 września 1967 roku.

Maria Stencel cieszyła się ogromnym autorytetem wśród uczennic, pracowników i władz miasta. Swoją postawą, poziomem zawodowym, ogromnym taktem przy niebywałej skromności stanowiła wzór godny naśladowania. Wychowała wiele pokoleń młodych adeptów zawodu. Przekazywała im swój zapal do pracy, umiłowanie pielęgniarskiej. Uczyla rzetelności w wykonywaniu codziennych obowiązków, dobro człowieka stawiając zawsze na pierwszym miejscu.

Równoległe z pracą zawodową aktywnie uczestniczyła w różnych dziedzinach życia społecznego.

Zmarła, w wieku 85 lat, 6 kwietnia 1985 roku w szpitalu przy ul. Sterlinga 1/3. Pochowano ją w grobie rodzinnym na Powązkach.

12 maja 1988 roku Medyczne Studium Zawodowe nr 3 w Łodzi otrzyma jej imię.

ELŻBIETA KWASIBORSKA

„CZY MOŻNA ŻYĆ BEZ USŁUG?”

W nawiązaniu do artykułu zamieszczonego w tygodniku nr 12 z dnia 1988.03.19, „Czy można żyć bez usług?” na temat „Jak i czym przewieźć meble z magazynu do domu” str. 4, Zrzeszenia Transportu Prywatnego w Łodzi, uprzejmie informuje co następuje:

Opisany w powyższym artykule problem dotyczący świadczenia usług przewozowych przez prywatnych przewoźników jest nam znany od dłuższego czasu. W zakresie tym prowadzone były rozmowy w Wydziale Komunikacji Urzędu Miasta Łodzi oraz przedstawiano je na sekcjach centralnym resortu komunikacji, jednak dotychczas nie osiągnięto pożądanego rezultatu.

W związku z tym Zrzeszenie przestaje do swojej jednostki nadrzędnej tj. Naczelnej Rady Zrzeszeń Transportu Prywatnego w Warszawie stosownie wystąpienia, ażeby na sekcjach centralnym poprzez Ministerstwo Transportu Żeglugi i Łączności, problem niniejszy uregulować.

Dotychczas brak jest odpowiedzi.

KAROL KWIATKOWSKI

(Prezes)

BOGDAN MARASIAK

(Dyrektor)

W ZŁOCZEWIE CZEKAJĄ NA ODPOWIEDZ

Komenda Hufca im. 10 Dywizji Piechoty Armii „Łódź” w Złoczewie zwraca się do Szanownej Redakcji o zamieszczenie w waszym tygodniku apelu do żołnierzy, którzy walczyli w szeregach 10 Dywizji Piechoty Armii „Łódź” — „Bohaterów” naszego Hufca ZHP. Apel nasz kierujemy do żołnierzy i ich rodzin o kontakt z nami, listowny bądź osobisty. Szczególnie dotyczy to żołnierzy z pododdziałów:

23 pułku Strzelców Kaniowskich d-ca ppłk. Kurek Wincenty
30 pułku Strzelców Kaniowskich d-ca ppłk. Szmyd Włodzisław

31 pułku Strzelców Kaniowskich d-ca ppłk. Wnuk Wincenty
4 baon strzelców (31 p. S. K.) d-ca mjr Miszke Wincenty
10 pułk artylerii lekkiej d-ca ppłk. Kossarek Józef

10 dyon artylerii ciężkiej d-ca mjr Kozłowski Tadeusz
10 baon saperów d-ca mjr Siemiński Ludwik
1 pułk kawalerii KOP d-ca ppłk. Kopeć Feliks

42 dywizyjna kompania ckm d-ca kpt. Bamber Franciszek
42 kompania czołgów rozpozn. TK d-ca kpt. Grabowski Maciej
91 kompania czołgów rozpozn. TK d-ca kpt. Krański Stanisław

92 kompania czołgów rozpozn. TK d-ca kpt. Iwanowski Władysław

10 dywizyjna komp. sanitarna d-ca mjr Molka Adam
401 szpital polowy NN

Kawaleria Dywizyjna d-ca mjr Sawicki Bogdan
Baon Obrony Narodowej „Wieluń I” d-ca kpt. Faczyński Stanisław

Baon ON „Wieluń II” d-ca kpt. Rajpold Edward
Baon ON „Kepno” d-ca kpt. Juengst-Koralewski Roman
Baon ON „Ostrzeszów” d-ca kpt. Wajdowicz Józef

42 dywizyjna komp. kolarzy NN
10 kompania telefoniczna NN
Pluton żandarmerii, tabory, służby.

ANDRZEJ JAN GŁIŃSKI

REDAKCJA — CZYTELNICY

P. STARON, Łódź. Cieszy nas, że pana zainteresowała książka Tadeusza Błażewskiego „Literatura, jak literatura”, że przeczytał pan ją z uznaniem. Trudno nam się wszakże zgodzić z zarzutem, że autor nie napisał o wszystkich ulubionych przez pana pisarzach. Każdy autor ma prawo do wyboru takich czy innych tematów. Być może powstała też książka krytyczna na temat poezji i dramatu, jak pan sobie wymarzył. Czy napisze to Tadeusz Błażewski, czy inni autorzy, trudno powiedzieć.

J. Cz. Łódzianka w trzecim pokoleniu. (Imię, nazwisko i adres w posiadaniu redakcji). Wyraży szczerunku dla Jerzego Wilmańskiego, przekażemy. Roman Gorzelski nie urodził się w Łodzi. Pochodzi z Wołynia. Ale to nie ma znaczenia dla tego, co sądzi o przeszłości Łodzi. To prawda, że domki trączy nie należały akurat do nich, ale w Łodzi nie tylko takie domki stawiano. Prawdy o przeszłości miasta nie można ograniczać jedynie do własnych doświadczeń, gdyż była ona znacznie bardziej złożona i skomplikowana. Pozdrawiamy i dziękujemy za list!

REDAKTOR DZURNY

• polemiki • listy • opinie • polemiki • listy • opinie •

ZAPOMNIANE PRZEDSTAWIENIA

Od kilku lat organizowany jest w Łodzi Ogólnopolski Przegląd Spektakli Dyplomatycznych Szkół Teatralnych, który stwarza okazję do konfrontacji osiągnięć i umiejętności studentów aktorskich uczelni z Warszawy, Łodzi, Krakowa i Wrocławskiej filii szkoły krakowskiej.

Przegląd jest pewnego rodzaju giełdą, okazją do wyszukiwania talentów i interesujących młodych osobowości scenicznych. Coraz częściej przedstawienia dyplomatyczne stają się profesjonalnymi występami, w które młodzi aktorzy angażują wszystkie swoje siły fizyczne i intelektualne, niejednokrotnie wiążąc z tymi występami wielkie nadzieje.

Oceny jurorów bywały kontrowersyjne i nie zawsze łódzka widownia była tego samego zdania co szacowne gremium. Często jednak zdarza się, że nagroda otrzymana w Łodzi nie procentuje w dalszej pracy zawodowej. Można domniemywać, że wyróżnienia te nie odgrywają większej roli, jeśli nie liczyć elementów osobistej satysfakcji aktora, opiekuna, reżysera i publiczności, tudzież pewnego ekwiwalentu materialnego. O niewiele spośród nagrodzonych mamy okazję później usłyszeć. Dali o sobie ślad Jan Jankowski, Janusz Józefowicz, Zbigniew Zamachowski (znany już wcześniej z „Wielkiej majówki”) i Katarzyna Iwona Pawlak. Oszałamiająca, jak na nasze warunki, karierę robi zupełnie pominięta na przeglądzie Katarzyna Figura, wybił się także Marta Klubowicz i Wojciech Malajkat. Oto nazwiska młodych aktorów wielokrotnie pojawiających się w prasie, telewizji oraz kinie, nazwiska osób, których występy nie stały się jednoznaczowymi „wypadkami przy pracy”.

Już wielokrotnie mieliśmy okazję oglądać w czasie łódzkiej imprezy interesujące i niezwykle udane przedstawienia, które nieestetycznie kończyły swój żywot sceniczny na przeglądzie. Dzieje się tak, ponieważ szefowie teatrów nie są, z różnych przyczyn, zainteresowani angażowaniem całego zespołu z gotowym przedstawieniem. W ten sposób marnowane są ciekawe osiągnięcia, rozpada się grupa ludzi świetnie rozumiejących się i zgranych ze sobą. Zapal, energia, pasja i całkowite zaangażowanie w pracę zostają rozmielenione na drobne, aktorzy rozjeżdżają się po całej Polsce, a interesujące przedstawienia odchodzą w przeszłość.

Wyjątkiem od reguły było właściwie tylko „Złe zachowanie” — dyplom warszawskich studentów z 1985 roku, które znalazło się w repertuarze teatru „Ateneum”, a nawet objęło kawałek świata wszędzie wzbudzając zasłużony podziw. Przykład grupy młodych ludzi pracujących pod kierunkiem Andrzeja Strzeleckiego potwierdza też o wartości grupowego wysiłku. Jesztoroczny absolwentom łódzkiej PWSFTiT udało się jednorazowo pokazać na żywo w Teatrze Telewizji swoje i Adama Hanuszkiewicza „Wesele”, ale na tym nieestetycznie zakończyła się ich wspólna praca. Wyróżnione za granicą przedstawienie łódzkie (1985) pt. „Maria i Woyzeck” również w reżyserii Adama Hanuszkiewicza, przepadło zarówno na przeglądzie — jak i po nim.

Nie kwestionując słusznego łódzkiego spotkania młodych aktorów, jak to uczyniono w telewizyjnym magazynie „102”. Jest to impreza ze wszelkich miar pożyteczna zarówno dla oglądających jak i dla aktorów. Myślę, że należy tylko rozważyć kwestię pokazywania najciekawszych spektakli także po zakończeniu przeglądu. Na przykład przez rok umożliwić całemu zespołowi wspólną pracę, jeśli nie w teatrze to może na którejś ze scen nieprofesjonalnych, gdzie będą mogli prezentować swój debiutancki dorobek. Na ogół przedstawienia te nie wymagają wielkich scen i wspaniałych dekoracji, z powodzeniem wystarcząby skromne warunki. A gdyby zorganizować na przykład pod patronatem Teatru Rzeczypospolitej propagującego ciekawe dokonania teatrów z całej Polski, sceny, na której najlepsze przedstawienia dyplomatyczne wiodłyby dalszy żywot?

MONIKA MATUSZAK

W OKOLICY CENTRUM PRASOWO-TELEWIZYJNEGO

Rozpacz i zgroza ogarnia, kiedy się ogląda najbliższe otoczenie wieżowca przy ul. Henryka Sienkiewicza 3/5 — siedziby telewizji i łódzkiej prasy. Nawierzchnia chodnika okalającego wspomniany budynek, jezdni oraz placu została ułożona niechlujnie, z rozmaitych płyt („ni przypiął ni przylatał”). Szczególnie odrażające prezentuje się wąska jezdnia oraz wyszczerbione krawężniki od strony północnej gmachu.

Okolica ta jest bądź co bądź „pepkiem” Łodzi odwiedzanym przez przybyszów z innych miast (telewizja, prasa) — i chyba zasługuje na jakąś ujednoliconą, solidną i estetyczną nawierzchnię — a nie taką ohydą zniszczoną prowizorkę, jak na jakieś budowle?

MIROSLAW J. PONIECKI

RÓŻNE WIDZENIA PRZESZŁOŚCI

Skoro w 1918 roku Polska mogła „wybić się niepodległość” tylko jako państwo burżuazyjne, zaś tęsknota do stano- wienia o sobie była silniejsza od pytania, jakie to państwo ma być, to trzeba przyznać, iż bezbłędnie ocenili te nastroje Józef Piłsudski i kiedy stanął wobec konieczności „jaka albo żadna” wysiadł na przystanku „Niepodległość”. Polska była dlań wartością absolutnie nadzadaną. Myślę, że jest to postawa godna szacunku, nawet dziś a może, zwłaszcza dziś.

Po objęciu przez Józefa Becka Ministerstwa Spraw Zagranicznych obarczył go Józef Piłsudski zadaniem, zdawać się mogło ponad siły, zapisanym lapidarnie: musisz doprowadzić do zbliżenia z Anglią. Ba, ale podobny cel, doprowadzenia do zbliżenia z Anglią, związania angielskiej racji stanu z niemiecką, wyznaczył sobie Adolf Hitler, czemu dał wyraz nie tylko na kartach „Mein Kampf”. Tak więc we wczesnych latach trzydziestych do zbliżenia z Anglią wystartowało dwóch rywali. Chętnych, ale mniej liczących się było oczywiście więcej.

Adolfowi Hitlerowi szło o pozyskanie sojusznika w niemieckiej ekspansji na Wschód i o nowy podział świata na strefy wpływów Józefowi Piłsudskiemu o zachowanie bytu odrębnego państwa. Starania obu rywali o doprowadzenie do tego związku obfitują w posunięcia z pozoru tylko niewytłumaczalne, Adolf Hitler np. jak utrzymuje Rudolf Hess, pozwolił Anglikom ewakuować się z Dunkierki tylko dlatego, by nie upokorzyć ich zbyt wielkim odniesieniem zwycięstwem, wciąż bowiem liczył na porozumienie.

Józef Beck odmawiał rozmów na temat współpracy wojskowej ze Związkiem Radzieckim i prawie wszyscy mają mu to za złe, a przecież, jakkolwiek sojusz ze Związkiem Radzieckim byłby odczytany w Berlinie, jako akt zagrażający bezpieczeństwu Niemiec. Sprzyjałby skupieniu ich uwagi i zbrojeniowego wysiłku na wschodniej granicy, jednocześnie różnie sily w antykomunistycznej historii. Tu wypada przypomnieć, że chętnych do skierowania niemieckiej agresji na Wschód nigdy na Zachodzie nie brakowało, a i dziś nie brakuje.

Tak więc Polska przez odwołanie Józefa Becka stworzyła z pozoru tylko sytuację paradoksalną. Jak długo bowiem byłaby zaporą utrudniającą Niemcom ekspansję na Wschód i jak długo pozostawialiśmy w przymierzu z zachodnimi demokracjami,

tak długo Niemcy byli groźni przede wszystkim dla Zachodu. Sojusz Polski z ZSRR zagrożenie to przenosił niejako automatycznie na Wschód. Lecz co gorzej, mógłby przyczynić się do zbliżenia Zachodu przeciwko Wschodowi, a temu rząd polski przeciwdziałał się wszelkimi dostępnymi mu sposobami, w tym również odmową uczestniczenia w jakimkolwiek związku antykominternowskim!!!

Z dwóch rywali starających się o względy rządu Józefa Becka, Józef Beck, przyniesienie wierności zdobył uboższy, i to uboższy o całą górę złota. Ta batalia Adolfa Hitlera przegrał i to przegrał rozporządzając nieskończenie wielkimi możliwościami materialnymi i ideologicznymi (programowy antykomunizm). Nie pomogło nawet to, że potężne stronnictwo proniemieckie miało swoich znaczących przedstawicieli w rządzie JKM, którzy, podobnie jak Niemcy, uważali Polskę za państwo sezonowe, którego czas właśnie się kończy.

Ludzie osmiebiający nasz sojusz z Anglią i Francją z niebotycznym megalomanstwem dowodzą, że gdybyśmy dopracowali się innych sojuszków to do wojny by nie doszło. Udać, albo już zapomnieli, że do wojny parła druga potęga ekonomiczna świata, pierwsza siła militarna Europy, i że o tym czy będzie wojna, czy nie, nie myśleli decydowali. Od nas zależało jedynie, czy przeciwstawimy się Niemcom razem z Anglią i Francją, czy w sojuszu z Rosją.

Wydarzenia drugiej wojny światowej potwierdziły trafność polskiego wyboru. Gole Mann w „Historii Niemiec od 1789 r.” pisze, że o ile generalnie niemiecka obywatelska się otwartego konfliktu z Zachodem, o tyle z nieukrywaną ochotą wybierała się na wojnę z Polską. I nie pomylił się, wygrali z nami na polu bitwy, ale równocześnie przegrali z nami na arenie politycznej i ta przegrana, powtarzam, i ta przegrana była początkiem ich końca.

Rozkładanie kampanii 1939 r. na czynnik pierwszy, np., że pod Kockiem biliśmy się dobrze, a gdzie indziej nie, jest również bardzo, ale to bardzo mylące, dopuszcza bowiem myśl, że gdybyśmy wszędzie bili się tak dobrze, jak tam, to he ho!!! A tymczasem prawda jest taka, że we wrześniu 1939 r. musielibyśmy przegrać. Żadnego bowiem esougu, czy straconego samolotu nie byłoby w stanie zastąpić nowym; gorzej, bo na trzy wystrzelone na froncie polski i naboje przemysł, niczym nie zakończony, mógł wyprodukować zaledwie jeden. Wrzesień 1939 roku sam w sobie nie jest i być nie może samkrotnym rozdziałem, bo od niego wszystko się zaczęło, nie zastąpił również na miarę klęski, bo przegrana we wrześniu powinno się rozliczyć dopiero po Berlinie.

Można oczywiście oskarżyć rządy II Rzeczypospolitej o to, że w dwadzieścia lat nie zbudowano w Polsce przemysłu zdołnego przeciwstawić się nawałnicy niemieckiej, ale co warto są takie i tym podobne oskarżenia, wolę przemilczeć.

Ale najbardziej, oświadczenie, przeżywałem oskarżenia wysuwane pod adresem polskiej polityki zagranicznej. Oświadczenie jej jakoby proniemieckich tendencji, tymczasem z piem, wywiadów jakie nam pozostały po Józefie Piłsudskim wynika jasno, iż jedynie polski interes dyktował mu postępowanie i nim się wyłączenie kierował. I tak stosunek Józefa Becka do Niemców zwykło się określać jednym słowem: germanofil. Po doświadczeniach ostatniej wojny było to pośądzenie szczególnie odrażające. Nawet Olgierd Terlecki w książce „Pukownik Beck” pisząc o spotkaniu Józefa Becka z Wysokim Komisarzem Ligi Narodów w Gdańsku C. Burckhardtem 23 lipca 1938 r. w Juracie, opuszcza z częścią raportu C. Burckhardta, która o Józefie Becku mówi coś zgoła innego, w której polski dyplomata z niespotykaną u niego otwartością wyznał co następuje:

„Beck w tajemniczy sposób trochę w czasie naszej nocejnej przepadł do swoje plany. W dalszym ciągu prowadzi swą podwójną grę. To nie jest gra niemiecka, jak sądzą niektórzy Francuzi i polska opozycja, to gra, w której leży się na wysoką wygraną Polski, wygraną, która ma być rezultatem końcowej nieuchronnej katastrofy Niemiec. W tym celu popycha się Niemców do podejmowania fałszywych kroków, a w Gdańsku chętnie posuwa się tryumfować ekstremistom, podkreślając jednocześnie bez przerwy, że się dotrzymuje formalnej strony obowiązujących umów. Pewnego dnia wystawił się rachunek i zażąda zapłaty wraz z odsetkami od odsetek. Już dzisiaj dzieje tej kolaboracji z narodowymi socjalistami udało się Polakom doprowadzić do tego, że cały Zachód (Francja, Anglia, Ameryka) jak jeden mąż jest przeciwny jakiegokolwiek rewizji traktatów.”

W 1932 r. było zupełnie inaczej. Wówczas większość opinii na wielkich demokratycznych zachodnich była po stronie niemieckich mnteszości. Powołane wzburzenie wywoływały niewłaściwie wytyczone granice, izolowane prowincje.

Wobec wyroku hitlerowców wszystko to należy już do przeszłości i teraz liczy się w Warszawie po etichu nie tylko ma bezwarunkowe włączenie Gdańska do polskiego obszaru państwowego, ale na znaczenie więcej, na całe Prusy Wschodnie, na Śląsk, a nawet na Pomorze szczecińskie. Jeszcze w 1933 r. mówiono w Warszawie o Pomorzu gdańskim, ale teraz mówi się po prostu „nasze Pomorze”.

Beck prowadził esyto polską politykę, w ostatnim wyroku politykę antyniemiecką, politykę posornego tylko od- przedstawienia polsko-niemieckiego od esau, gdy Hitler obsadził Naderen, a Francja zachowała bierność w obliczu tego wydarzenia. I stara się konsekwentnie utwierdzać Niemców w gopelnianych bledach.”

Jak z tego wyznania widać, był to niezwykle germanofil, który już w 1938 roku, liczył na powrót do Polski Szczecina, Prus Wschodnich, Nadodrza i Śląska.

Również kluchając fundamentalnych twierdzeń krytyków Józefa Piłsudskiego i Józefa Becka o ich biologicznej wrogości do Związku Radzieckiego, należałoby gwoili prawdzie szybko dodać, iż bez wahania puszczali w niepamięć swoje osobiste uprzedzenia i na bardzo kuszące propozycje, ewentualnych korzyści płynących z przystąpienia do bloku antykominternowskiego, odpowiadali natychmiast i kategorycznie, nie! Osobiste odczucia nie miały więc wpływu na ich politykę, interes państwa stawiali ponad osobiste urazy i warto o tym pamiętać, zwłaszcza dzisiaj.

Nie mogę całkowicie zgodzić się z tym, co w „Kulturze” napisał Stanisław Sierpowski i dlatego chciałbym do tego dodać kilka uwag. Trudno wszakże nie zgodzić się ze Stanisławem Sierpowskim, kiedy pisze, że „Mniemanie (o wojnie przewrotnym — przyp. K.O.) szczególnie ochoczo rozpowszechniało środowisko Reichswehry. Ono to właśnie powinno być uznane za twórcę legendy o przewrotności planów Piłsudskiego. Słab niemiecki karmił się oczekiwaniami kroków wojennych ze strony Polski co najmniej od 1927 r.”. Ale z drugiej strony należałoby przypomnieć, że pakt o nieagresji z Niemcami był zaskakującym Zachód sukcesem polskiej polityki zagranicznej. Dzięki któremu cena Polski jako partnera z dnia na dzień ogromnie wzrosła, nawet, a może szczególnie w oczach Francuzów.

Pakt wywołał w salach dyplomatycznych Europy spore zamieszanie, a największe w Pradze. Nie jest bowiem dla nikogo tajemnicą, iż rząd Czechosłowacji popierał roszczenia niemieckie do rewizji naszych granic zachodnich. Niechęć Józefa Piłsudskiego do Edwarda Beneša była ze wszelkich miar uzasadniona. Pakt spowodował, że Niemcy zmienili kierunek natarcia, ze wschodniego, na południowy. Potrzebne im było ścierwo propagandowe i łatwe sukcesy, a wszystko to było teraz łatwiejsze do osiągnięcia, właśnie na południu. Co więcej, teraz Niemcy stawali się groźni dla Zachodu, a uświadomienie tej groźby nieustannie starała się polska dyplomacja.

Ba, ale żeby doprowadzić do tego przewrotu w niemieckiej polityce zagranicznej należało wprawdzie dobrze nastraszyć Niemców, i w tym celu posłużono się wynalezionym przez nich straszkami. Kanałami dyplomatycznymi przez Pragę dano służbom czechosłowackim do zrozumienia, że Polska przygotowuje się do zbrojnej interwencji w Niemczech w tajemnicy przed Francją i Anglią. Wiadomość tę służby czechosłowackie przekazały natychmiast do Berlina, a co stało się dalej, to już wiemy.

W podobny sposób wymusił Józef Beck sojusz wojskowy polsko-angielski. Tym razem znanymi sobie kanałami dał Francuzom do zrozumienia, że (Phipps do Halifaxa, 18 III. 1939 r.) „Tęgo samego dnia Léger, (Alexis Léger, sekr. generalny franc. MSZ) oświadczył Phippsowi (ambasadorowi Wielkiej Brytanii w Paryżu) że wie z „zaufanego” źródła, że Beck zamierza się zwrócić do Londynu z wnioskiem o sojusz brytyjsko-polski, wiedząc, że jest to niemożliwe. Miały on wtedy wykorzystać odmowę Wielkiej Brytanii do usprawiedliwienia zbliżenia z Niemcami, nawet za cenę zostania ich wasalem”.

Technika postępowania jest, jak widzimy, identyczna, przed przystąpieniem do rozmów odpowiednio przygotowywał teren, wiedząc czego partnerzy obawiają się najbardziej, dawał im do zrozumienia, że od nich tylko zależy jak dalej potoczą się sprawy. Bez paktu o nieagresji z Niemcami nigdy, przepraszam za to śmiało stwierdzenie, nie doszłoby do wojskowego sojuszu Polski z Anglią, po prostu nie byłoby czym wystraszyć Anglików.

Nagabywany w Bukareszcie przez attaché poselstwa chińskiego Yu, co sądzi o negocjowanym w Londynie układzie z Sowietami, „Niespodzianką dla Chińczyka było, iż Beck z wielkim optymizmem mówił o potrzebie i ewentualnych rezultatach takiego układu, wysuwając tezę, iż załatwienie spraw spornych będzie można łatwiej Rosji narzucić, gdy walka z Niemcami będzie ostateczna, a Niemcy już w trakcie załamania (taka właśnie sytuacja w sposób przykładowy została przez gen. Władysława Sikorskiego zmartnowana podczas rozmów z Józefem Stalinem na Kremlu w 1941 r. — przyp. K.O.). Oczywiście przewidywał, że Niemcy będą odnosić szereg zwycięstw w Rosji, ale nie będą miały tam ostatecznego sukcesu”. Niniejszy cytat pochodzi z archiwum Instytutu gen. Władysława Sikorskiego w Londynie. Nie ma w nim cienia antyradzieckości, jest natomiast trzeźwa ocena nowej sytuacji politycznej i śmiało, chłodne spojrzenie w przyszłość.

Proszę mi wybaczyć, ale tak długo nie uwierzę w pojednanie narodowe, jak długo do dyskusji o naszej przeszłości nie dopuścił się głosów sprzecznych z oficjalnie głoszonymi tezami. Dla mnie do historii Polski Ludowej należą bowiem nie tylko te tezy, których rozwijaniem i dowodzeniem zajęła się nauka z urzędu, ale i te, które się z tymi tezami kłóca, które zrodziły się z naszych doświadczeń, które nosimy w sobie, które odczytaliśmy w spadku po odchodzących w przeszłość pokoleniach. To dopiero stanowi dla mnie cośś, z której być może w przyszłości wyłoni się prawda, czym był 1939 rok i jaka była ta nasza krótka niepodległość. Jak wielki wywarła ona wpływ na losy Europy i świata.

To dzięki nam i wymuszonemu na Anglikach sojuszowi wojskowemu, Wielka Brytania przystąpiła do wojny z Niemcami. To my naszą przegrana we „Wrzesniu” zaczęliśmy tę wojnę o wszystko i jeśli jego żołnierze odczuli go jako klęskę, to w ocenie historii i społeczeństwa inna przystoi mu miara i o tę inną dlań miarę daremnie od lat zabiegam.

KAROL OBIDNIAK

Karol Obidniak od dłuższego czasu stara się o opublikowanie swoich poglądów na najbliższą nam przeszłość. Myślę, że ma do tego pełne prawo, choć nie do końca zgadzam się z tym, co pisze. Różne przecieży mogą być punkty widzenia na przeszłość, byle były zgodne z faktami i z tych faktów wynikały.

Dla ilustracji tego chciałbym przytoczyć opinię Stanisława Cate Mackiewicza z jego niezwykle interesującej książki „Zielone oczy”. Ponownie zreszta niedawno wydanej. Otóż Stanisław Cate Mackiewicz uparcie powtarza, że „Anglia nie prowadzi wojny inaczej jak w koalicji”. W 1938 roku nie bardzo było z kim zawiązać tę koalicję, na czele której mogłaby stanąć Anglia. Trzeba więc było znaleźć takie wyjście, aby odwrócić uwagę Niemców od Anglii. Takim podciągnięciem politycznym — twierdzi Stanisław Cate Mackiewicz — były gwarancje udzielone Polsce w marcu 1939 roku. Na dowód tego Stanisław Cate Mackiewicz przytacza dwa fakty.

Pierwszy — rozkaz gen. Kazimierza Sosnkowskiego z 1 września 1944 roku. Jest w nim taki passus:

„Pięć lat minęło od dnia, gdy Polska, wysłuchawszy zachęty rządu brytyjskiego i otrzymawszy jego gwarancje, stanęła do samotnej walki z potęgą niemiecką”.

Skutek powiedzenia prawdy był taki, że 30 września 1944 roku gen. Kazimierz Sosnkowski przestał być Wodzem Naczelnym.

Drugi — Winston Churchill — a więc osoba jak najbardziej kompetentna — w rozdziale swoich pamiętników zatytułowanych „Wizyta Molotowa”, a odnoszących się do maja 1942 roku dokonuje następującego zestawienia. Przeciwi Anglii Niemcy w tym czasie wystawiły 44 dywizji: 25 we Francji, 8 w Norwegii, 11 w Libii, ale z tego tylko 3 niemieckie. Natomiast przeciw Rosji w tym czasie wystawiono 266 dywizji, w tym 193 niemieckie, które stanowiły 80 procent wszystkich sił zbrojnych Niemiec.

„...przecież to zestawienie — pisze Stanisław Cate Mackiewicz — powinno być dla nas blyskawicą rozwietlającą ciemności! Wiele właściwie, z kim wojuje Anglia w czasie, kiedy 266 dywizji stara się za gardło chwycić Rosję?”

Ze Stanisławem Catem Mackiewiczem można się zgadzać, można się nie zgadzać. Ale trudno odmówić mu znajomości faktów. Wiadomo, że komunistów on nie kochał, ale i Anglików również. Trzeźwo widział ich machinacje, czego my do dziś nie potrafimy właściwie ocenić. Otóż parafrazujać Karola Obidniaka mógłbym napisać, że „tak długo nie uwierzę w pojednanie narodowe”, jak długo nie dopuści się do dyskusji realnych ocen przeszłości. To znaczy takich, które nie w obcych wpływach będą doszukiwać się przyczyn naszych klęsk, ale w nas samych potrafia je dostrzec. W 1939 roku liczyliśmy na pomoc Francji i Anglii — bezskutecznie, dając tym dowód naszej politycznej naiwności. Dziś znowu zamiast rozczuć się uważnie wokół siebie i tu znaleźć przyczyny naszych klęsk, winnych szukamy gdzie indziej i w naszej politycznej naiwności wierzymy, że „dobrzy wujkowie” z Zachodniej Europy albo i zza Oceanu przyjdą nam z pomocą i zrobią u nas porządek. Dlatego warto publikować i takie poglądy jak prezentuje Karol Obidniak, aby nie powtarzać starych błędów. Może wreszcie — spierając się ostro o racje — nauczymy się realizmu w polityce.

LUCJUSZ WŁODKOWSKI



Masz temat dla reportera?
Coś ci drażni, niepokoi
szlag cię trafia — podnieś
sluchawkę i wykręć numer 36 77 70

Na twój telefon czekają redaktorzy:

12 maja — EUGENIUSZ IWANICKI —
godz. 10—16.

19 maja — DARIUSZ DOROŻYŃSKI —
godz. 10—16.

* Nie lubimy anonimów i tych pisanych, i tych telefonicznych, a już do szewskiej pasji doprowadzają one kolegi Andrzeja Makowieckiego. Toteż miło mi donieść, że wszyscy Czytelnicy, którzy dzwonił podczas mojego dyżuru przedstawiali się z imienia i nazwiska, niektórzy tylko prosili o zachowanie personaliów do wiadomości dyżurującego. Tak jest milej i sympatyczniej. Czytelnicy wszak wiedzą, kto z redakcji z nimi rozmawia.

Kilkukrotnie telefonował już do mnie pan Helman z Pabianic, donosząc o różnych nonsensach. Tym razem rzecz dotyczy cła na paczki wysyłane za granicę. Międzynarodowy ruch turystyczny zwiększa się i dobrze, że zezwolono zarówno na większy wywóz, jak i przywóz różnych towarów. Ale cło na paczki sięga aż do 300 proc. wartości. Córka pana Helmana otrzymuje drobne prezenty od koleżanki z NRD, która poznała na koloniach. Za rewanz córki, a są to przecież drobiazgi: słodycze, maskotka itp., tata musi płacić duże sumy. Pan Helman widzi tu brak logiki. Ja też.

Taki sam brak logiki widzi mieszkanka domu przy ul. Hibnera 5 w postępowaniu pracowników Zakładu Energetycznego Łódź-Miasto. Wiadomo, że jeśli odbiorca prądu z jakichś tam powodów nie opłacił w terminie rachunku, szybkoćko odetnie mu prąd. Tymczasem mieszkańcy domu niejednokrotnie meldowali, że również w ROM przy ul. Długosza 22, jak i w Zakładzie Energetycznym, też użytkownik jednego z mieszkań nie ma licznika i zwracają podkradając prąd metodą „na drut”. Inni lokatorzy płacą słone rachunki i podejrzewają, że płacą również za tego, który nie płaci w ogóle. Mam nadzieję, że „filantropi” z administracji, a szczególnie z Zakładu Energetycznego Łódź-Miasto wręcz się ościną.

Zdenerwowany mieszkaniec domu przy ul. Łęczyckiej 1 opowiedział z kolei o gangsterskich obyczajach pracowników Mazowieckich Zakładów Gazownictwa. Mieszkańców bloku powiadomiono, że w dniach 2 i 3 maja prowadzone będą roboty ziemne i gaz zostanie wyłączone. Jest już 5 maja i wygląda, że roboty ukończono, ale gazu w dalszym ciągu nie ma, i nikt — łącznie z administracją przy ul. Łubelskiej — nie umie powiedzieć, kiedy będzie. Sprawa dotyczy już nie tylko lokatorów 2 klatki bloku przy Łęczyckiej, ale szerszego zjawiska. Lekceważenia ludzi przez różne instytucje powołane po to, aby im służyć i ułatwiać życie.

Ze smutkiem wysłuchałam opowieści pana Jana Agaciaka, ciężko chorego starszego człowieka, który wraz z żoną również ciężko chorą musi znosić uciążliwe sąsiedztwo, delikatnie mówiąc, niefrasobliwego lokatora zajmującego lokal nad mieszkaniem państwa Agaciaków przy ul. Traugutta 10. Jednym z ostatnich wyczynów owego lokatora było zalanie mieszkania państwa Agaciaków, zdesperowanych do tego stopnia, że mimo wieku i ciężkich chorób gotowi byłiby się dla własnego spokoju wyprowadzić. Do tej pory nie poskromił uciążliwego sąsiada ani samorząd mieszkańców, ani — najbardziej chyba ku temu powołany ROM nr 4 przy ul. Piotrkowskiej 47. Czy rzeczywiście nikt nie umie, a może nie chce pomóc uczciwym, nieszczęśliwym ludziom, którzy na starość — przynajmniej teoretycznie — mają prawo do spokojnego życia?

Nie tyle smutna, co zrezygnowana była pani Halina Dominiak, która tuż przed telefonem do redakcji robiła zakupy w Samie przy ul. Broniewskiego (opodal ul. Kilińskiego). Przyjrzała się bowiem dokładnie kielbasie z drobiu, która z ceny 2890 zł za kg przeceniono na zł 1000. Przeceniono, bo kielbasa zzieleniała. Razem z panią Dominiak pytamy:

1) Czy w ciężkim kryzysie stać nas jest na takie horrendalne marnotrawstwo?

2) Czy producenci owej drobiowej kielbasy, która długo przecieć nie poleży i również z tego powodu nie deszy się wzięciem u klientów oszałał ustalając tak wysoką cenę?

3) Dlaczego handlowcy, z wymienionego Samu chcą truć klientów?

Może i te pytania brzmią naiwnie, ale jednak rada bym otrzymała na nie odpowiedzi.

Red. Ryszard Binkowski pisał już w ubiegłym tygodniu o szkoleniu bhp, jakie: za cenę 6 tysięcy zł zaufundowała rzemieślnikom cechu odzieżowego Izba Rzemieślnicza. Ponieważ Binkowski zastanawiał się już, jakie to surowe przepisy muszą obowiązywać kobbite, która szyje w domu bluzki, albo — sorry — majtki, ja się nad tym zastanawiać nie będę. Natomiast przekazuje dalszy ciąg historii owego szkolenia, o którym opowiedział mi p. Roman Juszczyk. Na pierwszym kursie 2 maja, głos zabrał inspektor pracy i powiedział mniej więcej tak:

— „Jeśli nie chcecie, możecie sobie z kursu wyjść, drzwi otwarte. Ale uprzedzam, jeśli przyjdzie na kontrolę i okaże się, że kursu ktoś nie skończył i nie ma zaświadczenia, to zapłaci minimum 50.000 zł”.

Dobre? Takie sobie. Pan Juszczyk powiada, że taka lawina kursów, jaka się toczy obecnie — za pieniądze kursantów! — to już nawet nie przesada, to po prostu dzierżstwo! I rzuca myśl — zrobić kurs dla pieszych. Płatny z góry!

Władzom komunalnym Łodzi przekazuje pytanie Teofila Józwiaka, artysty plastyka, któremu ze względu na stan zdrowia zalecono spacer.

— „Spaceruję i to dużo, ale chciałbym też podczas tego spaceru na chwilę przysiąść — powiada pan Józwiak. — Ale na czym? Czy w Łodzi nie można ustawić ławek na skwerekach i placikach, na przystankach tramwajowych, a nawet na mniej zatłoczonych ulicach?”

Ma rację Czytelnik, który mówi, że zmęczeni ludzie, szczególnie starsi, szczególnie obciążeni torbami kobiety, przysiadają, gdzie się da. Na murkach, ogrodzeniach i nawet na koszach do śmieci. Pewnie, że w mieście są do załatwienia sprawy wielkiej wagi. Ale warto też czasem pomyśleć i o takich drobnych sprawach, takich — bliżej człowieka.

Mieczysława Skwarnickiego zdenerwował niepomniernie piosenkarz z gitarą, który na festynie 1-Majowym w parku na Zdrowiu bawił publiczność piosenką o burżujach. W tekście piosenki występowały: gołe pośladki, skrócona nazwa domu publicznego, złamany — tu pauza dla domyślnych słuchaczy.

Jeśli młodzież lubi takie piosenki, to niech sobie śpiewa we własnym gronie, a nie na festynie gdzie są i dzieci, i starsi. W każdym razie p. Skwarnickiemu wstyd było przed własną nieletnią wnuczką.

Wierny Czytelnik zadzwonił tuż po wyjściu z kina „Bałtyk”, gdzie na „Konfrontacjach” obejrzał film pt. „Patrol”. Film tyrowo męski, z równie męskim, mocnym dialogiem.

— „Nie zgadzam się — powiada Wierny Czytelnik — kto czytał takie dialogowe. Otóż czytała ja pani Ewa B., skądinąd urodzona prezenterka łódzkiej telewizji. I to z ust subtelnej pani Ewy leciały soczyste przekleństwa. Nie muszę dodawać — bez właściwego akcentu. Były komentarze na widowni i śmiechy chichy. Czy nie można było tego uniknąć? Takie teksty powinien czytać jednak mężczyzna”. Zgadzałem się z Wiernym Czytelnikiem.

Na koniec chciałabym podziękować pani Bożenie Dopierale, kierowniczce działu reklamacji i dochodzeń z poczty przy ul. J. Tuwima, która w sposób wyjątkowo szybki, życzliwy i rzeczowy zajęła się sprawą państwa Nowaków. Tu sobie westchnę pobożnie: nie mogłoby tak na co dzień i wszyscy no, prawie wszyscy?

I jeszcze wyjaśnienie, które jestem winna rodzicom dzieci niepełnosprawnych i upośledzonych. Rzecz tyczy ulg podczas przejazdów środkami komunikacji masowej. Otóż zgodnie z „Uchwałą nr 42 Rady Miast i Gmin w sprawie ulg za przejazdy dla dzieci i młodzieży nie objętej obowiązkiem szkolnym, wykulturowania lub niepełnosprawności” dla dzieci w wieku 6—18 lat, przysługuje 50 proc. zniżka na PKP i PKS — nie dotyczy to jednak opiekunów — oraz 50 proc. ulga w środkach komunikacji miejskiej.

Łódzkie władze poszły jednak dalej i zarówno dzieciom, jak i ich opiekunom, zagwarantowały bezpłatny przejazd środkami komunikacji miejskiej.

Tyle wyjaśnienia, natomiast zgadzam się z Czytelnikiem z Pabianic, który uważa, że należałoby wrzeszcze uporządkować przenisły trzecz młodziem, która z powodu upośledzenia zmuszona jest uczyć się w szkołach dla pracujących i z tego powodu nie ma prawa do biletów ulgowych.

BOGDA MADEJ

Czy pracownik służby zdrowia może odmówić pomocy?

Sila strachu

Na początku były plotki

W Szpitalu im. Norberta Bartłomieja Murzyn umarł na AIDS, ale sprawę szybko zatuzowano, żeby się nikt nie dowiedział. Z tą sensacyjną wiadomością przybiegła do pracy jedna z лаборанток, zatrudnionych w Zespole Opieki Zdrowotnej Szkół Wyższych w Łodzi. Ale nie była to jedyna legenda, jaka krążyła jesienią 1987 roku wśród studentów i pracowników Studium Języka Polskiego dla obcokrajowców. Pewien „wczesniowy” poranek miał się rozpocząć wyjątkowo radośnie dla naczelnicy pielęgniarki łódzkiej „Palmi”, ponieważ zadzwoniła do niej sekretarka z Wydziału Prawa UL informując, że właśnie odnalazła na zajęciach i odzwołała od restry studenta, obcokrajowca chorego na AIDS. Pielęgniarka była bardziej zdumiona niż przerażona — jak to chore, skąd o tym wiadomo, przecież jeszcze nie było badań. Okazało się, że ktoś źle interpretował telefon, którym zawiadamiano ewentualnych o potrzebie przywołania się w poradni studentek dla ewentualnego wykrycia wirusa AIDS.

Bunt лаборанток

Okoliczności zakończenia właśnie pierwszego procesu sądowego, u podłoża którego leżała obawa przed zakażeniem nieuleczalną jak dotychczas chorobą AIDS, sięgającą września 1987 roku. Wtedy to Zespół Opieki Zdrowotnej dla Szkół Wyższych w Łodzi miał, jak co roku, uczestniczyć w rutynowych badaniach studentów obcokrajowców, którzy rozpoczęli naukę w Łodzi. Badania te mia-

ły być odmienne od poprzednich jedynie poprzez obecność trzeciej próbki, która była przeznaczona do przeprowadzenia testu na AIDS. Okazało się, że studenci nie mogą być przebadani, ponieważ większość zatrudnionych w przychodni лаборанток odmówiła pobierania krwi motywując to obawą przed zakażeniem. Odmowa ta dotyczyła także udzielenia jakiegokolwiek pomocy medycznej obcokrajowcom, którzy nie posiadają zaświadczeń o przebiegu testu na AIDS. Nie pomogły prośby dyrektora, wydanie pismnego polecenia, ani, co najdziwniejsze, wizyta specjalisty z Instytutu Wenerologii, który przekonywał лаборанток o bezzasadności ich obaw. Widocznie chodziło tu o coś zupełnie innego niż logiczna i fachowa argumentacja, bo nikt nie przekonał. Odmowa wykonania badań nastąpiła zanim лаборантки sprawdziły, czy znajdują się do ich dyspozycji zabezpieczenia jest wystarczające. W przychodni atmosfera stała się nie do zniesienia. Wyglądało to już na jawny bunt.

Badania przeniesiono do Studium Językowego dla obcokrajowców, a w pobieraniu krwi uczestniczyły pielęgniarki i technicy analitycy spoza oponowanej paniki laboratorium. W tym czasie zespół zbuntowanych лаборанток wystąpił z pismem adresowanym do Głównego Inspektora Sanitarnego — Jerzego Bończaka:

„W związku z narzućciem nam przez dyrektora Zespołu Opieki Zdrowotnej dla Szkół Wyższych w Łodzi obowiązku pobierania krwi i wykonywania badań u studentów obcokrajowców, którzy nie zostali przebadani w kierunku wirusa AIDS,

zwracamy się z prośbą o interwencję. (...) Odmowa podjętowa jest tym, że nasza podstawa nie jest placówką specjalistyczną. Naszym zamiarem nie jest odmowa pracy ze studentami obcokrajowcami, ale ograniczenie do niezbędnego minimum ryzyka kontaktu z tą nieoponowaną medycznie chorobą...”

List podpisało 38 pracowników ZOZ dla Szkół Wyższych w Łodzi. Najdziwniejsze jest to, że pod tą argumentacją podpisały się także rejestrarki i pomywaczki, czyli panie, które poza wizualnym, naprawdę nie miałyby żadnego innego kontaktu ze spornymi próbkami z krwi. Pozostałe argumenty zamieszczone w liście były jednocześnie warunkami wykonywania badań u cudzoziemców w przyszłości.

Лaborантки uznały za konieczne pobieranie krwi w wysokożakowanych boksach Meltzera, podczas gdy one byłyby zaopatrzone w kalosze, czepki, rękawice, maseczki, bieliznę ochronną, fartuchy gumowe. Aby jednak nie musiały przystępować do pacjenta w stroju kosmity należałoby, żeby wszyscy obcokrajowcy przyjeżdżali do Polski z wynikami testu na AIDS. A najlepiej to, żeby w ogóle nie przyjeżdżali.

I wybuchł skandal

W czasie gdy panie w białych fartuchach zajmowały się korespondencją z władzą zwierzchnią w Zespole Opieki Zdrowotnej doszło do wypadku, który rzucił cień na wszystkich pracowników przychodni. W laboratorium odmówiono pomocy dwóm ciężarnym ciemnoskórym dziewczynom i chłopcu

choremu na cukrzycę, który po przyjeździe do Polski miał mieć ustaloną nową dawkę insuliny argumentując, że przecież nie od dzisiaj jest chory i wie, ile ma brać. W tym samym tygodniu zgłosiła się na badania ciężko chora na serce Nikaraguanka. Ją także odesłano do domu, a wiadomość o tym, że dziewczyna po sześciu dniach zmarła skomentowano — Przecież i tak by długo nie żyła...

Badania zostały przeprowadzone mimo towarzyszącej temu atmosfery sensacji. Co prawda dyrektorka ZOZ zmuszona była przeprowadzić je poza terenem przychodni i nie przy pomocy oponowanych panik лаборанток. Krew pobrano i wysłano do odwirowania na Zakładną, a surowica została wysłana do Warszawy, gdzie przeprowadzone jej właściwy test. Po trzech pełnych tygodniach tygodniach okazało się, że żaden z łódzkich studentów obecnie narodowości nie jest chory ani nie jest nosicielem wirusa AIDS.

Wszyscy odetchnęli, ale лаборантки, które odmówiły wykonywania zawodowych czynności zostały ukarane nagana i pozbawione premii motywacyjnej. Sprawa ta oprócz aspektu moralnego zyskała także aspekt prawny, ponieważ jedna z ukaranych pracowników laboratorium wniosła powództwo przeciw Zespołowi Opieki Zdrowotnej do Sądu Pracy. Powództwo wprawdzie dotyczyło pewnej sumy pieniędzy, którą ukarana straciła decyzją dyrektorki ZOZ, ale tak naprawdę to sprawa przed Sądem Pracy toczyła się o co innego.

Wyrok, który zapadł miał rozstrzygnąć nie tylko — jakie warunki bezpieczeństwa powinny zapewnić placówki zdrowia osobom, które ze względów zawodowych narażone są na kontakt z wirusem AIDS, ale także czy osoba, która wykonuje ten wyjątkowy pod względem odpowiedzialności zawód ma prawo odmówić pomocy medycznej. Przebieg procesu pobudził do dyskusji. Towarzyszyły mu publikacje prasowe, które nazbyt często rezygnowały z rzetelności informacji na rzecz niewątpliwie atrakcyjności tytułów. Trzy kolejne

sprawy udowodniły, że trudno dziwić się wątpliwościom лаборанток w sytuacji, gdy nawet lekarze nie są dokładnie zorientowani co do sposobów zabezpieczenia się w czasie wykonywania badań u osób podejrzanych o chorobę AIDS.

I tu kolejna wątpliwość: czy można o każdym, kto nie posiada wyniku testu, mówić jako o chorym i unikać z nim kontaktu? Jest to przecież tak samo pozbawione logiki, jak traktowanie każdego zgłaszającego się na prześwietlenie RTG jako gruźlika.

Opinia profesora Andrzeja Stapińskiego

Na wiele pytań i wątpliwości odpowiedział powołany na świadka — a właściwie występujący w roli biegłego — prof. Andrzej Stapiński — dyrektor Instytutu Wenerologii w Warszawie, członek Światowej Rady do spraw AIDS. Opracowuje on regionalny program zapobiegania AIDS dla WHO. Jego wystąpienie rozwiało mity o niezbędny wysokożakowany zabezpieczeniu. Boksy Meltzera, gumowa odzież, buty, maseczki stosuje się jedynie w eksperymentalnych laboratoriach, gdzie hodojuje się kolonie wirusów. Maseczki i okulary używane są podczas odbierania i porodu, przy wkłuwaniu się w żyłę oraz jeżeli u chorych na AIDS występuje bronchoskopia. Wystąpienie profesora Andrzeja

Stapińskiego nie ograniczyło się jedynie do przekazania medycznych informacji. Podzielił się także z uczestniczącymi w procesie, niejako komentując całe zdarzenie w łódzkim ZOZ, swoimi wrażeniami z wizyt w nowojorskich szpitalach, w których powoli gasną ofiary AIDS.

— Tam mimo wielu ludzkich tragedii — powiedział — wszyscy lekarze na powitanie podają dłonie chorym.

Sprawa nie jest jeszcze zakończona

Sąd Pracy wyrokiem z 25 kwietnia 1988 roku oddalił powództwo jednej z ukaranych pracowników ZOZ. Wyrok jest nieprawomocny i — pomimo, iż zamyka przewód sądowy — nie rozstrzyga wielu zasadniczych problemów, które w czasie trwania sprawy zostały poruszone. Oddalenie powództwa jednoznacznie jednak rozstrzyga kwestię, która, co jest najbardziej niepokojące, mogła budzić wątpliwości — czy obawa przed jakąkolwiek chorobą licuje z etyką medyczną.

BEATA SZUSZWEDYK

SPOŁEM PSS O/GASTRONOMII
w ŁODZI

P O S Z U K U J E

AGENTÓW

do prowadzenia placówek gastronomicznych
 (wykaz placówek do wglądu w dyrekcji).

Wymagane kwalifikacje: wykształcenie średnie, 4-letni staż pracy w gastronomii i książeczka kwalifikacyjna kier. zakł. gastronomicznego. Szczegółowych informacji udziela sekcja kadr, Łódź, ul. Narutowicza 7/9, p. 316; tel. 33-55-31, w. 64.

3128/K

Przez długi czas przysłuchiwałam się tej rozmowie. Była to opowieść o ich trenerze, którego nie lubili, nie szanowali i od którego nie spodziewali się niczego już więcej nauczyć. Mniejsza o to, kto jest tym trenerem P., w jakim to klubie rzecz cała ma miejsce i jaką dyscyplinę uprawiają ci młodzi ludzie. Znam oczywiście i nazwę klubu, mam inne dane, ale ich nie ujawnię. Nie o „rozrobę” w klubie bowiem chodzi, a o problem — o wzajemny stosunek między trenerem i zawodnikami.

Rozmawiałam z wieloma trenerami różnych dyscyplin i z wieloma zawodnikami. Z trenerami rozmawiałam o zawodnikach, z zawodnikami o trenerach. Wiem — i większość ludzi interesujących się sportem to wie — że między zawodnikami a trenerem musi być wzajemne zrozumienie, zaufanie, współpraca. Jeśli tego nie ma — to jest źle, nie ma wyników, są podejrzenia, nieufność, kłamstwa i różne wzajemnie świadczone sobie złości. Na przykład udawane kontuzje.

— My gramy dla siebie i mamy dobre wyniki. Na ogół medalowe — powiedział Jeden.

— A udawanie kontuzji jest bardzo niebezpieczne, bo raz się uda, a innym razem naprawdę przychodzi grać z kontuzją i to może kosztować zdrowie — dodał Drugi.

Są młodzi. Chodzą do szkoły. Nie wszyscy. Niektórzy już skończyli szkołę. Są juniorami. Trener P. jest nauczycielem wychowania fizycznego w pobliskiej szkole. Trening w klubie łączy się z nauką w szkole.

— Pojechalśmy na mecz — opowiada Trzeci — za granicę. Jechaliśmy długo, wypaliliśmy się za wszystkie czasy. Toteż pierwszej nocy na miejscu nie spaliliśmy. Gadaliśmy z kolegą, zostałem za to ukarany. Jak wróciliśmy, to wielu nauczycieli pytało mnie, co ja tam narozrabiałem. Mieli do mnie pretensje. Mnie nie chcieli wierzyć. A przecież naprawdę nic się nie stało.

Co mają do zarzucenia trenerowi P.? A więc, że jest apodyktyczny, że się nie liczy z ich zdaniem, że już nie może ich niczego nauczyć, że jest teoretykiem, a w praktyce niezbyt sprawdza się jego teoria, że jego treningi są nudne.

— Każę nam trenować ze starszymi — powiedział Drugi. — Jedni się przykładają, inni obijają. Nic z tego nie wychodzi. Nie rozumiemy się przez takie niby-treningi.

Treningu 4 razy w tygodniu. Ale często trener spóźnia się na trening. Kiedyś to się nawet spóźnił na ważny mecz. Było głupio. Czasem na kartce napisze, co mają robić i wychodzi z sali.

— Tak też bywa na obozach — powiedział Czwarty. — Nie interesują go treningi, ma co innego na głowie. My też nie chcieliśmy takich treningów i chodziliśmy na plażę. Potem były kłopoty z formą. Trener G., który o tym wiedział, sądził, że gorsze miejsce naszej drużyny właśnie z tego się wzięło.

Chcę, aby trener umiał dużo i umiał im to przekazać, chce, aby był dla nich przykładem. Ale nie jest. I to ich boli.

Sport

Podobizna trenera grubą krechę rysowana

I tu pada poważne oskarżenie. Ponieważ nie ujawniam ani nazwy klubu, ani dyscypliny, ani tego, kim jest rysowany tak subiektywnie portret trenera, muszę dla pełni tego obrazu i o tym wspomnieć.

— On przez cały obóz był „nabablowany” — powiedział Jeden.

— Kiedyś po meczu, to trzeba było go wnieść do samochodu — powiedział Piąty.

— Jak sobie z wieczora popije, to rano, zamiast z nami trenować na obozie, musi leżeć kaca — dodał Trzeci.

— Taki trener musi mieć Pupila — powiedział nieoczekiwanie Drugi.

— Kto to jest Pupil? — zapytałam.

— To jest kapuś — wyjaśnił Drugi. — Kiedyś sprawdziliśmy. Opowiedzieliśmy przy Pupilu, że po kolacji będziemy pić wodkę i pokazaliśmy mu butelki po wodce pełne wody. W godzinę po kolacji wpadł trener P. i zaczął szukać wódki. Smialiśmy się po cichu, bo wiedzieliśmy, czego szuka, ale butelek już nie było.

— A Klub? — zapytałam. — Co Klub na to? W Klubie nie wiedzą?

— Wiedzą — odpowiedział mi Piąty. — I nic. Klub jest podobno biedny, nie ma pieniędzy. Tak się przynajmniej mówi.

Początkowo nie rozumiałam. Co ma jedno do drugiego? Ale powoli okazało się, że po prostu Klub nie troszczy się o młodych zawodników. Zajmuje się tylko tymi, którzy grają w drugiej lidze i nieczym więcej się przejmują. Na przykład buty muszą sobie kupować sami, Klub im tylko zwraca pieniądze. A z dresami to już był prawdziwy skandal.

Mają własne dresy, ale są już stare, różne — każdy ma inny — niektórym porobiły się dziury na kolanach, więc poucinali nogawki. I wyglądają jak przebieganci.

— A inni? — pytam. — Inne kluby też mają takie trudności ze sprzętem, z ubraniami dla zawodników?

— Nie, inni mają piękne ubrania, ładne dresy, wygodne buty. Wszystko zagraniczne — objaśnił mnie Jeden.

Ktoś załatwił dla nich dresy. Miał być nagrodą za dobre wyniki. Dla całej drużyny. Nie dostali. Ktoś ponoć widział, jak te dresy wynosił działacz. Pewnie parady w nich na działkach. Im natomiast powiedziano, że dresy poszły do nadruku. Poszły i jakoś nie wróciły.

— Na obozy — uśmiechnął się Trzeci — to jeździmy najczęście w góry.

— To macie dobrze — nie rozumiałam.

— Nawet bardzo — ucieszył się z mojej naiwności Czwarty — bo jeździmy do Wiśniowej Góry. Do Łodzi blisko. W każdej chwili można wpaść do domu.

— Raz był wybór — powiedział Piąty. — Albo nad morze do Dąbówki, albo w góry. I oczywiście pojechalśmy w góry. Do Wiśniowej Góry.

— Czym to umotywowano?

— Bo już tam byliśmy i wszystko znamy — wyjaśnił mi Drugi. — A na turnieje nie jeździmy, bo nie warto i nie ma pieniędzy — dodał.

— Kiedyś to chcieliśmy sami zapłacić, bo chcieliśmy pograć z innymi drużynami niż te z naszej ligi — powiedział Trzeci — ale nie z tego nie wyszło. Zresztą młodzi zawodnicy wyjechali, choć nie było pieniędzy. Na nasze pytanie, dlaczego tak się stało, dowiedzieliśmy się, że nam to by nic nie dało.

— Pieniądze, nagrody dostajecie?

— Dostaliśmy w nagrodę — powiedział Czwarty — zegarki po 2.500 złotych sztuka, które się na drugi dzień popsuli. Dresy też miały być dla nas w nagrodę. Jesteśmy w naszej grupie na medalowych miejscach, ale nie możemy awansować z grupy, bo Klub nie jest tym zainteresowany. Już ma jedną drużynę w grupie „A” i musi to wszystkim wystarczyć.

— Ale możecie przejść do innych klubów?

— Jeśli pójdziemy się uczyć do innego miasta, to tak — wyjaśnił Jeden. — Tu się to nie uda, bo Klub nie zgodzi się na transfer.

— Co trzeba zrobić?

— Koniecznie zmienić trenera. My odejdziemy i nie będziemy mieli z nim już nic wspólnego. Ale szkoda młodych chłopaków, którzy przyjdą po nas. Trener P. będzie ich tak samo fatalnie wychowywał, niczego nie nauczy, za to skutecznie obrzydzi sport — powiedział Piąty.

I tym stwierdzeniem chciałam zakończyć moją relację. Myślę, że działacze sportowi powinni zastanowić się nad smutnymi uwagami młodych sportowców, którym jeszcze o coś chodzi. Bo może akurat zdarzyło się to w ich klubie?

BOGDA MADEJ

1 Co zrobić ze starą kanapą?

Popsuła się nam kanapa. Zresztą diabli wiedzą, czy to jest kanapa, czy wersalka i czym się jedno od drugiego różni? W każdym razie „bydło” to nie chciało się zamykać. Teresa wściekała się przy każdym ścieleniu i domagała się nowego sprzętu do spania. Postanowiliśmy więc kanapę zreperować. Łatwo powiedzieć, gorzej z realizacją. Specjaliści od reperacji kanap domagali się przywiezienia jej do warsztatu.

— A na czym będziemy spać?

— To już nie nasza sprawa. Odbyliśmy więc kolejną naradę rodzinną i po długiej, szczerzej i pryncypialnej dyskusji doszliśmy do wspólnego wniosku, że prościej będzie...

— Tak po prawdzie — przyznała Teresa — to stara kanapa mi się znudziła.

Poszliśmy do sklepu meblowego, ale kanap akurat nie było. Trzeba było czekać. Czekaaliśmy. Znowu chodziliśmy. Myślałem, że Teresa zrezygnuje, ale ona uparła się i dzięki temu mieliśmy nową kanapę. I na dodatek dwa nowe fotele.

— Cieszysz się? — pytała Teresa i sama się cieszyła.

Na szczęście termin odebrania nowej kanapy oraz dwóch foteli był odległy. Mogliśmy odbyć kolejną naradę rodzinną i przedyskutować wciąż niebagatelny problem starej kanapy.

— Co z nią zrobić? — pytaliśmy niemal zgodnym chórem.

— Podarujmy ją komuś!

— Interesujący plan. Ale komu?

— Może weźmie Dzidcho?

Zadzwońmy do Dzidcha.

— Niepotrzebna ci kanapa jeszcze w dobrym stanie?

— Dlaczego w dobrym stanie? — zainteresował się.

— Zepsuł się mechanizm do zamykania i trzeba ją pokryć czymś nowym. Poza tym wszystko dobre.

— Dziękuję — powiedział jakoś kwaśno.

— Inni też nie chcieli. Zysło to nawet doszedł do ciekawego wniosku.

— Jeśli taka dobra, to po co się jej pozbywać?

Próbowałem tłumaczyć, że Teresa się znudziła. Nie uwierzył.

— Wyrzucimy ją na śmietnik! — zdecydowała Teresa.

Tego obawiałem się najbardziej. Zapytałem o radę Jasia. Oni też mieli kłopot ze starą kanapą.

— Musicie to zrobić w nocy, żeby nikt nie widział. Normalnie to zabronione.

Istotnie. Wszelkie śmietniki przeznaczone są na drobne odpady. Jak ci się zlew tak poparuje, że trzeba wymienić i zainstalować nowy, to nie wiadomo, co robić ze starym. Na śmietnik też nie wolno wyrzucać. Administracja podpisuje umowy z MPO dotyczące wywożenia drobnych śmieci. Wprawdzie MPO nie wywiozłoby się należycie z tych umów, ale to już inna sprawa. MPO — po prostu — nie ma czym wywozić, nie ma pojemników, ludzi, samochodów i paliwa. MPO w ogóle ma kłopoty ze śmieciami, gdyż nie ma też gdzie tych śmieci wywozić. Najlepiej byłoby, gdyby ludzie nie śmiecił. MPO miałoby jedwabne życie.

Można zresztą wrócić do przeszłości. Przed wojną — na przykład — stare meble palilo się w piecu i pożytek z tego był, bo w domu było dzięki temu ciepło a węgiel się oszczędzało. Ludziom zachciało się jednak postępu i mamy dziś centralne ogrzewanie, ale nie mamy gdzie spalić starych mebli. Może by tak wywozić je do EC. I tam by się paliło je centralnie. Oni mają takie duże piece, w których wszystko się spali. Nie wiem, dlaczego nikt do tej pory nie wpadł na taki wspaniały pomysł!

Mniejsza zresztą o pomysły. Miałem starą kanapę i nie wiedziałem, co z nią zrobić. Ktoś proponował nawet, aby ją sprzedać. Daj ogłoszenie: „Mam starą kanapę i oczekuję propozycji”. Dalem. Zadzwoń! Jakaś pani i zwinęła mnie, że jestem świntuch i czy nie mógłbym zaproponować jej „figli-migli” na nową kanapę. Chyba mnie stać na nową? Nie próbowałem jej tłumaczyć, że chodzi zupełnie o coś innego. Innych telefonów nie było. Nikogo nie interesowała stara kanapa.

Zbliżał się termin dostawy nowej kanapy i dwóch foteli.

— To dobrze, że nie wpadliście na pomysł kupienia nowej szafy — śmiała się znajomi, którzy wspaniale się bawili naszym kłopotem ze starą kanapą.

— A może puścić plotkę, że są w niej ukryte jakieś skarby — wpadł na pomysł Genio.

— Puscć się sami! — poradziłem mu i Genio się obraził.

Ogarniała mnie czarna rozpacz. I wtedy Teresa wpadła na genialny pomysł. Mamy takiego znajomego artystę Jakuba K. On ma małątki domek na działce niedaleko Łodzi. Jakub K. akurat wyjechał z Łodzi.

— Kanapa mu się przyda — powiedziała Teresa.

Wywieźliśmy kanapę na działkę do Jakuba K. Siedziemy teraz na nowej kanapie, pijemy piwo i martwimy się, co będzie. Jutro wraca Jakub K.

ZENON POROWATY

2 Czy to aby optymizm?

Lewym okiem

Usłyszałem niedawno przez radio z ust wysokiego dygnitarza resortu komunikacji, że około pięciuset wagonów pasażerskich stoi bezczynnie na boczniach, bo zabrakło do nich... misiek kłozetowych. Wiadomość ta napeliła mnie radosnym optymizmem. Oto mamy gotowych pięćdziesiąt składów pasażerskich, pięćdziesiąt takich pociągów ruszy natychmiast na trasę, usprawni przewozy wakacyjne, rozładuje wszelkie nieznośne szczyty, a do tego wszystkiego brak tak małego głupstwa — pięciu misiek kłozetowych. Przecież to się załatwi z dnia na dzień i już będziemy mieli wspaniały transport pasażerski! To przecież radosna wiadomość, że tak bardzo mało dziełi nas od tak fortunnej sytuacji!

Takich nader pocieszających wiadomości mamy co dzień niemało. Oto czytamy, że lekarze w szpitalach nie operują, bo nie mają rekawiczek gumowych, proszę bardzo: rekawiczka, jakże to niewiele, jak niewiele dzieli nas od dnia, kiedy już wcale nie będzie trzeba czekać na poważne zabiegi chirurgiczne, że no, może jeszcze umrze kilkanaście osób, ale już lada dzień zacznie się rupeina Kanada.

Myślę, że bliski jest dzień, kiedy dowiemy się, że pociągi nie ruszyły na trasę, bo kolejarzom spadły spodnie z braku guzików. Będziemy wtedy pełni szczerliwego przekonania, że oto już tylko guzik brak, a wszystko będzie jak trzeba.

Jedynym coraz bliżej szczęścia

cia, tylko nieuleczalny małkonant może rozdzierać szaty narzekając, że coraz mniejsze przyczyny pociągają za sobą coraz groźniejsze następstwa, że wystarczy czyis niewielki błąd, czyjaś omyłka, aby zniwieczył wysiłek setek tysięcy innych osób. Ze to wszystko wynika z nadmiernie scentralizowanej gospodarki, gdzie naciśnięcie byle guziczka w którymś z resortów powoduje lawinę wydarzeń.

Pozostaliśmy jednak optymistami. Niechaj bógmi zadowoleniem napawa nas świadomość, że wystarczy jakaś tam ilość najprostszych, gumowych uszczelkek, aby miliony metrów sześciennych wody nie uciekały z kranów prosto do kanałów; że wystarczy dokreślić lebiej dwie czy trzy śrubki, aby 60 proc. telewizorów nie wracało do fabryk w trybie reklamacji, nie angażowało środków przewozowych, powierzeń magazynowych, nie powodowało dodatkowych utrapień i kosztów. Ten rodzaj optymizmu jest przecież każdemu dostępny i na odwrót: jest to „niestety” jedyny rodzaj optymizmu, na jaki nas jeszcze stać.

WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI

3 Nagle zastępstwo Złoty interes

Mego przyjaciela, Jacka A., ekonomistę i cybernetyka spotkałem po długim, długim niewidzeniu. Kiedy już zrobiliśmy „niedźwiadka” i poklepaliliśmy wielokrotnie po plecach, wykrztusił się (ze względu na wzruszenie — wykrztusił się, bo nas w gardłach ścisnęło), wykrztusił się zatem pytanie — a co u ciebie, mój stary?

I tak, jak jednocześnie wykrztusił się pytanie, tak jednocześnie wydaliśmy westchnienie i powiedzieliśmy jak jeden mąż — kiepsko, oj kiepsko...

— A dlaczego? — uprzedził moje pytanie Jacek A.

— Sam rozumiesz, ceny, reforma, niech ją drzwil ścina, bida idzie. Oto „dlaczego”...

— Jak zwykle niewiele rozumiesz z dziedziny gospodarki, pod osobiste kłopoty podkładaś „rzeczywistość społeczno-gospodarczą” i stać cię tylko na bezproduktywne, jałowe narzekanie i wybrzydanie. Wstydź się! Jako człowiek pióra poniekąd kształtujący opinię publiczną powinienś mieć pole widzenia szersze, większą orientację i w ogóle nadażać za przemianami...

— To mi już mówiłeś nieraz. Powiedz mi zatem drogi przyjacielu, „dlaczego” także wykrztąknąłeś „kiepsko, oj kiepsko”?

— Z zupełnie innych powodów niż ty. Ja otóż narzekam na mało postępy reformy, na niedostateczną operatywność naszych, pozał się Boże, menedżerów, na ospałość administracji.

— To rozumiem, ale moje pytanie dotyczyło raczej spraw prywatnych — zdrowia, samopoczucia, powodzenia w życiu.

— No właśnie. Moje powodzenie, samopoczucie a także zdrowie, zwłaszcza psychiczne, jest uzależnione od warunków społeczno-politycznych. Wzlaszcza ostatnio... Widzisz, postanowiłem zrobić użytek praktyczny z moich teoretycznych wiadomości. Nie widziałeś mnie tak długo, ponieważ wyjechałem do Wrocławia i na terenie Dolnego Śląska postanowiłem uruchomić przedsiębiorstwo, a raczej biuro, zajmujące się tzw. konsul-

tingiem, jeśli wiesz, co to znaczy. Odszukałem paru przyjaciół, zsumowaliśmy nasze możliwości finansowe i intelektualne i z zapalem zabraliśmy się do roboty. Kiedy pracowaliśmy nad statutem naszej spółki z o.o. doszliśmy do wniosku, że nie możemy się ograniczać do doradztwa, nawet szeroko rozumianego. Dlaczego właściwie nie możemy się zająć pośrednictwem, handlem masowym i detalicznym, usługami materialnymi i czym tam jeszcze? Dlaczego nie mielibyśmy prowadzić jednocześnie kiosków z hot-dogami, myć samochodów, opiekować się dziećmi, budować dach i udzielać korepetycji? Postanowiliśmy zatem na kwestionariuszu, który wypełniliśmy wpisać rodzaj działalności — WSZYSTKO, zaś działalność — CAŁY KRAJ A W PRZYSZŁOŚCI TAKŻE ZAGRANICĄ!

— No i co? Nie dostaliście zezwoleń? Tego się spodziewałem...

— My też się spodziewaliśmy. Ale liczyliśmy na to, że odnośnie urzędu, w myśl znanego przysłowia „co nie jest zakazane, jest dozwolone” wyjaśni nam, że wprawdzie „wszystkiego” robić nie możemy, ale określi precyzyjnie co my, mianowicie, możemy robić? Chodziło nam o urzędowe stwierdzenie, co może robić w Polsce prywatne przedsiębiorstwo czy spółka.

— Umieram z ciekawości!

— My też. Urząd do dziś nie umie nam odpowiedzieć. Urząd się pogubił w przepisach, urząd — przepraszam za wyrażenie, niestosowne zapewne — urząd zgłupiał i „zakuł” się, jak mawiają w Małopolsce.

— No więc, co robicie?

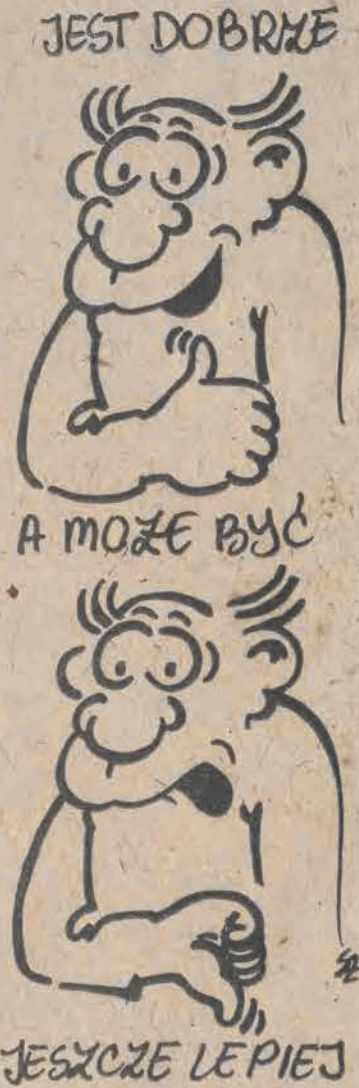
— Dokonałiśmy takiej ugody: zecniemy od czegośkolwiek, a w miarę rozszerzania działalności będziemy uzyskiwali kolejne zezwolenia. Na razie mamy zezwolenie na doradztwo handlowo-menedżerskie i na impresariat artystyczny.

— Jak idzie interes?

— Wcale nie idzie. Na nasze ogłoszenie w sprawie doradztwa nikt nie odpowiedział. Nie mamy także żadnych artystów, którzy chcą powierzyć nam organizację imprez. Chyba weźmiemy w agencję szale publiczne. Podobno złoty interes.

ANDRZEJ KAROL

Coś z życia



Rys. Sławomir Łuczyński

Helgunda, córka Hoka, z lubością dotykała korony książęcej, którą za osiemdziesięciu niewolników przysłał jej ojciec z Jumna. Do korony dodał — na jej prośbę — pięćdziesięciu zbrojnych najmitów, wiele haftowanych czepców, kaftany z jedwabiu, suknie w rozmaitych kolorach, barwne wstęgi i pasy nabijane guzami ze złota, złote szpilki, naszyjniki z gintararu i srebra, kilka par złotych kolczyków, wielkie i małe brosze z drogimi kamieniami, cztery złote pierścienie oraz kilkanaście puzderek z pachnidłami.

Koronę stanowiła szeroka złota obręcz z obsadzonymi w niej szmaragdami. Pięknie wyglądała na bujnych kasztanowych włosach Helgundy, a gdy włożyła jeszcze kaftan i purpurową suknię, purpurowy płaszcz przetykany złotymi nićmi, tym bardziej uwidniała się niezwykle jasna karnacja jej twarzy i zębów. Miał Helgunda wielkie niebieskie oczy i ciemne brwi, usta małe, pełne, drobne dłonie — i chyba nie było, jak to sobie często wyobrażała, piękniejszej od niej kobiety na całym świecie. Urodziła dziecko, ale zaraz je oddała mamie przez co piersi jej stały się jeszcze większe, jedne i kragiele. Naga wydawała się sobie piękniejsza niż ubrana w najwykwintniejsze stroje i żałowała, że tylko Gizur, dowódca jej najmitów, awci wzrok tą nagością. Jakże często nienawidziła go za to, że był o nią zazdrosny, rzadko się zdarzało, aby wydawała ucztę w paradnej sali książęcego dworu, gdzie siedząc obok Gizura chwytala pełne pożądanego apojenia moźnych i wojowników, nie bowiem nie sprawiła jej większej rozkoszy jak podniecanie mężczyzn. Gdyby nie Gizur, co noc przyjmowałaby w swoim łóżu innego mężczyznę, nie oddając mu się od razu, lecz swoją nagością budząc najpierw szaleńcze pożądanie i coraz większą zuchwałość aż do utraty rozumu, do momentu, gdy rozwścieczony żądzą brał ją gwałtem. Miał ją jednak tylko Gizur i niekiedy myślała jak go usunąć ze swego życia; przebiłby sztyłem lub otruc. Tylko kto wówczas okazałby dość męstwa, aby chronić Gniazdo, trzymać w więzy Popiołowłosego i wspólnemu dziecku, jej i Gizura, dać w przyszłości koronę książęcą. Kto pokonałby zbuntowanych moźnych, Powalów z Kruszwic i Duninów z Poznani, którzy — jak to słyszała — także zamówili dla siebie książęce korony. Gdy Gizur ukorzył Powalów i Duninów, wtedy — uprzednio kazawszy mu zabić Popiołowłosego — ona poda kochankowi trujący napar ze sromotnika. Wówczas o jej rękę zabiegać będą potężni książęta, stać jej dary, zdobywać nowe kraje, a ona każdemu pozostawi nadzieję i da jedną noc, po której zacznie za nią tęsknić i walczyć dla niej. Tak czyniąc pozostanie wolna, co noc mając innego kochanka, a jej księstwo stanie się królestwem.

Mając trzynastcie lat już zwracała uwagę swoją urodą w całym Jumnie. Na biesiadach, które urządzał jej ojciec, niby to dla dziecięcej zabawy, lubiła siedzieć na kolanach gości jej ojca, przeważnie bogatych kupców i wielkich piratów, i sprawiała jej przyjemność, gdy poprzez cienką sukienkę, pod swymi dziewczęcymi pośladkami czuła jak przeży się męski członek. A gdy weszła jak koleś chichocząc zeskakiwała z kolan i siadała na kolanach innego mężczyzny. Podobnie czyniła także z własnymi starszymi braćmi aż jeden z nich, gdy ojciec nie było w domu, zawiózł ją do siebie i nieprzytomny z pożądania, zgwałcił. Wtedy to doznała rozkoszy i odtąd tylko gwałt dawał jej prawdziwą przyjemność. Pojecha także jeszcze jedno. Gwałt dawał przyjemność nie tylko jej, ale opór kobiety powiększał podniecenie mężczyzny. Ludzie, którzy ją otaczali zazwyczaj rzadko pytali kobietę o to, czy ich pożąda; brali je nie interesując się przeżyciem kobiety, dlatego przeważnie mieli je nieruchome i bezwładne jak zimne kłody lub trupy. Ona bronila się dopóty nie poczuła w sobie męskiego członka. Wtedy nagle zaskakiwała mężczyznę swoją przemianą. Zaczynała okazywać gwałtownie swoje pożądanie i swoją rozkosz, całym ciałem towarzyszyła mężczyźnie w drodze do miłosnego szczęścia. Mężczyźni mieli wrażenie, że są jakimiś cudownymi dawcami rozkoszy, a nie tak nie przywiązuje mężczyzny do kobiety jak świadomość, że

rozbudził jej pożądanie i dał niezwykłą rozkosz. Owo więc przeżycie zaspokożenia nauczyła się okazywać na najroźniejsze sposoby, to krzycząc głośno, to poruszając mięśniami pochwy, obficie wydzielając miłosny śluz, wywracając galkami oczu, spazmując lub wyginając ciało w łuk i jeśli nawet na początku udawała, z czasem w rzeczywistości mocno zaczęła doznawać rozkoszy i tak elinie ją okazywać. Pojecha również,

wym brzegu rzeki Buck — belkotą przerażony. — Korzystając z mrozów zamierzają przebyć bagna i rzeki, a potem zaatakować nasz kraj. Helgundo, pakuj do skrzyń swoje rzeczy. To jedno nam pozostaje. Uciekaj do Jumna.

— Dlaczego? Czy Mardowie potrafią zdobyć Gniazdo?

— Są ich tysiące. To dzicy ludzie. Kobiętom obcinają pierś. Otoczą Gniazdo i wezmą nas głodem. Nie mamy soli,

grodu położonego na wysokiej górze, otoczonej trzema jeziorami tak, że tylko od strony wschodniej wąski pas ładu pozwalał dostać się do głównej bramy, wieści o panice, jaka zapawała na dworze Helgundy jak krople wody z dziurawej beczki powoli przenikały na dwa podgrodzia, potęgując strach przed Mardami. Kupcy, handlujący woskiem i skórą, gorączkowo budowali sanie, Złotnicy swoje skarby zakopy-

nięte konie i zamknięte je w ciepłych stajniach. Helgunda całymi godzinami krążyła po komnatach ogolonych z kołbierców, z futer i co cenniejszych sprzętów. Miał świadomość, że w Jumnie nie czeka ją nic dobrego. Nie uciechy Hoka jej powrót, zapewne bardzo szybko wyda ją za mąż za jakiegoś prostackiego jarla albo któregoś z bogatych krewniaków. Gizurowi zaś po prostu utnie głowę za to, że nie po-

perł sypanie komnacie. Miał na włosach książęcą koronę, na sobie płaszcz książęcy, purpurowy, haftowany złotymi nićmi. Przed ich przybyciem wyjecha z puzderka dwa złote pierścienie i trzymała je na swojej małej dłoni.

Obydwaj byli rośli, jasnowłosi, ubrani w kolczugi i żelazne nagolenniki. Na znak szacunku zdjęli hełmy z krowimi rogami. Po Gizurze zajmował najwyższe miejsce wśród wojowników Gniazda.

— Gizur okazał się tchórzem — obwieściła. — Postanowiliśmy, że nigdy już nie wpuszczę go do swojego łóża. Wy dwaj będziecie odtąd czuwać przed drzwiami mojej komnaty. A jako znak, że daję wam taką władzę, przyjmijcie ode mnie te dwa pierścienie.

— Co mamy uczynić, gdy Gizur wróci? — zapytał Jaszczółt o twarzy tak młodej i pięknej, że Helgunda już wiedziała, że jego pierwszego wkrótce dopuści do swego łóża.

— Wprowadzicie go przed moje oblicze, ale nie odstępujcie ani na krok. Był odważny, gdy trzeba się było rozprawić z Popiołowłosym, bezradnym starcem. Zmusił mnie do tego, abym swego męża zamknęła w więzy. Był też odważny, gdy chwytano niewolników z mojego ludu i sprzedawano ich do Jumna albo do Gedana. Złaził się jednak Mardów, których jakiś Piastun pokonał, mając tylko stu ludzi.

Zanim powrócił Gizur prowadząc zrabowane po wioskach dziesięć koni, komnaty dworu wyglądały jak dawniej, Helgunda przyjęła go w wielkiej sali o ścianach obwieszonych skórą dzików. Siedziała na tronie w swojej książęcej koronie i w najpiękniejszych szatach. Po raz pierwszy w życiu poczuła się prawdziwą władczynią i na myśl o Gizurze, jej małe usta błądziły ze złości.

Gizura przyprowadził Jaszczółt i Hodon. Kazali mu ukleknąć na jedno kolano. Jednocześnie pozwolili, aby świadkami jego upokorzenia było ponad trzydziestu Normanów, którzy wypełnili niemal całą salę.

— Co wiesz o Mardach? — zapytała go Helgunda.

— Zostali pokonani — odpowiedział, czując, że grozi mu śmierć.

— Czy to ty tego dokonałeś?

— Jakiś Piastun.

Mówiono mi, że miał tylko stu wojowników, gdy ty posiadałeś aż dwustu dzielnych rycerzy. Jesteś tchórzem i nie możesz dłużej przewodzić mężczyznom. Zasiadłeś w sali kobiet i będziesz przadł kądziel.

Z ponad trzydziestu męskich gardzieli wydobyl się śmiech tak głośny, że aż ogłuszający. Ale Helgunda dała znak ręką, aby się uciszyli.

— Gdzie jest mój mąż, Go lub Popiołowłosey, prawdziwy władca tego kraju? — zapytała Gizura.

— Nie wiem. Był w więzy na jeziorze Lendiców. Zniknął...

— Zjadły go wrysy?

— Znowu śmiech aż ogłuszył wszystkich.

Helgunda pokazała puste miejsce obok swojego tronu. Tam kiedyś stał złoty tron Popiołowłosego. To bowiem pojecha tej nocy swoim kobiecym rozumem, że źle uczyniła zamykając męża w więzy. Sama ona i piękna władczyni zawsze będzie zdana na łaskę kochanka takiego jak Gizur, czy innego w rodzaju Jaszczółta lub Hodona. Inaczej może być, gdy na tronie zasiada mąż, tym lepiej jeśli jest stary i niezdolny do miłości. To na niego można zwałać każdy błąd, a sobie przypisywać każdą zasługę, kazać usunąć niewygodnego kochanka, a innego obyspać łaskami. Dobrze też jest, kiedy na tronie zasiada władca z krwi przastarej i futejszego ludu, a nie obcy, jakiś Norman, gdyż obcego łatwiej się nienawidzi.

— Jeszcze dziś musisz tu znaleźć drugi tron dla władcy tego kraju — oświadczyła powoli i uroczysto. — Mógłby Gizurze tajne zamysły, aby samemu zostać tu księciem. Uwzględnił księcia Goluba w więzy, a mnie uczynił bezwonną. Znalazłam jednak obrońcę w wojownikach wiernych mojemu ojcu, księciu Hokowi. Za to, że stanęliśmy po mojej stronie — zwróciła się do Normanów — podwajam wam zold.

C.D.N

ZBIGNIEW NIENACKI

Dagome iudex

Rozpoczynamy druk II tomu powieści Zbigniewa Nienackiego pt. „Dagome iudex”, prezentującego jego literacką hipotezę o powstaniu Państwa Polskiego w drugiej połowie IX wieku, a więc prawie na sto lat przed przyjęciem chrześcijaństwa. Fragmenty I tomu drukowaliśmy w ubiegłym roku, warto jednak przypomnieć jego treść, przedstawiającą dzieciństwo i młodość głównego bohatera, Dagona. Urodzony w bagnach Noteci z matki karlicy i ojca olbrzyma Bozy, ma on rzekomo pochodzić ze starożytnego rodu Spalów, którzy zapadali na chorobę zwaną „żądzą czynów”. Wychowany w świecie magii i czarów młody Dag, ogarnięty ową dziwną chorobą wyrusza w świat, aby zostać władcą. Po wielu przygodach dociera do Bizancjum, gdzie interesuje się nim cesarz Michał i uczy sztuki rządzenia ludźmi, aby mógł w przyszłości na Wschodzie wśród północnych Słowian stworzyć państwo zdolne przeciwstawić się nieustannej inwazji Franków, zagrażających interesom Bizancjum. Wysłany z tajną misją do króla Ludwika Niemieckiego, zostaje Dagodemaskowany i musi uciekać w swoje rodzinne strony nad Notec. Tu dowiaduje się, że książętom Popiołowłosym udało się już stworzyć państwo w obrębie

Poznania, Gniezna i Kruszwicy, ale bunt moźnych spowodował jego rozbiście, ostatni zaś z Popiołowłosych — Golub, został zamknięty w więzy na Ostrowiu Lednickim. Po kraju błądzą bandy Lestków, to jest ludzie nienawidzących władzy książęcej i miłujących anarchicznie pojmovaną wolność. Dag staje na ich czele, nie przyjmując znieprawdzonego tytułu księcia, ogłasza się Piastunem, to jest opiekunem i wybawcą ludzi uciemiężonych i biednych. Jest to tylko swoisty kamuflaż, gdyż w gruncie rzeczy dąży on do władzy absolutnej, pragnie pokonać zbuntowanych moźnych i słać rozbite państwo, a także poszerzyć jego granice. W jego plany wtajemniczony jest tylko uratowany przez niego z niewoli były mnich, Herim. On wie, że Dag Piastun pod hasłami wolności dla ludu zamierza pokonać przeciwników i stać się absolutnym władcą. Są to początki tworzenia się władzy feudalnej; zamiast seniora rodzi się na naszych ziemiach tytuł Piastuna, biorącego w opiekę każdego, kto tej opieki potrzebuje, żądając w zamian służby i posłuszeństwa. Powieść opowiada o mechanizmach władzy, która na początku działa pod hasłami wolności, aby potem przerodzić się w tyranie.



Rys. Janusz Szymański-Glanc

trafił obronić księstwa Helgundy.

I gdy tak krążyła po komnatach, gdzie rozlegał się płacz jej chorowitego Aslaka, którym opiekowała się Miłka z kartowatego rodu Zemlinów, usłyszała na podwórzu głośne okrzyki. Wybiegła na śnieg i mroź z gołą głową, w prostej sukni, nawet bez futrzanego płaszcza. Zobaczyła parującego od jazydy konia i Jaszczółta, jednego z tych, co pochodzili z Lendiców i służyli jej wiernie.

— Księżno — sklonił się Jaszczółt. — Niejaki Piastun na czele stu Lestków pokonał Mardów i zmusił ich do odwrotu do Panonii. To pewna wiadomość. Tak samo pewna jest wieść, że Dzikie Kobiety z Kraju Kwem, zniszczyły Płock na Visuli i spaliły port, którym dotąd spławialiśmy zboże do Gedana.

Zacisnęła usta i zapytała o Gizura. Powiedziała jej, że wczesnym rankiem wyruszył do wioski, aby zabierać konie. Rozkazała więc służbie i wojownikom, aby na powrót wnieśli jej skrzynie do dworu i wezwwała przed swoje oblicze Jaszczółta i Normana imieniem Hodon.

Zastali ją w obdartej i dra-

nie mamy zapasów zboża, nie mamy wędzonego mięsa. Nikt nie spodziewał się oblężenia.

— Dany im okup.

— To go weźmę, lecz nie dotrzymaję słowa. To kocownicy, Helgundo. Na arkanie poprowadzą cię za swoimi koniami. Zginieś tu wszyscy. Co cię obchodzi Gniazdo? Jesteś z Jumna, a ja z Foni. Uciekając, ocalimy życie.

Helgunda zaczęła pakować swoje rzeczy do skrzyń pod różnymi, kowalom kazano podkuć konie i wyszykować dziesiątki san. Na wyobrażenie Mardów, nieustraszoney Gizur, mężczyzna ogromnego wzrostu i wielkiej siły, aż trząsł się z lęku i strach udzielał się Helgundzie.

— A Powalowie? — spytała Gizura.

— Też szykują się do ucieczki. Tylko Duninowie myślą, że do nich Mardowie nie dojdą.

Spoza ogromnych obwałowań

wali w ziemi. Cena san i konia wzrosła czterokrotnie. Kto posiadał jakiś majątek i cenil swoje życie, pragnął dołączyć do orszaku Helgundy, który miał być po drodze bronią przez dwustu zbrojnych. Gizur zdecydował, że w Gnieźnie pozostanie tylko niewielka załoga złożona z samych Lendiców; ich to przeznaczył na stracenie. Biedniejsi, pozbawieni san i koni, zamysłali uciekać w lasy i zamieszkać w ziemiankach, ale aurowa zima i duże śniegi odwiekały te zamary.

Osiemnaście skrzyń z dobrami Helgundy zaniesiono do san przed dworem książęcym. Rżali i tupali konie dwustu Normanów. Lecz w nocy spadł śnieg, padał przez cały dzień i znowu całą noc, na drogach potworzyły się tak ogromne zaspę, że o wyruszeniu do Jumna nie mogło być mowy. Skrzynie pozostały w saniach, odprzeg-